

PŁOCK: zamiast rewaloryzacji burzy się zespół staromiejski.

Konserwator do bicia

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Burzę rozpetali dziennikarze. Oni to bowiem pierwsi zaalarmowali opinię publiczną o tym, co dzieje się na ulicy Kwiatka. Oni podważyli autorytet i kompetencje lokalnych władz. „Życie Warszawy” nazwało to krótko: „rewaloryzacja po plocku” czyli „buldożerem w zabytek”. Inne doniesienia brzmiały nie mniej sensacyjnie. W efekcie sprawą zajęło się natychmiast Ministerstwo Kultury i Sztuki, a nawet Prokuratura Generalna. Kontrole wykazały jednoznacznie: kamieniczki wyburzono

bez zgody wojewódzkiego konserwatora zabytków, a więc z naruszeniem przepisów. Wojewoda powinien ukarać winnych zaniedbania. Prokurator zalecił mu rozważenie takiej możliwości. I tak też się stało: ukarano... konserwatora — jedynego człowieka w urzędzie, który był przeciw.

Kamieniczki miały po mniej więcej sto lat. Niewiele, ale i niemało. Czy jednak były zabytkami — w Płocku do dziś trwają spory. Wiesław Koń-

6



Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 46 (1598)

ROK XXXI

13 LISTOPADA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Wielka wsypa

ANDRZEJ KEMPA

19 lutego 1900 r. przyjechał do Łodzi,

poszukiwany przez policję carską członek Centralnego Komitetu PPS inż. Aleksander Malinowski, ukrywający się pod fałszywym nazwiskiem Aleksander Korsak. Przybył z Warszawy, nie spostrzegł się, że śledzi go agent tajnej policji. W dwa dni później około północy Malinowski został aresztowany na dworcu Fabrycznym, gdy oczekiwał na pociąg do Warszawy. W trzy godziny później silny patrol policji pod komendą ppłk. Gnońskiego wchodził na I piętro budynku przy ul. Wschodniej 19, gdzie pod numerem 4 mieszkali od października poprzedniego roku państwo Dąbrowscy, zameldowani na podstawie paszportów wystawionych przez komendę policji w Mińsku. Pan Dąbrowski spokojny, nie wadzący nikomu adwokat, pani — uroczą pani Marię, pochłonięta obowiązkami domowymi, rzadko udzielała się towarzysko.

Jakież było zdumienie policjantów, kiedy w gabinecie pana tomu dostrzegli nie mniej ni więcej tylko maszynkę drukarską typu „The Model Printing Press Co Ltd”, tzw. „bostonkę”. Na zatrzymanej w docisku ramce polyskiwał świeżą farbą najnowszy 38 numer nielegalnego pisma PPS „Robotnik” z datą 25 lutego 1900, z artykułem wstępnym „Tryumf swobody słowa”.

Złociwszy podwładnym przeprowadzenie gruntownej rewizji ppłk. Gnoński od niechcenia zerknął na pierwsze zdania wstępnika:

„Orłowi, szef żandarmów, „żandarma Europy”, Mikolaja I, odprowadzając raz pewnego swego znajomego, wyjeżdżającego za granicę, prosił go o załatwienie tam małego interesu. „Gdy będziesz pan w Norymberdze — mówił mu — zajdź pan pod pomnik Gutenberga, wynalazcy druku, i płać mu pan w oczy. Od niego całe zło na świecie pochodzi”.

— Wot wam i Gutenberg! — zwrócił się do pobliskiego gospodarza podpułkownik z pełnym sarkazmem uśmiechem. — Da, kak widitie, ot niewo wsio zło!

Wkrótce zamknęły się za aresztowanymi małżonkami drzwi zacisznego gabinetu. Odwróciwszy się na chwilę mecenas Dąbrowski spojrział machinalnie na wiszący na ścianie portret Romualda Traugutta. Wydało mu się, że w oczach ostatniego naczelnika powstania styczniowego dostrzegł migotliwy promyk nadziei. Nie wiedział jeszcze wówczas i w. „Wiktor” (to był również pseudonim partyjny mecenas Dąbrowskiego), że nadszliście czas, gdy natód zerwie kajdany niewoli, a on sam zostanie z woli narodu Naczelnikiem Państwa oraz obywatelem honorowym nieogólczonej Łodzi.

5



Nasz reporter pisze z pokładu „M/s Władysław Łokietek”.

Smutek nad Skaldą

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

Jestem w Antwerpii. Z Gdyni wypłynąłem 6 sierpnia 1988 w nocy, ale na pokład statku wszedłem o dzień wcześniej, w straszliwą, okrogłą rocznicę moich urodzin. Jeszcze wcześniej, w czerwcu, zacząłem całą sprawę „afatwiać”. W lipcu otrzymałem paszport i kartę przekroczenia granicy opiewającą na Peru — tam miałem pierwotnie popłynąć, potem jednak trafił się ten pozaliniowy afrykański rejs.

Krótko mówiąc: nie powinienem narzekać. Życie wszelako nie szczędzi nam niespodzianek (maksyma ta wyklada się wedle marynarzy w pięknych i prostych słowach. „Life is brutal and full of surprises”); już w chwili zaokrętozowania dostałem pięścią w nos, dowiedziałem się bowiem od ochmistrza, iż rejs, który początkowo planowany był na trzy, najwyżej cztery miesiące, może przeciągnąć się do świąt Bożego Narodzenia albo i dłużej.

Najpierw staliśmy prawie tydzień w szwedzkim porcie Helsinborg, z którego widać wyraźnie wybrzeże Danii; bliźniacze duńskie miasto Helsinborg, gdzie jest tak zwany za-

mek Hamleta. Byłem tu już kiedyś, ale jak zwykle: o Szwecji nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Szwecja jest bogatą, sterylnie czystą, doskonale zaopatrzoną; w Szwecji spotkasz najpiękniejsze chyba dziewczyny w Europie; mimo to każdy spędzony w tym kraju dzień napawa człowieka serdeczną nudą i szczerą tęsknotą za czymś trochę choćby brudniejszym i brzydszym.

Pod tym względem nie rozczarował nas Rostock — na dobrą sprawę można było w ogóle nie opuszczać statku, aby pojechać dwoma autobusami i tramwajem z portu do odległego miasta, które, aczkolwiek niemieckie, ma w sobie coś swojskiego. Podobnie jak Rumuni, Niemcy twierdzą, że już dawno zrobili u siebie pierestrojkę i odnowę, w sklepach wszelako znajdziesz przede wszystkim kosmetyki i wóde; długie kolejki po mięso, długie kolejki po mleko i chleb; brudno, smutno; młodzież handluje na skwerze tandetą; o tym, żeby wcisnąć się do kawiarni i restauracji, nie może być nawet mowy; kelnerki zniecierpliwione, ludność pijana, watahy rozwrzeszczanych małałów szturmują dworzec kolejowy, który od chwili za-

kończenia działań wojennych sprzątany był podobno tylko raz, i to niedokładnie. Porozwalane sedesy w toaletach, walające się na mokrej posadzce gazety; brak tawek, więc alkoholicy drzemają po kątach na kamiennym klepsku tak długo, aż nie zwinnie ich milicja. Wszędzie słychać polski język.

— Co kupieś?
— Żelazko.
— Po cholere?
— Może się przydać.
— Są grzałki do heri.
— Gdzie?
— W magazynie. Kuchenka na denaturat kosztuje tylko trzynastę marek.

I tak dalej. Jak i na całym świecie, tak i tu, w Rostocku, Polaków interesuje wyłącznie handel. Jest to handel śmieszny, groszowy, obliczony na lilipluci zysk i solidne ryzyko, gdyż celnicy niemieccy (również i od nich wionie przeważnie gorzala), biorą się za każdego turystę powoli, ale solidnie, i przycepiają się do byle drobiazgu.

Jeśli Rostock zostanie w ogóle w mojej pamięci, na czym nie zależy mi specjalnie, to

6



Collage: Grzegorz Galasiński

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44.

sekretarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32 89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,

Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymański-Głanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażejowski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadamski,

Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasył
Kocznów (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.
Stryski, Maciej Swierkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5,
tel. 32 59 11.

Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiewicz, tel. 36-80-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwo-
nej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — insty-
tucji i zakłady pracy zloka-
lizowane w miejscowościach,
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch”, opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urze-
dach pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratę.

Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysy-
łki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1658 201045 139 11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na i kwartał
i półrocze roku następnego
oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 3564. S-10.

Przegląd prasy

Panny mają w Polsce lepiej
niż mężatki. Mniej pracują, są
wyspane, zadbane, mogą ucze-
stniczyć w życiu kulturalnym.
Małżeństwo jest cezurą zmie-
niającą wszystko. Kobieta po
ślubie przyjmuje rolę służeb-
nicy; przekształca się z kolia-
bra w kure domową. Nie dość,
że pracuje zawodowo, to je-
szcze zmywa naczyńia, sprząta,
piecze. Biegi między sklepami
zastępują jej spacer i rekrea-
cję. Pisz o tym w „ZYCIU
WARSZAWY” (nr 253) Krysty-
na Lubelska.

„Ideal żony według polskich
mężczyzn powinien posiadać
następujące cechy: gospodar-
ność, wierność, atrakcyjność
seksualną, dobroć, wyrozumia-
łość, schludność. Podobne ce-
chy idealnej żony wymieniają
kobiety, z tym, że atrakcyj-
ność seksualną plasują na o-
statnim miejscu. Tylko dla
20 proc. ankietowanych pań
jest to istotny atrybut. W tym
oto miejscu rozmią się ideal
męski i żeński”.

Stosunek do kobiety jest u
nas wyjątkowo tradycyjny. Za
rzecz naturalną, że do dnia
ślubu powinna być dziewicą,
uważa 57 proc. Polaków, 40
proc. Włochów, 35 proc. Kana-
dyjczyków. Tylko dla 38 proc.
Polaków ma znaczenie sprawa
równouprawnienia kobiet. Pol-
ki nie walczą o swoje prawa,
dość pokornie wypełniają obo-
wiązki zawodowe i domowe.
Niekiedy są nawet zadowolone
z pozycji służebnicy.

W latach powojennych
wzrosła aktywizacja zawodo-
wa kobiet utrzymujących się
ze źródeł pozarolniczych. Jak
podał Adam Kurzynowski w
miesięczniku „PRACA I ZA-
BEZPIECZENIE SPOŁECZNE”
(nr 7) na 100 kobiet w wieku
zdolności produkcyjnej praco-
wało w 1950 roku 41, a w po-
łowie lat osiemdziesiątych —
66. Spośród ogółu mężatek w
1950 r. czynnych zawodowo by-
ło tylko 13 proc., a w 1985
roku aż 75 proc. Udział męża-
tek w grupie zatrudnionych
kobiet wzrósł z 18 proc. do
75 proc.

W tym samym okresie zmie-
niły się wzory życia rodzinnego.
W 1950 r. czwarte lub dal-
sze urodzenia stanowiły 19
proc., zaś w 1985 r. 11 proc.
ogółu urodzeń. Równocześnie
zmniejszył się wskaźnik zgo-
nowo niemowląt na 1000 ludo-
ści, który w 1946 r. wynosił
119,8, a w 1985 r. — 18,4. O-
becnym mamy mniej liczne go-
sposdarstwa domowe. W prowa-
dzeniu ich coraz częściej po-
magają kobietom pracującym
zawodowo mężowie.

Powojenne procesy indus-
trializacji, urbanizacji, ruchli-
wości przestrzennej i społecz-
nej przyczyniły się do szyb-
kiego wzrostu liczby rozwo-
dów. W 1985 r. orzeczono ich
ponad 50 tys., co daje współ-
czynnik 1,4. Na tle innych
państw jest to niski wskaźnik,
ale istotna jest dynamika zja-
wiska — stwierdza w mie-
sięczniku „POLITYKA SPO-
ŁECZNA” (nr 9) Maria Ja-
rosz.

W latach 1950—1986 współ-
czynnik rozwodów na 1000
mieszkańców wzrósł w mia-
stach z 0,9 do 1,9, a na wsi z
0,2 do 0,6. W ogólnej liczbie
rozwódniętych jest 32,6 proc.
małżeństw bezdzietnych, 40,6
proc. mających jedno dziecko,
21,8 proc. mających dwoje
dzieci, 3,9 proc. z trojgiem
dzieci oraz 1,1 proc. z czwor-
giem i więcej dzieci.

„Najwyższy udział w zbio-
rowości rozwódniętych mają
małżeństwa posiadające jedno
dziecko. Odsetek ich wzrósł w
latach 1960—1986 o prawie 10
proc. do poziomu 40,6 proc.
Natomiast zmniejszyły się (o
ponad 1/6 w ciągu ostatnich
dwierdziestu lat) odsetki rozwo-
dzących się małżeństw bez-
dzietnych. Prawdopodobieństwo
rozvodu maleje wraz ze wzro-
stem liczby posiadanych dzie-
ci (posiadanie czworga i więcej
dzieci praktycznie rozwiązuje
kwestię). Co najmniej 66 proc.
rozwódniętych się w latach
1980—1986 stanowią jednak
małżeństwa z dziećmi, przy
czym poza zwiększonym udzia-
łem tej grupy małżeństw w
strukturze rozwódniętych się
wzrasta przeciętna liczba dzie-
ci przypadająca na jedną roz-
winiętą rodzinę”.

Niepokojącym zjawiskiem
jest stały wzrost liczby rodzin
niepełnych, w których matka

lub ojciec samotnie wychowuje
dziecko (dzieci). W populacji
wszystkich rodzin w Polsce
stanowią: małżeństwa bez
dzieci — 23,2 proc., małżeństwa
z dziećmi — 63,0 proc., matki
z dziećmi — 12,3 proc., ojco-
wie z dziećmi — 1,5 proc. W
1984 roku było 693 856 samot-
nych matek (jedynych żywi-
cielek) i 64 337 samotnych oj-
ców (jedynych żywicieli).

TERAZNIEJSZOSĆ I PRZYSZŁOŚĆ POLSKI

Kondycja naszych rodzin za-
leży m.in. od gospodarki i po-
lityki. Pod względem politycz-
nym większość społeczeństwa
znajduje się między dwoma
biegunami: władzą i „Solidar-
nością”. Pierwszy stara się u-
niemożliwić powrót do sytu-
acji przedgrudniowej, a drugi
pragnie odbudować Związek i
pluralizm życia społecznego.
Na obu biegunach jest po
około 25 proc. Polaków, a po-
łowa zajmuje postawę niez-
angażowaną. Taki obraz przed-
stawia w miesięczniku „WIEŻ”
(nr 9) Andrzej Friszke. Nastę-
pująco ocenia on pozycję Ko-
ścioła katolickiego:

„Kościół jest obecnie silny,
jak nigdy na przestrzeni ostat-
nich dziesięcioleci. Jego auto-
rytetu nikt nie odważa się
głośno kwestionować, zaś ak-
tywny ateizm, propaganda ate-
istyczna byłaby dziś poczytane
za głębokie dziwactwo. Tak
silną pozycję Kościół zaw-
dzięcza przede wszystkim wie-
loletniej pracy kardynała Ste-
fana Wyszyńskiego, wyniesieniu
kardynała Karola Wojtyły na
Stolicę Apostolską, aktywności
duszpasterskiej i intelektualnej
wielu biskupów, księży i świe-
kich, a z drugiej strony osła-
bieniu ideologii marksistow-
skiej w Polsce i powtarzającej
się kompromitacji rządu w o-
czach społeczeństwa. (...)

Zgoda władz na znaczny
wzrost roli Kościoła katolic-
kiego jest możliwa, gdyż są
one skoncentrowane przede
wszystkim na uniemożliwieniu
odbudowania się Solidarności
czy podobnego obywatelskiego
ruchu społecznego, a także
dlatego, że przesłali one być
organizatorem ruchu ideologicz-
nego. Dziś mało kto odwołuje
się do marksizmu, a w rozwa-
żaniach nad reformą gospo-
darczą w ogóle się o nim nie
wspomina”.

Andrzej Friszke sądzi, że w
przypadku nowego konfliktu
społecznego trudno byłoby za-
panować nad nastrojami, po-
nieważać nie ma powszechnie
uznawanego autorytetu osobo-
wego. Wojciech Jaruzelski, Jó-
zef Głomp i Lech Wałęsa na-
potykają na krytykę nawet
wewnątrz instytucji, które re-
prezentują.

W najnowszym miesięczniku
„KONFRONTACJE” (nr 10)
prof. Jan Malanowski prze-
widuje, że z powodu obumie-
rania PZPR może ukształtowa-
wać się elita nie partyjna, lecz
państwowa, zdolna do współ-
działania z elitą katolicką i so-
lidarnościową. Mała grupa lu-
dzi młodych w PZPR nie jest
w stanie ożywić partii.

„Zatem kurczy się zaplecze
kadrowe przyszłych elit wła-
dzy, co na VII Plenum KC
PZPR starano się nieudolnie
ukryć, czemu energicznie prze-
ciwstawili się w ostatnim sło-
wie W. Jaruzelski. Zaplecze
kadrowe elit opozycyjnych jest
też ograniczone, na skutek braku
instytucjonalnych możli-
wości ich tworzenia. Ale roz-
goryczeni młodzi ludzie mogą
szybko wejść na arenę życia
publicznego przy sprzyjają-
cych warunkach. Oficjalny sy-
stem awansu społecznego jakby
się wypalił, droga awansu za-
wodowego i awansu społecz-
nego poprzez wstąpienie do
partii jest coraz rzadziej u-
częszczana”.

Na temat partii i jej miej-
sca w systemie sprawowania
władzy mówi w tygodniku
„WPROST” (nr 44) doc. dr
hab. Jerzy Kuciński, kierownik
Zakładu Teorii Państwa i De-
mokratyzacji Socjalistycznej Aka-
demii Nauk Społecznych przy
KC PZPR. Jego zdaniem, par-
tia, starając się być wszech-
władną, wszechobecną i wszech-
odpowiedzialną. Jeszcze dzi-
siaj dostrzegamy wszechobec-
ność kadrową członków PZPR.
Zajmują oni 70 proc. różnych
stanowisk kierowniczych. W
ponad 40 proc. partia składa
się z kierowników.

„Konsekwencją wszechwła-
dności i wszechobecności partii
w życiu politycznym jest jej
wszechodpowiedzialność. Tak
traktują to obywatele, którzy
za wszelkie błędy obwiniają

partię i pod jej adresem kie-
rują pretensje”.

Przewodnia i kierownicz ro-
la PZPR nie jest najważniejszą
zasadą naszego ustroju.
Podstawowe znaczenie ma za-
sada ludowładztwa. Partia po-
winna sprawować przywództ-
wo w państwie wyłącznie za
pośrednictwem organów przed-
stawicielskich: Sejmu i rad
narodowych. Wtedy polityka
PZPR podlegałaby szerszemu
osądowi społecznemu.

„Sądzę, że to co zostało
zasygnalizowane podczas VIII
Plenum KC PZPR, a wiąże się
z zapowiedzią rozdzielania
kompetencji aparatu partyjne-
go i rządowego i ze wzrostem
roli parlamentu brzmi opty-
mistycznie. Partii bowiem nie-
zbędny jest większy dystans
do bieżących, konkretnych pro-
blemów, które leżą w gestii
państwowych organów wyko-
nawczych”.

POCZĄTKI PLURALIZMU POLITYCZNEGO

Prasa informuje o powsta-
wianiu rozmaitych stowarzy-
szeń i klubów. Pierwszym chy-
ba legalnym ośrodkiem opo-
zycji jest Klub Myśli Polity-
cznej „Dziękonia”. Na
zebraniu założycielskim prze-
sems wybrano prof. Stanisława
Stomnę, a wiceprezesa A-
leksandra Halla.

Program klubu przedstawic-
no 4 października br. na pier-
wszej oficjalnej konferencji
prasowej. Omawia go w ty-
godniku „ODRODZENIE” (nr
44) Radosław Piszczek. Główn-
nym celem jest doprowadzenie
do zgodnego udziału w procesie
reformy strony rządowej i opo-
zycji. Stanisław Stomma nie
proponuje szybkich zmian o-
biecnych struktur, gdyż
mogłyby dojść do chaosu. Ten-
dencje wolnorynkowe trzeba
utrzymywać w ramach istniejącej
rzeczywistości. Odchylenia od
wzorca socjalistycznego nie
mogą być początkowo zbyt
duże.

Z kolei tygodnik „ŁAD” (nr
44) donosi o ukonstytuowaniu
się Klubu chrześcijańsko-de-
mokratycznego. Wybrano cze-
rech współprzewodniczących:
Ryszarda Bendera, Władysława
Siłę-Nowickiego, Zbigniewa T.
Wierzbickiego i Janusza Za-
błockiego. Sekretarzem nowe-
go Klubu Myśli Politycznej zo-
stał Maciej Łętowski.

Na dwu stronach katolic-
kiego tygodnika społecznego o-
publikowano dyskusję o gene-
zie stalinizmu w Polsce. Udział
wzięli: Aleksander Hall, An-
drzej Werblan i Janusz Za-
błocki. Ten ostatni stwierdził,
że stalinizm ma u nas wciąż
taryfę ulgową. Rosjanie rady-
kalnie zrywają z przeszłością i
dokonują „przebudowy”, a my
mówimy o „socjalistycznej od-
nowie” dotychczasowego sys-
temu. Nie jest to tylko kwe-
stia nazwy. Odnowa dotyczy je-
dynie sfery zewnętrznej, nie
sięga do samych podstaw. A
bez głębokiej przebudowy
skompromitowanego systemu
nie będzie żadnej koalicji sił
proreformatorskich.

Reakcje społeczne oddziałują
bezpośrednio także na rynek
pieniężny. Ryszard Kowalski
podaje w „GAZECIE BAN-
KOWEJ” (nr 1), że powołanie
Mieczysława F. Rakowskiego
na stanowisko premiera spo-
wodowało wzrost czarnorynko-
wego kursu dolara o 200 zio-
tych. Redaktor nowej gazety
píše, że deprecjacja pieniądza
w Polsce jest nie tylko skan-
dałem ekonomicznym. Groź-
niejsze jest to, że nastąpił
demonstracyjny najbardziej natu-
ralnej i obiektywnej więzi oby-
watela z państwem.

„Deprecjacja polskiego pie-
niądza doprowadziła do sytu-
acji, że od jesieni 1987 r. war-
tość oszczędności ludności w
walutach wymienialnych (pre-
liczona po kursie czarnorynko-
wym) jest wyższa niż osz-
zczędności w złotych. Zjawisko po-
tęguje się”.

Walutowe zasoby ludności
(w bankach i w domu) są
przynajmniej dwukrotnie wyż-
sze po kursie czarnorynkowym
niż ilości pieniądza w obiegu,
która z oszczędnościami ludo-
ści wynosi około 5 bilionów
złotych.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA — pisarka.

— Wiązał się ten tydzień ze Świętym Zmarłych. Jest to ważne
święto w naszej tradycji. Odwiedziłam groby moich dziadków
— rodziców mojej mamy. Byłam z nimi bardzo związana, oni
mnie wychowywali. Byłam też na grobie niedawno zmarłego
teścia.

1 listopada, niestety, gdy już wróciłam z cmentarza, dowie-
działam się o awarii w moim bloku. Awaria wodociągu zdarzy-
ła się w jednej klatce schodowej, ale wodę zamknęli w całym
bloku — dziewięcioklatkowym. Jak żyje się bez wody nie mu-
szę opowiadać. Nie muszę też dodawać, że szlag mnie trafił.
Gdy woda leje się w jednym mieszkaniu, to wydaje się logicz-
ne, że odcina się jej dopływ w tym pionie i nie muszą cier-
pieć inni. Myślałam też, że hydraulicy następnego dnia zaraz
rano ruszą do pracy, ale oni przystąpili do usuwania awarii do-
piero około południa.

No i doszły do tego kłopoty rodzinne. Córce dokuczają tarczycy
i potrzebny jest lek, który produkuje się w NRD, ale do Polski
nie sprowadza. Byłam we wrześniu w NRD i mogłam ten lek
kupić, ale nie wiedziałam, że będzie potrzebny. Teraz gwał-
townie szukam kogoś, kto by mi go przywiózł z NRD.

KSAWERY KRASOWSKI — dyrektor „Mia-
stoprojektu” — Łódź.

— Dla mnie był to krótki tydzień, gdyż jego część spędziłam
w Czechosłowacji. Zalałwałam sprawy firmy. Nie wszystko
jest już potwierdzone oficjalnymi podpisami, ale mogę już po-
wiedzieć, że będziemy modernizowali teatr muzyczny i hotel
na 250 łóżek w Pradze. Nie są to nasze pierwsze opracowania
robione dla zagranicznego kontrahenta.

Dużym wydarzeniem było też posiedzenie naszej Rady Pra-
cowniczej, poświęcone omówieniu zakładowego systemu wyn-
agrodzeń, który chcemy wprowadzić u nas od 1 grudnia 1988
roku. Chodzi w tym systemie o to, aby bardziej związać wy-
nagrodzenie z efektami i jakością pracy.

Poza sprawami zawodowymi istotne było też to, co wydarzy-
ło się w Polsce. Myślę o decyzji rządu Mieczysława Rakow-
skiego o zamknięciu Stoczni Gdańskiej oraz Huty Siechnice
pod Wrocławiem. Jest to chyba najlepszy wyraz realizacji zmian
zapowiadanych przez premiera. Solidaryzuję się z tymi decy-
zjami, gdyż — po pierwsze — dowodzą konsekwencji w działaniu
rządu, a — po drugie — jak sądzę, umożliwią, poprzez dalsze
tego typu posunięcia, wyeliminowanie z życia gospodarczego
tych chorych jednostek, które nie gospodarczo nie dają. Twierdzą,
że to sprawa nie tylko deficytu, a więc dopłat z budżetu pań-
stwa, ale także zupełnie niepotrzebnych dopłat w walutach
twardych.

GRAŻYNA MOŻDŻYŃSKA — logopeda z Wo-
jewódzkiego Szpitala Zespołowego im. M. Koper-
nika.

— Najważniejsze było dla mnie Święto Zmarłych. Jest to dla
mnie jedyny moment w roku, kiedy zastanawiam się nad prze-
szłością nie tylko mojej rodziny, ale nas wszystkich, naszego
narodu. Jak co roku odwiedziłam groby nie tylko rodzinne, ale
powstańców z 1863 roku, żołnierzy AK i innych ludzi, którzy
coś znaczyli w naszej historii. Zawsze w takich chwilach us-
wiadamiłam sobie, że właściwie nie mogłabym funkcjonować
nigdzie poza Polską, tak bardzo jestem z krajem związana. W
codziennym pogoni za zwykłymi sprawami nie mam czasu na
takie rozmyślanie. Mam przecież pracę, dwoje dzieci, muszę
robić zakupy, zajmować się zwierzątkami, mam psa i dwie kot-
ki, no i takie kłopoty jak wszyscy.

Dużym wydarzeniem była dla mnie wizyta Margaret That-
cher, która odwiedziła Polskę. Jest to dla mnie wzór polityka
i kobiety jednocześnie. Jestem zafascynowana panią Margaret
Thatcher. Zapoznałam się z jej życiorysem. Wydaje mi się, że
w jej działaniu jest tyle mądrości i konsekwencji, że powinna
być wzorem dla innych polityków. A poza tym jest zawsze
elegancka, bardzo kobieta. I to w każdym geście. Bardzo mi się
podała, kiedy robiła zakupy w Polsce. Podejrzewam, że sobie
szybko przeliczyła, iż w Polsce kilogram grzybów suszonych
kosztuje więcej niż wynosi pensja. Była jedynym politykiem,
który zdecydował się na takie niekonwencjonalne działanie.

Notowała: BOGDA MADEJ

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— W dniu 5 czerwca 1920 r. na Ukrainie rusza ofensywa. Roz-
poczyna ją armia konna Budionnego w składzie czterech dywizji
kawalerii. Linie polskie nie wytrzymują tego impetu. Masa ka-
walerii — 12 tys. szabel, 2 tys. bagnietów, 84 dział, 30 samocho-
dów pancernych i 400 karabinów maszynowych — wszystko to
znalazło się na tyłach 3 armii Smigłego. Kilów wraz z zajmują-
cymi go Polakami wkrótce znajdzie się w potrzasku — fragment
książki CEZAREGO LEŻEŃSKIEGO pt. „Kwatera 139”.

— Wice odbywa się za oficjalną zgodą rektora Uniwersytetu
Łódzkiego, studenci otrzymują też oficjalne zapewnienie, że siły
porządkowe nie będą interweniowały. I rzeczywiście. Mundurów
nigdzie nie widać — reportaży MARKA BŁASZKOWSKIEGO.

— Dostałem colta i miałem jechać do pewnego miasteczka, że-
by zabić Kielbasę. Ach, gdyby ten człowiek miał jakieś porządne,
ludzkie nazwisko! Ale Kielbasa! Brzmienie tego nazwiska koja-
rzyło się z niestychaną pospolitością, odbierało mojemu zamierze-
niu całą egzotykę. „Zabij Kielbasę” — powiedziała w szkole, napi-
sała w gazetach... „Kara śmierci za zabicie Kielbasy!” — wyobra-
załem sobie nagłówek w gazetach i ogarnął mnie dreszcz obrzy-
żenia do samego siebie — najnowsza książka ANDRZEJA BRY-
CHTA.

— Wzajemne stosunki między Bolesławem Bierutem a Władysławem
Gomułką od początku układały się źle. Władysław Gomuł-
ka nie lubił Bolesława Bieruta i wszystkiego wskazywał, że z
wzajemnością. Dochodziło często do ostrych starć i to nie tylko
polemicznych — píše LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

— W lipcu 1945 r., kiedy jeszcze nie umilkły saluty armatnie
na cześć zwycięskiego końca wojny, przyszył autor „Archipela-
gu Gułag” skazany został na 8 lat więzienia, co uchroniło wów-
czas za nader łagodny wymiar kary. Wyrz-ek odbywał początkowo
w obozach pracy — szkie GRZEGORZA GAZDY o życiu i twó-
rczości Aleksandra Solżenitsyna.

— Od czasu do czasu w Modliwie pojawia się jakaś zabłąkana
staruszka. To z kijkiem i bobkiem, to znów bez bagażu i naz-
wiska, a niekiedy i taka, co nosi parę gałazek chrustu na plecach
— początek reportażu RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Moich współwzięźniów bardziej ciekawiło jak mogłem grać
na planie filmowym leżąc z piękną aktorką w łóżku. Ale na o-
gół to ja prowokowałem ich miłosne zwierzenia — mówi JERZY
TRĘBICKI, autor książki pt. „Zbrodnia I...”, która osiąga dziś
rekordowe ceny na czarnym rynku.

Wojna, kwestia agrarna, Rząd Tymczasowy, Rola Rad, zadania bolszewików, konieczność drugiej rewolucji — wszystko to zdążył przemysleć już w Szwajcarii. Rosyjską granicę przekraczał z gotowym programem, w którym prawie niczego nie zmienił.

Emigracja jest dla polityka śmiercią — odrywa go od środowiska, w którym musi działać, od codziennych wydarzeń, z których trzeba wyciągać uogólniające wnioski; nie odczuwa osobistej nastroju mas, nie może dostosowywać się do ich najdrobniejszych drgnień; zamiast realnych osądów bierze górę mrzonki i senne widzenia. I wbrew temu wszystkim polityk, który przeżywał kilkadziesiąt lat na emigracji, parę tysięcy kilometrów od ojczyzny, prawie nie otrzymując wiadomości o rewolucji, dokonuje oceny sytuacji oraz opracowuje program. I oto zarówno nakreślony przez niego obraz epoki, jak też i program okazują się słuszne. Jak to się udało Leninowi, tego nikt dokładnie nie wie. Wszystkim, co

wiek, który wszystko oparł na analizie klasowej.

Czernow pisze o Leninie w kwietniu 1917 roku: „Lenin dzięki swoim niezwykłym zdolnościom jest wielkim człowiekiem, którego jednak nie normalne warunki nielegalnej działalności w okropny sposób zniszczyły i okaleczyły. Lenin może o sobie powiedzieć: „Nie wiem, dokąd zmierzam, ale wiem, że idę w tym kierunku w sposób zdecydowany”. Lenin jest niewątpliwie wierny ideom socjalizmu, ale jest jednocześnie wierny samemu sobie („Państwo to ja”), nie ma dla niego różnicy między osobistą polityką a interesami partii, interesami socjalizmu. Lenin jest nieprzeciętnie inteligentny, ale jego inteligencja jest jednostronna. Lenin jest bezwarunkowo uczciwym człowiekiem, ale jego wola jest tak jednostronna, że jego moralność ulegałaby przytępieniu. Socjalizm Lenina jest socjalizmem wulgarnym; Lenin używa sikiery, podczas gdy potrzebny byłby mu skalpel”.

Nie dlatego pisał, aby zdać sprawę ze swoich myśli, i tak- że nie dlatego, aby stworzyć pisane dzieło. Dzieła pisarzy mają wpływ na kształtowanie się świata, ale przecież pierwotnym celem pisarzy nie jest kształtowanie świata. Lenin był politykiem, którego zadanie polegało na przygotowaniu ludzi do czynów; nie znał innego celu poza przekształcaniem świata.

Leninowski tekst jest tak prosty, że każdy jest w stanie go zrozumieć. Tak prosty, że sam wchodzi do głowy. Był pedagogiem: zawsze uczył. Jeśli jakąś myśl uznał za ważną, powtarzał ją długo, w różnych seriach artykułów, w poszczególnych akapitach jednej pracy, aż wryła się na stałe w umysł czytelników. W warsztacie pracy pisarza jest słowo. Ale Lenin pisał dla ludzi, którzy nie mieli pojęcia o tym, co to jest filozofia, ekonomia, nauka, a więc to, o czym Lenin mówił. Nie wierzył w same słowa i na pomoc wzywał pismo, a w tekście zawsze podkreślał niektóre słowa, całe fragmenty zdań składał grubszą cziółką tylko po to, aby

coś oryginalnego jest w tym człowieku, który z tak oczywistą prostotą tłumaczy i dowodzi?

Bo u Lenina zawsze sama myśl jest bardziej oryginalna niż sposób jej wyrażenia. Co w pięćdziesiąt lat po jego śmierci wydaje się oczywiste i zrozumiałe, w swoim czasie było taką nowością, że prawie nikt nie mógł naprawdę nadać za tonem myślenia Lenina. Wiele światłych i mądrych współczesnych mu towarzyszy nie zdołało zrozumieć jego wielkości — to znaczy jego idei, która mogła rzeczywiście przyciągnąć ich uwagę — dlatego też nie potrafili go zaakceptować, a błyskotliwości i lekkości szkali w nim na próżno. (...)

Wiemy o jednym jedynym wypadku, kiedy Lenin myślał o śmierci. Było to w lipcu 1917 roku. Powiedział wtedy do Trockiego, że ich zastrzelą. Jednego po drugim. Że jest to dla przeciwników najdogodniejszy moment. Do Kamieniewa przesyłał zawiadomienie: „Jeśli mnie zgładzą, proszę Was o wydanie mojego zeszytu: „Marksizm o państwie”.

„Pożegnajmy się — powiedział do Krupskiej, kiedy zdecydował się dobrowolnie oddać w ręce policji — może się już nie zobaczymy”.

W dniu 7 lipca bolszewicy przywódcy obradowali cały dzień. Nogin, Trocki, Kamieniew obstawali przy tym, aby z własnej woli stanąć przed sądem. Nie mają się czego obawiać: oskarżenie, że są niemilekimi szpiegami, jest wysłanym z palca kłamstwem; nie jest prawdą również to, że przygotowywali powstanie. Najlepszą obroną będzie jawne odparcie zarzutów. Stalin i Ordżonikidze sprzeciwili się temu w sposób kategoryczny: nie wolno ryzykować życia Lenina i jego towarzyszy; przecież nie staną przed sądem, mogą zostać zamordowani. Lenin wahał się, ale kiedy przyszła Stasowa z wiadomością, że w mieście mówi się, iż Lenin jest politycznym szpiegiem, zdecydował się na Zinowiewem, że zgłoszą się natychmiast dobrowolnie.

Wyprawiono delegatów do Centralnego Komitetu Wykonawczego. Rad z żądaniem gwarancji, że nie stanie się im nic złego, jeśli sami się zgłoszą. Zapalczywy Ordżonikidze, z krzykiem bił pięścią w stół: „Czy wlecie, co wam zrobimy, jeśli Leninowi spadnie choć włos z głowy? Wszystkim wam poderżniemy gardła!” Pełnomocnik Komitetu Wykonawczego odpowiedział szczerze: „Nie jesteśmy w stanie zagwarantować życia Leninowi”. Delegaci powrócili i Komitet Centralny po ciągnącej się głęboko w noc dyskusji podjął wreszcie decyzję: Lenin i Zinowiew zostaną w konspiracji.

Wszystko to działo się siodłatego.

Na drugi dzień Lenin napisał artykuł, w którym jednoznacznie osądził wszystkich tych, którzy chcieli dobrowolnie zgłosić się na policję:

„Nie uczyniłem nic sprzecznego z prawem. Sądzę sprawnie. Sądzę rozpatrz. Sądzę będzie jawny. Lud zrozumie. Stawie się”.

Jest to rozumowanie naiwne aż do dziecinady. Nie są, lecz nagonka na internacjonalistów, oto co jest potrzebne władzy. (...)

Niech internacjonalisci pracują nielegalnie w miarę sił, ale niech nie popełniają głupstwa dobrowolnego stawienia się!”.

Jednoznaczność tego poglądu jest zaskakująca, jeśli weźmiemy pod uwagę, że poprzedniego dnia sam Lenin tak dziecinie i naiwnie rozmawiał i sam chciał popełnić to „głupstwo”. Cała sprawa jest jednak dla niego niezwykle charakterystyczna. Jeśli po długiej dyskusji w oparciu o argumenty, po wielokrotnej zmianie własnego stanowiska dochodził do ostatecznej konkluzji, to zapomniał o swoich poprzednich wątpliwościach. Nie wracał już do nich. Dlatego umiał podejmować decyzje. I od tego momentu jego własne, poprzednio wysuwane argumenty stawały się dla niego obce. (...)

Na początku była stal

Decyzja podjęta 29 października 1968 roku przez rząd Mieczysława F. Rakowskiego o zamknięciu Stoczni Gdańskiej — co by tu nie mówić — wywołała szok. Poszła w świat jako decyzja zaskakująca, była różnie komentowana. Jedni widzieli w niej decyzję uwarunkowaną przesłankami ekonomicznymi, inni — politycznymi dla stoczniovców, była to decyzja naruszająca porządek ich życia, burząca plany osobiste i rodzinne, zmuszająca do dokonania nieoczekiwanych, niespodziewanych i nie chcianych zmian w ich życiu. To nie są la. we decyzje i nie dziwi mnie to, że ludzie się przeciw nim buntują.

Inaczej przyjęto decyzję z 4 listopada 1968 roku o zamknięciu Huty Śnieżnica pod Wrocławiem. Ta decyzja była oczekiwana, wymuszana nawet, spodziewana i dlatego nikogo nie zaskoczyła. We Wrocławiu przyjęto ją z zadowoleniem. Nie wywołała też żadnych komentarzy, podobnych do tych, jakie wywołała decyzja o zamknięciu Stoczni Gdańskiej. Niektórzy ludzie patrzą bowiem na Stocznę Gdańską wyłącznie jako symbol zjawisk politycznych i nie dopuszczają do siebie myśli, że fabryki i wielkie przedsiębiorstwa, jak huty, kopalnie i stocznie mogą być zamykane również ze względów ekonomicznych.

Zamknięcie Stoczni Gdańskiej jest naruszeniem sposobu myślenia opartego na dogmatach. Proszę przypomnieć sobie czasy Planu Sześcioletniego, uczyli o tym również w szkole, którego realizacja miała dać Polsce podstawy socjalizmu. Sięgam do bardzo prostego źródła, jakim jest „Kalendarz Robotniczy 1954” i czytam, co tam piszą na ten temat:

„Jednym z centralnych zagadnień naszego planu wielkiego budownictwa jest walka o stal, która jest podstawowym surowcem dla wielu innych gałęzi naszej gospodarki. Samochody Żerania, Lublina, Starachowic, traktory Ursus, maszyny rolnicze Staroleki, turbiny okrętowe, maszyny włókiennicze, kombajny węglowe i dźwigi budowlane oraz setki innych maszyn, urządzeń, konstrukcji i środków transportowych produkowanych przez najrozszejsze zakłady przemysłowe uzależnione są od dostaw przemysłu hutniczego.”

Był to rok 1954, dziesięciolecie Polski Ludowej. Był więc i powód do dumy z osiągnięć... przemysłu stoczniovców.

„Poważnymi sukcesami — piszą autorzy „Kalendarza Robotniczego 1954” — poszczycić się może również nasz przemysł stoczniovców, który w roku 1953 wodował wiele nowych jednostek pełnomorskich wyposażonych w maszyny i urządzenia krajowej produkcji. Polska, która przed wojną nie posiadała wcale przemysłu stoczniovców, dziś już zajęła poważne miejsce w produkcji okrętowej w Europie, stając w rzędzie państw eksportujących statki.”

Wtedy był to powód do dumy, ale i nakaz programowy. Proszę sobie przypomnieć wiersz Władysława Broniewskiego „Magnitogorsk albo rozmowa z Janem”.

„Siedzę, siedzę, liczę godzinę,
Jan się zdrzemnął, o ścianę wsparł,
nad globusem jego łusiny
Zaświtało kwadrans po czwartej.

Stęknął, ocknął się i beztrząsco
wyprostował zgarbione plecy:
„Wiesz — powiada — w Magnitogorsku
dzisiaj ruszają dwa wielkie piece...”

Rozwijanie przemysłu ciężkiego przede wszystkim było dla Rosji Radzieckiej bezwzględna koniecznością, ale Józef Stalin z tej konieczności uczynił nakaz uniwersalny. 7 listopada 1927 roku — w 12 rocznicę rewolucji — w „Prawdzie” ukazał się jego artykuł: „Rok wielkiego przełomu”. W tym artykule jest następujące stwierdzenie:

„Trudniejsze i ważniejsze jest zagadnienie przemysłu ciężkiego. Trudniejsze, bo wymaga olbrzymich inwestycji... Ważniejsze, bo bez rozwoju przemysłu ciężkiego nie możemy zbudować żadnego przemysłu, nie możemy przeprowadzić żadnego uprzemysłowienia.”

Józef Stalin tworząc swój system poglądów, które dziś nazywamy stalinizmem, postęgiwał się nieustannie cytami z dzieł Włodzimierza Lenina, sugerując swoim czytelnikom i wyznawcom, że wiernie i stale rozwija myśli Włodzimierza Lenina. Kapustin Profesor w Akademii MSW ZSRR — powiada, że „stalinizm stworzył się w szaty leninizmu, w toż jego słownego kontynuatora”, będąc w istocie całkowitym przeciwieństwem leninizmu. Oto Józef Stalin w artykule „Rok wielkiego przełomu” powołuje się na poglądy Włodzimierza Lenina. Cytuje go:

„Raturkiem dla Rosji — mówił Lenin — jest nie tylko dobry urodzaj w gospodarstwie chłopskim — tego jeszcze nie dość — i nie tylko dobry stan przemysłu lekkiego, dostarczającego chłopstwu przedmiotów codziennego użytku — tego też jeszcze nie dość — dla nas niezbędny jest również przemysł ciężki... Bez uratowania przemysłu ciężkiego, bez jego odbudowy nie będziemy w stanie zbudować żadnego przemysłu, a bez przemysłu zginiećmy w ogóle jako kraj samodzielny...”

Cytat jest tak wybrany, że sugeruje rangę i znaczenie przemysłu ciężkiego, jako warunek istnienia socjalizmu w ogóle. Cytat ten pochodzi z przemówienia Włodzimierza Lenina wygłoszonego 13 listopada 1922 roku na IV Kongresie Międzynarodówki Komunistycznej, kiedy mówca oceniał sytuację Rosji po pięciu latach od rewolucji. Cytat ten był jakby rekapitulacją tego, co do tej pory powiedział, ale nie kategorycznym nakazem wynikającym z analizy sytuacji jako ogólnie obowiązująca zasada w realizacji przeobrażeń socjalistycznych każdej gospodarki. Rosji wówczas przemysł ciężki był niezbędny, choć również istniała potrzeba równocześniego rozwijania innych dziedzin gospodarki.

Gdy w Polsce lat siedemdziesiątych wznoszono Huta Katowice przekonywano ludzi, ile im to da więcej lodówek, pralek, samochodów, telewizorów, aparatów radiowych i tak dalej. Nie potrafili wówczas wyobrazić sobie „rozwinętego społeczeństwa socjalistycznego”, którego istnienie zostało zadekretowane odpowiednią uchwałą, bez rozwijania przemysłu ciężkiego. Nie negują potrzeby produkcji stali, ale myślę, że nam potrzeba mniej stali na wagę, ale za to dobrej.

Huta Katowice pracuje — można powiedzieć — dobrze, środowisko niszczy też niegorzej, a w sklepach nie ma nadal ani lodówek, ani pralek, ani telewizorów, że już nie wspomnę o samochodach. Nadal u nas występuje radosny paradoks, że samochód stary droższy jest od nowego. Na otwartę właśnie giełdzie samochodowej w Suwałkach za trzytysiętę „Poloneza” żądano... 8 milionów złotych. Jakoś nas ta Huta Katowice nie uratowała, drugiej Polski nie zbudowaliśmy, ani drugiej Japonii też i reforma nam nie wyszła. Dopiero teraz zamierzamy zmienić strukturę gospodarki i ją stabilizować. Oby z powodzeniem.

Nie wiem jakie jeszcze przedsiębiorstwa rząd zamierza zamknąć, ale Jerzy Urban zapowiedział, że będą to również szkodzące decyzje. Pożyjemy, zobaczymy. Po drodze być może znów uda się nam obalić kilka dogmatów, co uważam za niebylewale pożyteczne. Rozumiem wprawdzie, że wielu ludzi w wyniku tego będzie musiało uporządkować swoje myślenie i chęć im pomóc w tej trudnej pracy, przypominam — najważniejszym sprawdzianem użyteczności wszelkich założeń jest praktyka. Co się w praktyce nie sprawdza — trudno, trzeba odrzucić, jeśli zgodne to jest z interesem społecznym.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

(Fragmenty z książki „Lenin — Październik” wydanej przez PIW w 1970 roku).

Revolucja była dla niego wszystkim.

Był natchnieniem epoki

LĄSZŁO GYURKÓ

o nim wiemy, a więc jego niezwykłe teoretyczne przygotowanie, znajomość ludzi, ogólna wiedza, intelekt, praktyka polityczna, zdolność przewidywania tylko w jakimś stopniu mogą wytłumaczyć ten fakt.

Założyć chyba możemy, że człowiek, który w każdym swoim calu jest rewolucjonistą, który przez całe swoje życie przygotowuje się do rewolucji, nawet z oddali lepiej rozpoznawał się w rewolucji niż jego towarzysze, będący rewolucjonistami niewątpliwie mniejszego kalibru. Albowiem rodzą się nie tylko genialni fizycy czy muzycy, ale również genialni rewolucjonisci.

Być może miał i szczęście: kiedy przez towarzysze w kraju od pierwszej chwili byli pochłonięci codzienną polityką, on miał kilka tygodni, w czasie których jego uwagę nie zaprzętały szczegóły, nie wiązały codzienne zadania i mógł spokojnie rozważać cały proces. A pozostali? Plechawo, Martow, przywódca eserów — Czernow, przywódca „Bundu” — Abramowicz, wszyscy wytrawni, doświadczeni, utalentowani rewolucjonisci i filozofowie? Dlaczego im się to nie udało? I dlaczego właśnie udało się to Leninowi? (...)

Revolucja rosyjska stała się ilustracją marksistowskiej myśli — wszystko mała, wydawało się nieczym wobec interesów klasowych. Jakby cały kraj chodził uczyć się do Marksa, troskliwie nauczył się lekcji i gdy przyszła pora na przepytanie, odpowiadał dokładnie, słowo w słowo. Nigdzie na świecie nie ujawniły się tak wyrażenie, tak przejrzyście interesy klasowe; z historii rosyjskiej rewolucji można uczyć się marksizmu tak jak z anatomicznego atlasu człowieka. A podstawa tego, że proroczy program Lenina okazał się realny, leży w zwróceniu przez niego uwagi wyłącznie na interesy klasowe. Tajemnicą sukcesu był fakt, iż istniał pewien okres, którego jedyną istotą była walka klasowa, i był czło-

Czernow dobrze znał Lenina; przez dziesiątki lat walczyli ze sobą. A obserwatorem był dobrym. Ale jego obserwacje polegały uwolnić od owej Czernowskiej hierarchii wartości, bo i on wydając oceny nie był w stanie przekroczyć granic swego świata.

Bez wątpienia najbardziej rzucającą się w oczy cechą Lenina była jego stanowczość. A stanowczość zawsze denerwuje tych, którzy są mniej stanowczy. Jeśli się czegoś nie wie, a drugi mówi, że wie, natychmiast rodzi się opinia: ten drugi też na pewno nie wie, a tylko udaje, że wie, a więc jest albo oszustem, albo człowiekiem ograniczonym. Według Czernowa Lenin nie wiedział, dokąd zmierza, gdyż cel Lenina nie mógł być dla Czernowa zrozumiały; był po prostu fanfasmagoria.

Czernow dobrze wiedział, że Lenin nie jest oszustem. A zatem jest człowiekiem ograniczonym, jednostronnym. Rzekąć więc był jednostronny; interesowała go jedna jedyna rzecz — rewolucja. Wszystko inne było dla niego drugorzędne. Czyżby dlatego, że przytępiła się jego moralność? Raczej dlatego, że miał inny pogląd na tę moralność niż jego adwersarzy; wszelkie czyny oceniał z punktu widzenia interesów rewolucji.

I to również jest prawdą, że nie było dla niego różnicy między interesami osobistymi a socjalizmem. Tylko w pojęciu odwrotnym, niż wynikało to z interpretacji Czernowa. Co oczywiście jest zrozumiałe, gdyż wódz socjalistów-rewolucjonistów miał inne wyobrażenie o interesach socjalizmu; to, czego żądał Lenin, uważał po prostu za interes osobisty.

Kiedy wrócił do domu, do Rosji, na granicy musiał wypełnić kwestionariusz. W rubryce „zajęcie” napisał: dziennikarz. Nigdy nie był dziennikarzem w potoczny sposób słowa znaczeniu. Formą wypowiedzi jest dla dziennikarza pisanie; dla Lenina tą formą było działanie.

istota treści nie uszła uwadze. Podkreślał raz, dwa razy, stosował kursywę, nie oszczędzał wykrzykników. Prowadził swoich czytelników i pomagał im czytać. Raz po raz przestrzegał: uważajcie, to ważne, to ważniejsze, a to najważniejsze. Mówią, że styl to człowiek. Ale określenie to nie jest precyzyjne.

Styl Lenina był suchy, zwyczajny; Lenin nie przejmował się formą. Nie stosował kwiecistych porównań, a jeśli już używał takich zwrotów, to raziły one w tekście, nie pasowały. Nie ma śladu sentymentalizmu w jego pismach, bardzo rzadko używa pierwszej osoby liczby pojedynczej. Ta bezosobowość jest zarazem dowodem braku pozerstwa, całkiem mu bowiem była obca pogoń za wywieraniem wrażenia. Za to o wiele bardziej bliska są mu: gniew, namętłość, ironia. A najbardziej bliska — logika.

Do tej pory wszystko się zgadza: styl to człowiek. Ale jednocześnie ogromna ilość pism Lenina jest w swej stylistyce rozwlekła, pobieżna. Mimo to jest podstawową cechą natury Lenina była zdolność koncentracji, lapidarność, dokładność.

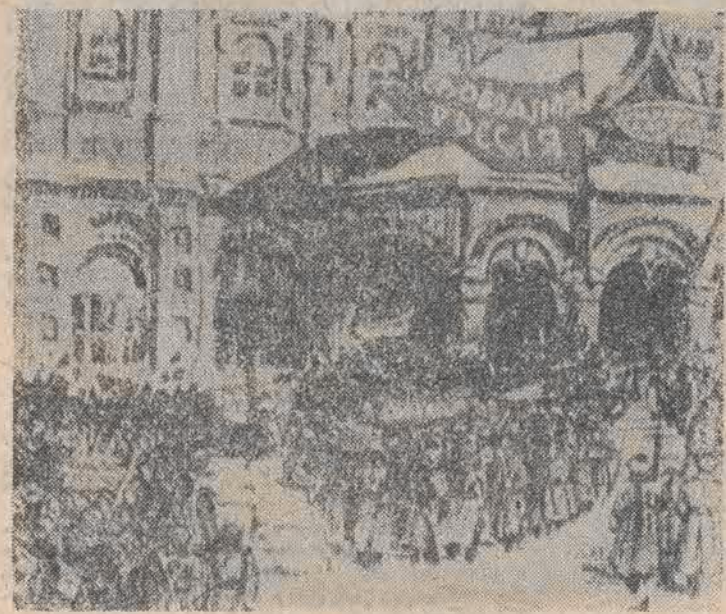
Styl to nie tylko człowiek, to także jego zdanie. To, co napisał wczoraj, musiał na nowo streszczać dziś, jutro i pojutrze tym, którzy jeszcze nie zapoznali się z tekstem. A sama myśl, czysta logika są trudne do zrozumienia dla ludzi, których chlebem powszednim nie jest praca umysłowa. Wszystkie te prawdy trzeba im było podać przeżute, aby je zrozumieli, stałe powtarzały to, co raz już zostało powiedziane.

Nikt nie może bezkarnie rozmięniać na drobne swoich myśli. A z jednej myśli nie sposób wykrzesać tuzina arcydzieł. Jedno z dzieł stanie się nieuchronnie wymęczone, drugie powierzchowne, trzecie ogólnikowe lub szare. U pisarzy również sprawdza się zasada: kto dużo pisze, ten tworzy także rzeczy drugorzędne.

Byłoby jednak błędem sądzić, że gdyby Balzac nie napisał stu powieści, lecz tylko dziesięć, to każde zdanie w tych dziesięciu dziełach blizszaloby jak perła. Balzac dlatego napisał sto powieści, bo musiał ich tyle napisać; olbrzymia energia nie dawała mu spokoju, swoje arcydzieła stworzył także dlatego, że napisał również wiele powieści drugorzędnych.

Lenin pisał rocznie około tysiąca stron. W jego piśmiarstwie jest mnóstwo rzeczy drugorzędnych. Ale nie ma też takiej ważnej myśli, której choćby raz nie potrafił ująć arcytrafnie. Nie znajdujemy tam wówczas miejsc jałowych, powierzchownych, rozwlekłych; logika z cudowną precyzją składa w całość budulec argumentów, a oryginalność spostrzeżeń, śmiałość wniosków i pewność rozumowania są wprost przykuwające. Dzieło jest tu adekwatne do myśli swego twórcy.

Kto śledził jedynie bieg jego myśli, może śmiało zapytać:



Ludzie, którzy bezpośrednio zetknęli się z Bolesławem Bierutem odnosili pozytywne o nim wrażenie. Takie wrażenie odniosła też Maria Dąbrowska, która rzeczywistość, jaka nastąpiła po 1948 roku osądzała bardzo krytycznie. W wydanych w 1988 roku „Dziennikach” zanotowała pod datą 2 maja 1952 roku:

„W piątek, 18 kwietnia, otrzymawszy zaproszenie do Rady Państwa na uroczyste przyjęcie dla Bieruta i gdy Modzelewska zadzwoniła proponując mi, że zabiorę mnie tam autem, pojechałam z nimi zobaczyć tę galówkę”.

Natalia Modzelewska — to żona Zygmunta Modzelewskiego — ówczesnego ministra spraw zagranicznych. Natalia Modzelewska nawiązała z Marią Dąbrowską kontakt i namówiła ją do tłumaczenia z języka rosyjskiego opowiadań Antoniego Czechowa.

„Bierut stał w pustej sali z dekoracją białoczerwoną — notowała dalej Maria Dąbrowska — stał na dywaniku i przyjmował życzenia. Między ceremoniami kierowali częścią tłumy na boki, zapewne, żeby oszczędzić solenizantowi nadmiaru uścisków dłoni. Ponieważ przyjechałam z Modzelewskim, z nimi też się trzymałam (...). Modzelewski pokreślił się i oznajmił, że „prezydent i wszystkie ważne osoby są o pół piętra niżej”.

— Chodźmy — powiedział do tego high life'u.

Zesłaliśmy. W samej rzeczy w tych niższych salach było już inne towarzystwo. Były już i wieczorowe powłóczyste suknie dam, niektóre bardzo bogate, i staranniejsze toalety panów, i dużo galowych mundurów, m.in. złotem szyte czarne mundury ambasady sowieckiej. Tu i ówdzie słychać było cudzoziemskie języki, rosyjski i francuski, dominował rosyjski. Stoly tak samo uginały się pod jedzeniem, jeszcze lepszym i wytworniejszym. Tak oto społeczeństwo dążące do bezklasowości „rozwarstwia się” w sposób nieuchronny. Do blasku nowego „high life'u” przylgnęła oczywiście cała nasza śmietanka „sfer artystycznych”. W tych dopiero salach zobaczyłam Iwaszkiewicza, Futramenta, Kruczkowskiego, Elżunię, Wyryka, Wollejkę (Chopin z filmu) i in. Modzelewscy mnie zapytali, czy nie mam nic przeciw temu, żeby „być przedstawioną” Bierutowi. Co można na takie pytanie odpowiedzieć, kiedy się już weszło w kabale?

— Proszę bardzo.

Ala Bierut był otoczony architektami mającymi budować ów Pałac Nauki i Kultury. Gdyśmy weszli do niego dotarli, zanim jeszcze zdążyłam usta otworzyć, zaczął mówić trzymając moją rękę w swojej, ogromnej jak narzędzie:

— Bardzo się cieszę, że mogę odnowić z panią znajomość sprzed czterdziestu lat.

Wiedząc, że za młodu wychowywał się u Papieskich w Lublinie, bąknęłam:

— Chyba w Lublinie?

— Tak pani mnie nie pamięta, ale ja panią dobrze pamiętam.

Ja znów:

— Tę tak dawno i byliśmy tacy młodzi (a w istocie rzeczy nigdy żadnego Bieruta w Lublinie nie poznałam).

Na to Bierut:

— Tak, pani była młoda, oczkami strzelała pani do chłopców.

Tu już wpadłam w ten ton i mówię:

— No, i chłopcy do mnie.

Tak, tak, ja się też podsuwałam, ale pani była taka obojętna, więc bez powodzenia. A od tego czasu znałam już panią tylko z książek.

To — mówię — może jest najważniejsza znajomość z pisarzem. Osoba jest zawsze mniej interesująca.

A nie, nie, przyjemnie jest poznać i osobę.

Na tym skończyła się jedyna moja rozmowa z kimś ze świata naszych dzisiejszych władz najwyższych. Bo tu podeszła Elżunia Barszczeńska, trochę podchmieleńca i tak ożywiona, jaką jej nigdy nie widuję, z naturalnym żądaniem „wypicia zdrowia prezydenta w jego ręce” (...). Bierut zrobił na mnie raczej dobre wrażenie, pewno dlatego, że mi mówił komplementy.

Inaczej opisuje swoje pierwsze spotkanie z Bolesławem Bierutem jego sekretarz prasowy Stanisław Łukasiewicz w książce „Byłem sekretarzem Bieruta”.

„Nagle drzwi otworzyły się i ukazała się w nich bardzo zdenerwowana Górska. Prowadziła, jakby pod ramie mężczyznę około pięćdziesiątki, średniego wzrostu, o czerstwej, jakiejś nierzuchomej twarzy, z ciemnym podstrzyżonym wąsikiem, o oczach gdzieś przed siebie daleko w przestrzeń wpatrzonych. Górska umiejętnie sterowała nim ku drzwiom hallu. Mężczyzna posuwał się w dość osobliwy sposób: drobił kroczkami, jakby kolana miał połączone ze sobą.

Był to właśnie Bolesław Bierut, faktycznie pełniący funkcję prezydenta Polski”.

Wanda Górska była wówczas sekretarką Bolesława Bieruta i osobą mu bliską. W jakiś czas później — może nawet po jego śmierci (?) — wyjechała na Zachód — czyli, jak się wówczas mówiło, uciekła, gdzie „wybrała wolność” i w którejś z zachodnich rozgłośni nadającej w języku polskim opowiadała wiele różnych intymności ze wspólnego z Bolesławem Bierutem życia.

Na temat Bolesława Bieruta krążyło wiele anegdot i dowcipów, opowiadanie których było dość niebezpieczne. Można było za to ponieść przykre konsekwencje, znaleźć się w więzieniu, bądź, oskarżonym o szerzenie wrogiej propagandy. W 1954 roku krążyły po Polsce wieści, że Lublin ma być przemianowany na Bierutowo. Na szczęście okazało się, że są to plotki, a jeśli nawet komuś wpadł do głowy podobny pomysł to dobrze, że z niego zrezygnowano. Nie wolno bowiem zmieniać historycznych nazw. Krążyły również wieści, że rozważano projekt zmiany godła i hymnu Polski. Z tych wieści wynikało, że zamiarem tym sprzeciwił się właśnie Bolesław Bierut.

Andrzej Burda we wspomnianej książce „Przymrozki i odwilże” przyznaje, że spotkanie z Bolesławem Bierutem wywarło na nim korzystniejsze wrażenie, niż się mógł spodziewać.

„Doferowało do moich uszu — napisał — że w rozmowach nieoficjalnych Bierut potrafi okazać szorstkość i używać ostrych sformułowań. Pierwsze spotkanie bynajmniej tego nie potwierdziło...”.

Wszyscy zgodnie utrzymują, że był człowiekiem niebywale pracowitym.

Nieraz — wspomina Henryk Różański w książce „Śladem wspomnień i dokumentów” (1943–1948) — pracował do późnej nocy. Pr-



BOLESŁAW BIERUT: życiorys pełen mitów i zagadek (2).

Między dwoma rodzinami

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

nieważ nie miał sumienia zatrzymać w tak poznych godzinach sekretarek i pomocników, pisał sam odręczne listy, dyrektywy, polecenia”. Taki właśnie list otrzymał autor książki. Natomiast Czesław Bobrowski zanotował we „Wspomnieniach ze stulecia”, że kiedyś latem 1946 roku zadzwonił do niego Bolesław Bierut mocno zgorzchniony tym, że nie wszyscy ministrowie pracują... w niedzielę. Czesław Bobrowski cenił sobie stosunki z Bolesławem Bierutem, a ten znów chętnie wysłuchiwał jego ocen sytuacji gospodarczej Polski i świata.

Stanisław Łukasiewicz w książce „Byłem sekretarzem Bieruta” potwierdza jego dużą pracowitość, ale wspomina też niezadowolenie Wandy Górskiej z faktu, że prezydent „nie kocha jeść”. Bolesław Bierut jadł bowiem w Belwederze razem z Wandą Górką. Z więzień i tułaczki wyniósł chorą wątrobę, nadkwasotę i inne dolegliwości układu trawiennego oraz nie przywiązywał należytej wagi do jedzenia. Dla niego była to konieczność, a nie przyjemność.

Jak już wspomnieliśmy oficjalny schemat życiorysu przywódcy, polityka, działacza wódza nie pozostawiał wiele miejsca na życie rodzinne. Często nawet o tym nie wspominało. Dopiero teraz wiemy, że Józef Stalin miał troje dzieci: Jakuba z pierwszą żoną oraz Swietłanę i Wasiliję z drugą żoną, która zresztą popełniła samobójstwo. Wiadomo było również, że Bolesław Bierut miał córkę. Krążyła po Polsce plotka, że Elżbieta Sommer — popularna „Chmurka” — jest właśnie... córką Bolesława Bieruta. Co jest prawdą.

Bolesław Bierut ożenił się w 1921 roku z Janiną Górką, z którą miał dwoje dzieci: Krystynę i Jana. Kiedy został działaczem nielegalnym i pracował w podziemiu, wzięły rodziną rozluźniały się, ale nigdy nie zostały zerwane. Gdy w styczniu 1927 roku został aresztowany spotkał się z pomocą działaczy spółdzielczych, którzy złożyli korzystne dla niego zeznania jak choćby Stanisław Szwalbe i opiekowali się rodziną. 30 kwietnia 1927 roku Bolesław Bierut wyszedł na wolność.

Wziął udział w obradach IV Zjazdu KPP, który obradował od 22 maja do 9 sierpnia 1927 roku w Sadowo-Sucharewskiej pod Moskwą. Wszedł — jak podaje Henryk Rechowicz w książce „Bolesław Bierut 1892–1956” w skład Tymczasowego Sekretariatu KPP. Po powrocie z Moskwy przez kilka tygodni przebywał w

Sopocie, gdzie mieściła się siedziba Biura Politycznego KC KPP, a następnie wyjechał do Moskwy na studia w Międzynarodowej Szkole Leninowskiej. Przebywał tam jako Jan (waniuk) i pisywał artykuły do czasopism: „Komunistyczekij Internacjonal” i „Rundschau”.

Po studiach został zatrudniony jako instruktor Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej i był delegowany do pracy w Austrii, Czechosłowacji i Bułgarii. Z Bułgarii przybył do ZSRR w sierpniu 1932 roku. W Moskwie poznał Małgorzatę Fornalską. Janina Górska urodziła się 30 stycznia 1890 roku, Małgorzata Fornalska 8 czerwca 1902 roku. Janina była starsza od męża o 2 lata, Małgorzata — o 10 lat młodszą.

Pochodziła z rodziny chłopskiej. Urodziła się we wsi Fajstawice w powiecie krasnostawskim, jej rodzicami byli: Antoni i Marcjanna. Ta ostatnia znana jest jako autorka „Pamiętnika matki”. Wychowywała Olę, córkę Małgorzaty i Bolesława.

Pierwsza wojna światowa rzuciła rodzinę Fornalskich do Carycyna — miasto to później dwukrotnie zmieniło nazwę, najpierw na Stalingrad, a następnie na Wolgograd. Wzięła udział w wydarzeniach rewolucji 1917 roku. Pracowała jako sprzątaczką w Domu Dziecka, uczyła się zawodu przedszkolanki, pomagała uchodźcom i jeńcom, wstąpiła do caryńskiej grupy SDKPiL, a w lipcu 1918 roku do RKP(b) Służyła w I Caryńskim Batalionie Komunistycznym. W grudniu 1919 roku skierowano ją na front w rejonie Smoleńska, a w styczniu 1920 roku do pracy partyjnej w Polsce. Była pracownikiem Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski, który powstał w Białymstoku z Julianem Marchlewskim na czele. Po klęsce wojsk radzieckich nad Wisłą 15 sierpnia 1920 roku powróciła do Rosji Radzieckiej studiowała na Uniwersytecie Komunistycznym im. J. Swierdłowa w Moskwie, a w 1921 roku powróciła do Polski. Działała jakiś czas na wsi w Lubelskiem. 12 sierpnia 1921 roku została aresztowana, wkrótce jednak zwolniona za kaucją. Pracowała w Centralnej Technice KPRP i w styczniu 1922 roku ponownie ją aresztowano.

Przesiedziała w więzieniu do 1926 roku. Chora na gruźlicę wyjechała do ZSRR na naukę i leczenie. Po podleczeniu gruźlicy i ukończeniu nauki do 1930 roku pracowała w Polsko-Nad-

baltyckim Sekretariacie Krajowym Komitetu Wykonawczego Kominternu.

Podczas pobytu w ZSRR na początku lat trzydziestych i pracy w Komitecie Wykonawczym MK Bolesław Bierut poznał Małgorzatę Fornalską. Znajomość przekształciła się w miłość, odcem, której była Aleksandra urodzona w Moskwie 15 czerwca 1932 roku. Dalsza praca partyjna rozłączyła oboje, a mała Aleksandra — jak już wspomnieliśmy — pozostała na wyznaniu Marcjanny Fornalskiej — babci.

W październiku 1932 roku Bolesław Bierut powrócił do Polski i objął funkcję sekretarza Komitetu Okręgowego KPP, w Łodzi w styczniu 1933 roku przeszedł do pracy w Komitecie Centralnym Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom (MOPR). 18 grudnia 1933 roku został aresztowany i przesiedział w więzieniu do 1938 roku.

Są w życiorysie Bolesława Bieruta momenty budzące wiele wątpliwości, których „hagiografowie” nie starali się wyjaśnić a niekiedy wręcz jeszcze zagmatwali. Na przykład wzajemne stosunki między Janiną Górką a Małgorzatą Fornalską. W pierwszym wydaniu książki „Bolesław Bierut 1892–1956” Henryk Rechowicz opisał wręcz idylliczną sytuację.

„Miłość do Małgorzaty Fornalskiej i urodzenie się Cienki nie zmieniło stosunku Bieruta do starszych dzieci — Krysty i Janki. Oboje razem z pierwszą żoną sprowadził do Moskwy. Po kilku miesiącach powrócił do Polski. Nie uznając mieszczańskiego zakłamania, w sposób uczciwy wyjaśnił Bierut sytuację, doprowadzając do wzajemnych przyjacielskich stosunków. Potwierdza to pierwsza żona J. Górką-Bierut oraz córka Krystyna, wspominając swoje kontakty w 1932 roku z Małgorzatą Fornalską, którą bardzo polubiła, oraz pierwsze spotkanie z Oleńką. Jako działacz konspiracyjny nie mógł zalegać z nowym związkiem małżeńskim i formalnie uregulować spraw rodzinnych”.

Sporo w życiu widziałem, przeżyłem i słyszałem. Przedstawiona sytuacja — jakby na to nie patrzeć — jest konfliktowa i wcale nie taka łatwa do rozwiązywania, nawet jeśli założy się, że obie kobiety zdolne są wykaazać wiele kultury, spokoju i zimnej krwi. Zdarza się to jednak w życiu niebывale rzadko, aby nie powiedzieć wcale. Z życia „wyższych sfer” Polski Ludowej znanych jest kilka skandali, kiedy prawowite żony w stosunku do swoich następczyni używały publicznie parasolek, a były żonami również zasłużonych działaczy robotniczych, pełniących wówczas wysokie stanowiska rządowe.

Studia w Moskwie Bolesław Bierut ukończył w 1931 roku i zaczął pracować w Sekretariacie Krajów Bałkańskich KW Kominternu. Wiało się to z licznymi wyjazdami. Małgorzata Fornalska ukończyła te same szkole w 1930 roku i pracowała — jak już wspomnieliśmy — w Polsko-Nadbałtyckim Sekretariacie tegoż Komitetu Wykonawczego. Występowała wtedy pod pseudonimami Małgorzata Michalska albo Małgorzata Jasieńska. Do Polski powróciła w 1934 roku, kiedy Bolesław Bierut był już w więzieniu. Z okupowanej części Polski wydosłała się do Białegostoku pod koniec 1939 roku. Wszystko wskazuje na to, że do roku 1940 nie spotkała się z Bolesławem Bierutem.

Bolesław Bierut spędził 8 miesięcy w Sofii, gdzie występował jako Mikołaj. W sierpniu 1932 roku został zdezakowany przez bułgarską policję i uciekł jej z obawianego już domu. Powrócił zatem do Moskwy w sierpniu 1932 roku. Oleńka miała już 2 miesiące. Do Polski wyjechał w październiku 1932 roku. W jaki sposób mógł sprowadzić do Moskwy żonę z dziećmi na „kilka miesięcy”? Mogło to być tylko kilka tygodni, jeśli w ogóle było faktem. Nie bowiem nie wskazuje, żeby Małgorzata Fornalska w Polsce kontaktowała się z rodziną Bolesława Bieruta, z którą miała się przecież zaprzyjaźnić. To Krystyna pisywała grypę do uwieszonego ojca, a Janina Górska-Bierut występowała o przedterminowe zwolnienie z więzienia, a gdy to nie odniosło skutku — o złagodzenie warunków więziennych. W 1938 roku — gdy Bolesław Bierut został zwolniony z więzienia — powrócił do rodziny i przebywał z nią.

Wprawdzie Henryk Rechowicz usunął z drugiego wydania swej książki cytowany wyżej fragment, w którym to jednak nie zmieniło sytuacji. Nadal bowiem nie wiemy, jak normalnie układały się losy liczącej już rodziny Bierutów. Tenże Henryk Rechowicz pisze, że w 1943 roku Małgorzata Fornalska — działając już w PPR — dowiedziała się od żony Bolesława Bieruta — Janiny Górskiej-Bierut o jego miejscu pobytu w rejonie Mińska i powstał nawet pomysł wysłania tam po niego córki Krystyny. W rezultacie pojechał Janek Krasicki. Aliści Stanisław Szwalbe w wywiadzie udzielonym Zbigniewowi Gajewskiemu ze „Sztandaru Młodych” w czerwcu 1987 roku sprawę powrotu Bolesława Bieruta przedstawia jakby inaczej. Powiedział on wówczas:

„Należałem do grupy, która uważała, że nie ma wroga na lewicy, i stąd zostałem wciągnięty do konspiracyjnej Krajowej Rady Narodowej. Radę współtworzył i organizował Bierut. Jak pan zapewne wie, przybył on wówczas ze Związku Radzieckiego”.

Oficjalna wersja życiorysu podaje, że wiosną 1943 roku do Bolesława Bieruta dotarł w okolicach Mińska Janek Krasicki, a w lipcu — na wezwanie KC PPR — Bolesław Bierut wrócił do Warszawy. Mińsk — choć był pod okupacją niemiecką — należał do ZSRR. Można więc powiedzieć Stanisław Szwalbego uznać za nieprecyzyjnie stwierdzenie. Ale w tym samym wywiadzie Stanisław Szwalbe mówi już dokładniej:

„Pomagałem mu się urządzić, kiedy w czasie okupacji przyjechał z Moskwy, aby tworzyć KRN”.

Tym razem nie może być mowy o braku precyzji w sformułowaniu. Skąd więc Bolesław Bierut w lipcu 1943 roku powrócił do Warszawy? Ale to nie jedna zagadka w jego życiorysie.

C.D.N.

Publikowany kolejny fragment szkicu o Bolesławie Bierucie pochodzi ze zbioru szkiców o najnowszej historii Polski przygotowywanych dla łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wdawniczej.



Uchwałę o wydawaniu czasopisma „Robotnik” podjęto na odbytym w Warszawie w lutym 1894 r. II Zjeździe PPS.

Pierwszy numer czasopisma z datą 12 lipca tegoż roku wyszedł spod nielegalnej prasy (owej właśnie „bostonki”), zainstalowanej w aptece Parniewskiego w miasteczku Lipniskim w pow. oszmiańskim na Wileńszczyźnie. Formalnie redakcję stanowił CK PPS, który rzeczywistym redaktorem mianował Józefa Piłsudskiego, a ten z kolei odwołał się do pomocy Kazimierza Pietkiewicza i Jana Stróżeckiego. Zecerem początkowo został Władysław Głowacki a następnie przyszedł prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski. Niebawem grunt zaczął się palić pod nogami konspiratorów wobec rosnącego w miasteczku zainteresowania tajemniczymi osobami przybywającymi po odbiór socjalistycznej „bibuli”. Trzeba było czym prędzej przenieść drukarnię do Wilna, gdzie działała od początku 1895 do końca 1898 r. Zarówno Józef Piłsudski, jak i Stanisław Wojciechowski, potrafili w sposób niezwykły komunikatywnie przedstawiać różne aspekty życia proletariatu polskiego, co sprzyjało zwiększaniu się poczynności pisma w środowiskach robotniczych. Nakład czasopisma wahał się wówczas w granicach 1200-1800 egz. „Robotnik” bezlitośnie krytykował politykę caratu oraz piętnował niekiedy przedstawicieli magnaterii herbowej i finansowej oraz ich lokajów w dziennikarstwie w rodzaju osławionego redaktora ultrakatolickiej „Roli” Jana Jeleńskiego za ich lojalizm i serwilizm wobec władz zaborczych. Ze swej strony dotknięci w swych wierнопoddanych uczuciach konstytucyści nie cofali się przed żadną podłością.

Powszechnie potępiany bigot i klerykal, prezes Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, ks. Michał Radziwiłł zasypywał ówczesnego general-gubernatora warszawskiego ks. Aleksandra Imeretynskiego raportami o niebezpieczeństwach płynących z rozpowszechnienia przez kolporterów nielegalnej literatury socjalistycznej. Już z własnej inicjatywy jasnie oświecony książę nakazał „usunąć stanowczo wszystkie książki ze wszystkich czytelni (WTD — przyp. AK), o ile książki takowe są na indeksie (...), a także „Niedzielników” i „Pracowników morza” (Wiktor Hugo — przyp. AK), jako mocno zabarwione duchem socjalistycznym”.

Policja szalała, pragnąc za wszelką cenę wykreślić nieuchwytną drukarnię „Robotnika”, chociaż niektórzy jej funkcjonariusze, jak to pisał agent carskiej ochrony Antoni Wiśniewski w swoim „Dzienniku szpiega” (wydanym przez PPS w Londynie w 1901 r.), sądzili, że „Robotnik” drukowany był za granicą ze względu na trudność podobie „wo używanego do druku papieru do papierów stosowanych do zagranych wyławnictw PPS”.

Tymczasem przez Wilno przeszła fala aresztowań konspiratorów zleką się o los tajnej drukarni tym bardziej, że jeden z aresztowanych członków partii, niejaki Twardowski, zapadł w więzieniu na chorobę umysłową, zaistniał więc niebezpieczeństwo denuncjacji. Nieco wcześniej wyjechał do Londynu najwierniejszy towarzysz Józefa Piłsudskiego Stanisław Wojciechowski wraz ze świeżo poślubioną małżonką. Piłsudski pisał w liście z 15 listopada 1898 r.: „Z wielu względów i ogólnie i prywatnie natury miałem już po uszy siedzieć tam (w Wilnie — AK). Nietrudno już było spodziewać się wyspy (...) i mogła w każdej chwili paść jego (denuncjator — AK) ofiara i drukarnia „Roba”.

Należało pomyśleć o przeprowadzce ważącej ok. 100 kg „bostonki” wraz z całym jej wyposażeniem. W połowie października 1899 r. pani Maria z Koplewskich Piłsudska i jej mąż Józef w towarzystwie Aleksandra Sulkiewicza (pseudonim „Michał”), Aleksandra Malinowskiego (pseudonim „Kazimierz”) i Kazimierza Rożnowskiego (pseudonim „Karol”) przekraczali próg wynajętego czteropokojowego mieszkania o dwóch wejściach (frontowym i kuchennym) przy ul. Wschodniej 19. Dziś na frontonie mocno zaniedbanego budynku widnieje wmurowana przed kilku laty tablica z napisem: „Józef Piłsudski zamieszkał w tym domu w 1899 r.”

tu redagował i drukował organ PPS „Robotnik”; aresztowany 21 II 1900. — „Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo”.

W mieszkaniu brakowało początkowo niezbędnych rzeczy, jak wynika z listu Piłsudskiego z 28 X 1899 r.:

„Wybaczyć, że piszę do was na takim kawaleczku, lecz na nowym miejscu nie ma do tychczas ani kawałka porządnego papieru”.

Józef Piłsudski radził ze znajdującego lokalu, choć lokalizacja drukarni na piętrze a nie na parterze sprzeciwiała się przyjętym w konspiracji regułom. Szczęśliwym trafem parter budynku pod mieszkaniem zajmowanym przez Piłsudskiego mieścił skład bawełny i pończoch.

Umeblowanie gabinetu-drukarni było bardzo skromne.

Na wprost okna z balkonem stało wielkie biurko, w którego szufladach składano rękopisy i materiały redakcyjne, otomana, służąca też jako schowek papieru, kosz do przechowywania odpadków powstałych przy produkcji, zanim nie zostały spalone w stojącym w rogu gabinetu piecu. Tuż przy drzwiach, wiodących do saloniku, stała ciemnoorzechowa politurowana szafka drewniana, obrócona bokiem do ściany. Wykonał ją sympatyzujący z PPS stolarz z Białegostoku. Szafka służyła do ukrycia „bostonki” — maszyny drukarskiej. W partyjnej gwarze nazywanej „babcią”. Szafka składała się

elektryczności i w naszej drukarni” — pisał niedawny zecer Stanisław Wojciechowski we wspomnieniu „Nasza stara maszyna”, drukowanym w 36 (londyńskim) numerze „Robotnika”, nie wiedząc nawet, że w mieszkaniu mecenasa Dąbrowskiego przy ul. Wschodniej nie było wówczas światła elektrycznego, a pracę wykonywano przy skąpmym blasku lampy naftowej.

We wspomnieniu o łódzkiej drukarni „Robotnika” („Walka rewolucyjna w zaborze rosyjskim. Cz. 1: Bibuła”, Kraków 1903) Piłsudski obliczył, że dwunastostronnicowy numer pisma kosztował ich zwykle 15-16 dni uciążliwej pracy, trwającej przeciętnie 9-11 godzin dziennie, licząc przeciętną wysokość nakładu na około 1900 egz. Piłsudski we właściwym sobie ekspresyjnym stylu opisał technikę tej mało atrakcyjnej, niewdzięcznej, a zarazem pełnej ciągłego napięcia nerwowego, pracy:

„Chwytaś arkusik papieru, przymierzasz go tak, by upadł akurat w odpowiednim miejscu naprzeciwko czołonek; przyciskasz rączkę maszyny — kłapi! Paszcza się zamknęła, papier dotknął się do czołonek, walki pobiegły na talerz; podnosisz rączkę do góry — paszcza się otworzyła, odkładasz zadrukowaną stronę na lewo i znowu dalej w kółko. I gdyby nie było żadnych przeszkód, gdyby można było nie zwracać uwagi ani na hałas, sprawiany przez maszynę, ani na to, co się w sąsiednich pokojach dzieje, gdyby można było złać się niejako z tą

Wielka wsypa

z dwóch części: dolnej, nieruchomej, z szufladami pełnymi kaszt z czołonekami, służącej, zarazem jako podstawa maszyny. Górna część szafki składała się z czterech ścianek i pokrywy. Jedną ze ścianek stanowiły drzewiczki, zamknięte na klucz, ściany boczne umocowane na zawiasach łączące były z wiekiem i podstawą specjalnymi haczykami. Przemyślna skrytka pozwalała na szybkie przysposobienie maszyny do pracy, a po jej zakończeniu szafka przybierała znowu rolę niezbędnego w kancelarii adwokackiej sprzętu.

Tuż za „bostonką” stał niewielki okrągły stolik, za nim duża naftowa lampa osłonięta japońskim abażurem. Nad biurkiem wisiał popularny portret Romualda Traugotta w prostej ramie, tu i ówdzie stała para krzeseł, i to wszystko. Po zakończeniu pracy zamykano gabinet na klucz. Klucz wkładano do wydrążonej podstawy bożka buriackiego, przywiezionego przez tow. „Wiktor” z Syberii. Bożek stał sobie spokojnie na małym japońskim stoliku w przyległym do gabinetu saloniku.

Pracę rozpoczynano zwykle około 9 rano, kiedy to do mieszkania przychodził były student uniwersytetu moskiewskiego Kazimierz Rożnowski — „Karol”, w okresie międzywojennym wiceminister pracy i opieki społecznej, a wówczas „nielegalnik” — zecer partyjny, wobec osób postronnych występujący jako Stanisław Krajewski, dependant „mecenasa” Dąbrowskiego. Rożnowski porządkował gabinet na tyle, by służyć Józefa Piłsudskiego lub jej następczyni Kazimierza Drzewicką mogła w obecności pani Piłsudskiej posprzątać mieszkanie dokładnie. Chodziło po prostu o to, by służyć nie odkryła przypadkiem tajemnicy drewnianej szafki, a równocześnie, by nie stwarzała przed nią atmosfery nadmiernej tajemnicy.

Zaraz po śniadaniu Józef Piłsudski i Kazimierz Rożnowski udawali się do gabinetu, gdzie tow. „Wiktor” ślał rękopisy i pisał teksty, które następnie tow. „Karol” składał, po czym obydwoje odbijali je na starej, wysłużonej „bostonce”, którą miano po sporządzeniu dwumilionowej odbitki przekazać do zbiorów muzeum rapperswileńskiego w Szwajcarii.

Gdy trzeba było biec 1800 egzemplarzy, a krzyż, bok lub reka porządnie doległy od ciągłego pochylania się i naciskania rączki — każdy z nas, kowu przypadło w udziale przy niej popracować, marzył o zastosowaniu pary lub

maszynką, zastosować zupełnie do jej poruszenia i klepać sobie spokojnie, myśląc o czym innym. Bz, zapomniałeś się, a ja słyszysz okrzyk towarzysza pracy, który dźwięczy przy kaszcie: „Cholera! Maszyna zanadto huca! Może podać oliwy?” Albo słyszysz ostrzegawcze nucienie żony, co oznaczało, że służąc jest w pokojach, że należy biec ciszej, ostrzeżenie obchodzić się z kapryśną maszyną”.

Obaj redaktorzy kolejnych numerów nielegalnego „Robotnika” kłnęli w żywy kamień niesforne „bostonki”, wymyślając jej od „starego klekota”, „cholery” i „głupiego bydlęcia”, ale cóż to była za radość, gdy zmęczonym oczom pojawiły się staleowane już kilkunastostronnicowe numery pisma — owoc żmudnej pracy redaktora Józefa Piłsudskiego i cierpliwego zecera Kazimierza Rożnowskiego, ale też bezimiennych współpracowników i koniecznie anonimowej reszty korespondentów, ślących do redakcji niewprawnym duktem pisane listy pełne bólu, jęków i skarg na ucisk, przemoc i bezprawie. Teraz tylko spałować pierwsze partie „bibuty” w paczki po 50 — tuk każda, oddzielając jedną od drugiej wąskimi pasekami papieru, wstawiając do woli skł: jasnej „blondynki” i ciemnej „brunetki” i jazda dorożką na nieodległy Dworzec Fabryczny, by zająć na warszawski pociąg, bo tam towarzysze z konspiracji czekała na najświeższy numer „Robotnika”.

Wielka wsypa nielegalnej drukarni „Robotnika” w Łodzi nastąpiła zupełnie przypadkowo.

Przybyły do Łodzi inż. Aleksander Malinowski nabył na polecenie Józefa Piłsudskiego znaczną ilość papieru w składzie Tyberja przy ul. Piotrkowskiej nie-łoko Zielonej. Gdy przenoszono towar z dorożki do mieszkania Piłsudskich spostrzegł to stojący na czatach szpicel i doniósł komendantowi policji. Potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Malinowski został aresztowany na Dworcu Fabrycznym a niebawem policja odcygnęła budynek przy Wschodniej wkradła kuchennym wejściem do mieszkania Piłsudskich.

Po przeprowadzeniu pobieżnej rewizji przewieziono małżonkę do więzienia przy ul. Długiej (obecnie Gdańskiej 13, siedziba Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego). Prowadzący prze-

śluchanie rotmistrz żandarmerii z obłudnym uśmiechem współczuł aresztowanemu, że przez wykrycie drukarni został zadany partii drugogocący cios.

— Nielatwo — mówił rotmistrz — zdobyć się raz jeszcze na taki wysiłek, nielatwo zorganizować podobną rzecz na nowo.

— Ależ panie rotmistrzu — zawołał Józef Piłsudski, śmiejąc się głośno — jestem przekonany, że w tej może chwili już się drukuje następny numer „Robotnika”. Niech mi pan wierzy, że dla PPS nie stanowi to nic tak bardzo trudnego.

Słowa Józefa Piłsudskiego okazały się prorocze, bo wkrótce po ich wypowiedzeniu pojawiły się rzeczywiście w kraju dwa kolejne numery „Robotnika” (nr 36 i 37), zredagowane i prawie w całości napisane przez Stanisława Wojciechowskiego i wydrukowane w łódzkiej drukarni PPS. Pierwszą wiadomość o aresztowaniu Piłsudskiego przesłał do Londynu Aleksander Sulkiewicz już 26 lutego.

Józef Piłsudski przebywał w łódzkiej więzieniu do 18 kwietnia 1900 r., po czym przewieziono go z zachowaniem wszelkiej ostrożności do Cytadeli Warszawskiej. Sulkiewicz pisał 27 kwietnia 1900 r.:

„Ziuk, Władek (Malinowski — przyp. AK) i Ziukowa są już w cytadeli. Pierwszą przywieźli Ziukową, facetów dniem później. Matka i mąż Kizi przyjechali do Warszawy jednym pociągiem z nimi i widzieli obydwoch na dworcu wiedeńskim, przywieźli o 6 rano. Najpierw wprowadzili Władka w otoczeniu 6 żandarmerii i powieźli dalej. Ziuka zaś przesadzili do osobnego wagonu i odstawili wagon na stronę. Przypuszczam, że obuwając się odbicia powieźli go obwodową na nadwiślański, a stamtąd już do cytadeli. Wieźli każde o w osobnym przedziale. Władek szedł z podniesioną do góry głową i miał dobrą minę. Ziuk do niepoznania zmienił się. schudł, błąd był więcej niż zwykle, ale tuż miał spokojną i szedł powoli rozglądając się”.

Kazimierz Rożnowski został ujęty w kilka dni po uwięzieniu Piłsudskiego (26 II) wraz z Konradem Jeziorskim, u którego mieszkał w Wilnie. Jeziorski, bliski współpracownik „Robotnika”, mimo groźącego mu wyroku śmierci (zamienionego później na dożywotnią katorgę) odmówił obciążających przyjaciela reznar. Obydwaj nie wypierali się przynależności do partii socjalistycznej.

Podczas pobytu w cytadeli warszawskiej Józef Piłsudski zaczął zdradzać symptomy choroby umysłowej

(często stosowana taktyka więzienna): władza podjęła decyzję o przeniesieniu więźnia do petersburskiego szpitala św. Mikołaja Cudołowcy. Stamtąd wraz z Władysławem Mazurkiewiczem, członkiem petersburskiej grupy PPS, a zarazem lekarzem dyżurnym szpitala zbiegli w nocy z 1 na 2 maja 1901 r. Tegoż dnia uwolniona wcześniej z więzienia i mieszkająca pod nadzorem policji Maria Piłsudska opuściła potajemnie Wilno, udając się za granicę. Małżonkowie spotkali się w końcu listopada 1901 r. w Londynie, gdzie tow. „Wiktor” podjął na nowo przerwaną pracę konspiracyjną.

A co się stało z wysłużoną „bostonką”, niedoszłym eksponatem muzeum w Rapperswilu? Rozkaz polemajstra Chrzanowskiego udał się do opieczowanego lokalu tajnej drukarni dwaj zecerzy, zatrudnieni w drukarni Petersilgo: Ludomir Mazurkiewicz i Władysław Stolarski. Tam pod kontrolą ppłk Gnoińskiego i trzech żandarmerii uporządkowali i spakowali całe wyposażenie drukarni, które jakoby miało zostać wysłane do Petersburga. Tymczasem odestano zarekwirowaną maszynę do lokalu żandarmerii przy ul. Pańskiej (obecnie Żeromskiego).

Aleksy Rzewski, późniejszy socjalistyczny prezydent Łodzi, wspominał po latach, że „bostonka” przeleżała spokojnie w magazynach łódzkiej ochrony aż do 1916 r., kiedy to dwaj byli arenci policji carskiej sprzedali ją za 75 marek łódzkiej organizacji PPS. W 1918 r. maszyna została wykryta przez niemiecką policję kryminalną i przewieziona do komendy przy ul. Olgńskiej (obecnie Piramowicza). W świetle przeprowadzonych tuż przed wojną badań porównawczych stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że zachowana w Łódzkiej Okręgowym Komitecie Robotniczym PPS „bostonka” nie była podobna do tej, na której towarzysze „Wiktor” i „Karol” tłoczyli kolejne numery „Robotnika”. Gdy dojrzała w Łodzi myśl zorganizowania w mieszkaniu przy ul. Wschodniej muzeum pamięci Marszałka pod nazwą „Warsztat Pracy Konspiracyjnej Józefa Piłsudskiego” zdecydowano o potrzebie nabycia w charakterze eksponatu muzealnego identycznego egzemplarza „bostonki”. Obarczono tą misją ówczesnego ministra pełnomocnego i ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej w Anglii Edwarda Raczyńskiego, który wkrótce powiadomił Zarząd Miejski o możliwości zakupu używanej maszyny tego typu w firmie „Kelsior Printers Supply Co. Ltd. Zarząd wystąpił do Ministerstwa Skarbu z wnioskiem o zwolnienie nabytku z niewielkiej reszta opłaty celnej, motywując prośbę wysoką rucią stanu i obowiązkiem wielkiej społecznej wagi. Odnosne władze ministerialne w osobie jakiegoś radcy Zająca nie przejęły się zbyt apeliem w sprawie pamiętki po Wielkim Marszałku, jak wynika z treści zachowanego na wieczną rzecz pamiętkę pisma:

„Wniosek Zarządu Miejskiego z dnia 1 lipca 1935 r. (następuje numer pisma — przyp. AK) o zwolnienie od należności celnych maszyny drukarskiej nie został uwzględniony dla braku podstaw prawnych”.

Widocznie dłoń radcy Zająca kierował usmiechający się drwiąco sam św. Biurokracy. Namawiam, powódzicie kiedyś, łaskawie Czytelnicy, do Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi, mieszczącego się w historycznym gmachu więziennym przy ul. Gdańskiej 13. Tam na parterze, po lewej stronie korytarza stoi pośrodku ta właśnie „bostonka”, która niedługo znajdowała się w „Warsztacie Pracy Konspiracyjnej Józefa Piłsudskiego”, bliźniacza siostra tej, na której tłoczono nakłady „Robotnika”.

ANDRZEJ KEMPA



Od lewej: plk. B. Wieniawa-Długosowski, J. Piłsudski, mjr A. Prystor i plk. W. Stachiewicz.

ski, rzecznik prasowy wojewody plockiego skłonny jest twierdzić, że raczej nie, gdyż brakowało ich w wojewódzkim rejestrze zabytków. Tadeusz Horyń z kolei — że raczej tak, gdyż wchodzili w skład uznanego oficjalnie za zabytkowy zespół urbanistyczno-architektoniczny obejmującego między innymi całą ulicę Kwiatka, zaś wpisanie ich do rejestru było, jego zdaniem, już tylko kwestią czasu. Tak, czy inaczej, podlegały jednakże ochronie konserwatorskiej, co oznacza, iż nie wolno ich było zburzyć bez wyrażenia na to zgody konserwatora wojewódzkiego.

Nie ma natomiast żadnych wątpliwości, że kamieniczki przy ulicy Kwiatka znajdowały się od dawna w bardzo złym stanie i że nie zrobiono praktycznie nic, aby nie dopuścić do zupełnego ich zniszczenia. Przeciwnie, w pobliskim ratuszu zdawano się tylko czekać na dzień kiedy to nastąpi i można będzie wreszcie pozbyć się związanego z nimi kłopotu.

Pierwszy atak przypuszczono w 1982 roku, kiedy to kierownik Wydziału Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Miasta w Plocku, Tadeusz Roguski wydał decyzję o wyburzeniu budynków nr 36/38, a później — także budynku nr 40. Decyzjom tym przeciwstawił się ówczesny wojewódzki konserwator zabytków, Tadeusz Wróblewski, który dopuszczał jedynie możliwość rozebrania oficyny w podwórku, co w niczym nie zmieniło ogólnego wyglądu ulicy, mogło zaś uchronić mieszkających w niej ludzi przed nagłą śmiercią pod gruzami.

Po dalszych sześciu latach bezczynności władz

bezpieczeństwa ustawowych uprawnień wojewódzkiego konserwatora zabytków oraz spowodowanie podjęcia działań zmierzających do opracowania szczegółowego planu zagospodarowania środowiska Plocka, jako że mimo upływu 4 lat od chwili podjęcia uchwały w tej sprawie przez Wojewódzką Radę Narodową, planu takiego dotąd nie sporządzono. A także — o „rozważenie możliwości wszczęcia postępowania dyscyplinarnego bądź służbowego przeciwko osobom winnym spowodowania wyburzenia kamieniczek...”.

Antoni Bielak oczywiście rozważył możliwość, a Komisja Dyscyplinarna dla Urzędników Państwowych przy Urzędzie Wojewódzkim w Plocku, na czele której stał Jan Waldemar Kulinski, szef gabinetu wojewody, zajęła się rychło osobą... Tadeusza Horynia, gdyż to on właśnie — zdaniem władz wojewódzkich — naruszył przepisy ustawy o pracownikach urzędów państwowych. A naruszył ją tym, że... „swoim działaniem, a w szczególności poprzez udzielanie po dniu 2 lipca 1988 r. nie znajdujących oparcia w dokumentacji niekompetentnych wyjaśnień oraz niereagowanie na notatki prasowe, doprowadził do rozpowszechnienia nieprawdziwych informacji: jakoby obiekty położone w Plocku przy ulicy Kwiatka 36, 38 i 40 wyburzone zgodnie z decyzją kierownika Wydziału Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego były zabytkami podlegającymi ochronie...”.

29 września 1988 r. na podstawie „publikacji prasowych, zeznań dziennikarzy i wyjaśnień obwinionego”, komisja jednogłośnie uznała Tadeusza Horynia winnym zarzucanych mu czynów i ukarała go przeniesieniem na niższe stanowisko.

W Plocku powiało grozą.

Tadeusz Zieliński, konserwator generalny, dyrektor Departamentu Ochrony Dóbr Kultury, Muzeów i Plastyki w Ministerstwie Kultury i Sztuki powiedział dziennikarzowi PAP: „Ze stanowiska Prokuratury Generalnej jednoznacznie wynika, kto ponosi odpowiedzialność. Z pewnością osobą tą nie jest wojewódzki konserwator zabytków”.

Tadeusz Horyń, w odwołaniu od orzeczenia komisji napisał, że: „komplet orzekający nie dał do wszechstronnego zbadania sprawy”, „odrzuć mój wniosek zgłoszony na pierwszym posiedzeniu o przesłuchanie taśmy magnetofonowej z konferencji prasowej u Prezydenta Miasta Plocka w dn. 1988.07.06... gdzie moja wypowiedź m.in. na omawiany temat była jednoznacznie inna niż mi się przypisuje”, a także, iż „członkowie komisji nie zadawali świadkom pytań, które pozwoliłyby ujawnić bezzasadność zarzutów i obalić podtrzymaną wbrew faktom (...) tezę”, w związku z czym nie czuje się on ani winnym jakiegokolwiek uchybienia, ani nawet nie może przyjąć, że zostało mu coś udowodnione.

Na wspomnianej konferencji, zwołanej ad hoc po pierwszych doniesieniach prasowych, prezydent Plocka, Marian Rodzeń powiedział do udzielającego dziennikarzom informacji Tadeusza Horynia: „Pan ma swoje prawo, a ja mam swoje”. Prawdopodobnie wbrew intencji prezydenta, niektórzy z obecnych przyjęli te słowa jako cichą wykładnię zasad postępowania lokalnych władz.

Autor reportażu nie wie, czy XIX-wieczna zabudowa ulicy Kwiatka należałaby w całości wciągnąć do rejestru zabytków województwa plockiego, czy nie. Pozostawia to historykom sztuki. Jest jednak przekonany, iż ulica ta ma swój styl, swój klimat, który należy za wszelką cenę zachować w nienaruszonym stanie.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

P.S.

Autor reportażu nie jest mieszkańcem Plocka i nie zna dobrze miasta. Ale wystarczyć mu spacer po starówce, by przekonać się, że niejedną jeszcze kamieniczką podzielił już wkrótce los tych, które powinny cieszyć jego oczy.

Autor reportażu nie zna wszystkich zawiłości pracy urzędników administracji państwowej, choć orientuje się, że wiele decyzji wymusza na nich życie i to niezależnie od podzielenych prywatnie poglądów. Mimo to uważa, iż wzmasy czysto formalne nie powinny nikomu przesłaniać rzeczywistych problemów, do których w Plocku należy między innymi ratowanie jego zabytków, choćby nawet nie były to jeszcze zabytki w pełnym tego słowa znaczeniu.

Co się zaś tyczy twierdzenia rzecznika prasowego wojewody plockiego, że artykuły i audycje radiowe sprawiły, iż „opinii publicznej uzmysławiano brak dbałości o dobra kultury w tym mieście, co w zestawieniu z efektami i dużym zakresem prac nad uchronieniem faktycznych zabytków w Plocku było szczególnie krzywdzące”, to ma on, jak uczy doświadczenie, rację.

Gdy nie ma winnych, zawsze winni są dziennikarze i cykliści.

P. T.

Konserwator do bicia

sprawa stała się jeszcze bardziej paląca, o czym niewątpliwie przesądziło częściowe zawalenie się 8 kwietnia 1988 roku innej kamieniczki przy tej samej ulicy. Cud sprawił, że obyło się bez ofiar. W ratuszu wydarzenie to napędziło jednak urzędników takiego strachu, że już 19 kwietnia gotowe były nowe decyzje o rozebraniu budynków oznaczonych numerami 36, 38 i 40. Oparzono je uwagą, że wykonawca prac rozbiórkowych, Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej, powinno najpierw dostosować się do tak zwanych warunków konserwatorskich, które w takim przypadku sprowadzają się — najkrócej mówiąc — do tego, iż przed koniecznym rozebraniem zabytkowego obiektu należy sporządzić tak zwaną inwentaryzację architektoniczną, ponieważ na jej podstawie będzie w przyszłości możliwe odтворzenie budynku w jego pierwotnym kształcie.

Jak wymóg ten miał zostać pogodzony z faktem rozpoczęcia już prac rozbiórkowych, Tadeusz Roguski nie wyjaśniał. Trudno uwierzyć też, by zapomniał nagle o stanowisku poprzedniego konserwatora, który stanowczo sprzeciwił się unicestwieniu kamieniczek, a miał przy tym to szczęście, iż były one wówczas jeszcze zamieszkałe i sprawę „tymczasem” odłożono.

Tadeusz Horyń, który wojewódzkim konserwator zabytków został w 1984 roku, na pierwszą decyzję kierownika Roguskiego zareagował łagodnie. Może zbyt łagodnie. Myślał jednak, że sama rozmowa z nim wystarczy i skoro rzeczywistość nie ma już innego wyjścia, znajdzie się przynajmniej czas na wykonanie inwentaryzacji. Niestety, pomylił się. Kierownik nie miał najmniejszego zamiaru przykładać się do ratowania walących się kamienic. Drugą jego decyzję oprostował więc już na piśmie, wskazując, iż Tadeusz Roguski w jawny sposób pogwałcił obowiązujące obu prawo. To samo prawo.

Do Urzędu Miasta odwołanie Tadeusza Horynia wpłynęło 6 lipca, tego dnia, kiedy w prasie pojawiły się pierwsze doniesienia PAP, że „zamiast rewolucji w Plocku... burzy się zespół staromiejski”. Więcej zrobić nie był w stanie, gdyż trudno na przykład sobie wyobrazić, aby własną pierś zasłaniać miał robotnikom wstęp na teren posesji.

Dalej wydarzenia potoczyły się w dosyć szybkim, jak na nasze zwyczaje, tempie. 7 lipca 1988 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki powiadomiło wojewodę plockiego, Antoniego Bielaka, iż nazajutrz przyjdzie specjalna komisja, która zbada sprawę kamieniczek przy ulicy Kwiatka. W jej skład weszły po dwie osoby z Departamentu Ochrony Dóbr Kultury, Muzeów i Plastyki oraz zespołu ekspertów Międzyresortowej Komisji ds. Rewaloryzacji Miast i Zespołów Staromiejskich. Komisja stwierdziła nagle, że wbrew zaleceniom ministra Aleksandra Krawczuka „rozbiórki nie zostały wstrzymane, orwano je niepostrzeżenie i 8 lipca były już na ukończeniu”, skutkiem czego minister kultury i sztuki wystąpił 18 lipca 1988 r. do prokuratora generalnego o zbadanie sprawy w ramach kontroli przestrzegania prawa. Już miesiąc później zespół kontrolny przedstawił swoją ocenę zaistniałej sytuacji oraz płynące z niej wnioski.

„...decyzje o rozbiorze budynków wydane zostały z rażącym naruszeniem prawa skutkującym ich nieważnością...” — stwierdzili między innymi kontrolerzy, wskazując jednocześnie na „niezasadność wieloletnią bezczynność miejscowych władz administracyjnych w zakresie podjęcia robót budowlanych, mających na celu ochronę wymienionych obiektów jako mieszczących się w zespole urbanistyczno-architektonicznym i podlegającym ochronie konserwatorskiej”.

Podobne w treści i tonie było wystąpienie prokuratora wojewódzkiego w Plocku, Mariana Siemaszko, który 24 sierpnia zwrócił się do wojewody Bielaka o „podjęcie działań organizacyjnych, zmierzających do skutecznego za-

Smutek nad Skaldą

ze str. 1

chyba jedynie dzięki temu dziwakowi, co wędruje od placu do placu z pożalowania godnym programem muzycznym. Program godny jest niby pożalowania, lecz wygląd artysty ze wszech miar zasługuje na to, aby go uwiecznić. Wystawie sobie państwo: czarny strój kominiarski i czarny, spiczasty, niezwykle wysoki kapelusz. Na piersiach sterczała harmonia o dziurawym miechu i pourwany guzikach. Na lewym ramieniu fujałki, flety, piszczałki i gwizdki, z których człowiek-orkestra nie korzysta wcale; na prawym, aż po biodra i uda, duże i małe dzwonki; histeryzujące rozpaczliwie, kiedy muzyk przestaje grać i podejmuje szlachetny wysiłek przepieraszowania się z miejsca na miejsce. Nie kończy się na tym bynajmniej osprzet naszego sześćdziesięcioletniego cudaka — ma on jeszcze na sobie od frontu jakieś nie używane instrumenty klawiszowe, co to dmucha się w ustnik i przebiega po klawiaturze paluchami; ma od frontu bawoli róg, pozytywkę, organki, trąbkę, pompkę rowerową i dziecięcy saksofon, na plecach zaś dźwiga prawdziwy werbel i dwa prawdziwe czyniele, do których przymocowane są paliki połączone ze sznurkiem biegnącym poprzez ramię aż do stopy i jak muzyk przytupuje nogą, pały walą do taktu aż miło.

Niemcy wspomagają od czasu do czasu multimedialną listę drobniaczek, obokrajowcy stronią od niego jak od zarazy, gdyż twórcą nie zadowolą się byle glosem — klnie i pluje, jeśli ktoś da mu mniej niż dwadzieścia fenigów. Czasami padają również zagrażające pieniądze: jakiś Polak dał mu dwa złote.

— Stul pysk.
— Dlaczego?
— Nie wolno gwizdać, bo tytułujesz sztorm. O! już zaczęło kiwać.
— A świsnąć wolno?
— Też nie wolno.

— To co wolno? — zapytał młody marynarz; rinał oczywiście idiotę, gdyż obcyżaje morskie znał doskonale. — Powiedz mi w takim razie, co w ogóle wolno?

— Najlepiej, jeśli byś będziesz używał tylko przy jedzeniu. A jak już musisz coś powiedzieć, to szeptem.

Zamilkli obaj. W tym samym momencie statek przestał kiwać i zza chmur wyjrzało blade słońce.

2.

Mój statek to „M/s Władysław Łokietek”, siedemnastolatka o dziesięciu tysiącach ton wyporności. Z kraju wziął „Łokietek” mienie przesiedleńcze dla misji katolickich w Kenii i Tunezji oraz trochę miękkich i twardych płyt pilśniowych. W Helsinborgu doładowali go papierem i ogromnymi paletyzowanymi worami zgranulowanego tlenku aluminium, który służy do uszlachetniania wody; w Rostocku dobrał cement i żelazo dla Wysp Komorskich oraz uzupełnił zapas paliwa — ciężkiego: dla silnika głównego, i lekkiego: dla agregatów i silników prądowców. Z Antwerpii bierzemy drobniaczki: kontenery i używane samochody.

Z ładunkiem tym okrążymy od zachodu Afrykę, opłyniemy Przylądek Dobrej Nadziei, pożegnamy Atlantyk, powitamy Ocean Indyjski i ruszymy w górę Afryki Wschodniej, aby rozpocząć wyładunek na Komorach (archipelag wysp wulkanicznych między Madagaskarem i wybrzeżem afrykańskim; Republika Islamska). Będziemy, kolejno, w portach na wszystkich trzech wyspach Republiki, w Moroni; Matsumadzu i Dzaudzi, potem zawiniemy do Dar es Salaam (Tanzania) i Mombasy (Kenia), dalej zaś nasze losy uzależnione są od frachtu, który zaczniemy brać bądź rozwijemy po portach zachodniego lub wschodniego wybrzeża. Niewykluczone, że wrócimy do Europy tą samą drogą, którą przyplynieśmy, a więc od zachodu, możliwy jest także powrót przez Morze Czerwone i Basen Morza Śródziemnego. Nie wiadomo, czy będą ładunki do Europy; w ogóle nie wiadomo nic, poza tym, że na razie tempo rejsu jest dobre i marynarze zaczynają wierzyć, iż w grudniu staniami w Gdyni.

Kanał Kiloński pożegnaliśmy w południe 18 sierpnia 1988 r. Po kilku chłodnych dniach zrobiło się ciepło. W kabinie jestem sam, mogę pisać; rano przystąpię do pracy nad szóstym odcinkiem „Pięćdziesięciu melonów”. Z każdego odcinka zmuszony jestem zrobić ręczną kopię, bowiem pisanie przez kalkę w ogóle mi nie wychodzi. Sądzę, że z Mombasy uda mi się wysłać do „Odgłosów” trzy kolejne odcinki i reportaż. W ten sposób jedno będzie drugiemu towarzyszyć; reportaż

stanie się niejako dziennikiem powstania powieści, która jest chyba nieza — wciągnęła mnie. Dobrze swoją drogą; że mam ze sobą na statku pisanie. Dobrze, że jest o czym myśleć po nocach, kiedy fale rozbijają się miarowo o burtę, a w szybie bulaju świecą gwiazdy. Dopóki mogę pisać, nie grozi mi szaleństwo.

3.

W Antwerpii byłem już kilka razy, latem i jesienią, kiedy świeciło słońce i kiedy padał całymi dniami deszcz. Dziewiętnastego, jakieś podchodzili do tego ogromnego (jednego z trzech największych na świecie) portu, pogoda zastrajkowała: niebo pokryły gęste warstwy chmur; śpiąco; morze było spokojne, lecz jeden marynarz gwizdał nieopatrnie na pokładzie i drugi z miejsca go skontrował.

— Stul pysk.

— Dlaczego?

— Nie wolno gwizdać, bo tytułujesz sztorm. O! już zaczęło kiwać.

— A świsnąć wolno?

— Też nie wolno.

— To co wolno? — zapytał młody marynarz; rinał oczywiście idiotę, gdyż obcyżaje morskie znał doskonale. — Powiedz mi w takim razie, co w ogóle wolno?

— Najlepiej, jeśli byś będziesz używał tylko przy jedzeniu. A jak już musisz coś powiedzieć, to szeptem.

Zamilkli obaj. W tym samym momencie statek przestał kiwać i zza chmur wyjrzało blade słońce.

Dziwny to naród, marynarze. Kapryśny, serdeczny, bojowy i cichy, pochmurny i wesoły, skory do reakcji gwałtownych i sentymentalnych. Jedną wielką sprzeczność; garniec z burzą się wodą. Tęsknią za żonami i dziećmi; jednocześnie są szczęśliwi, że uwolnili się od żon i dzieci. Nastroje zmieniają się z każdą chwilą.

— Wziął mnie z łapanki.

— Mnie też.

— Dałem się nabrać. Powiedz, że rejs potrwa najwyżej dziewięćdziesiąt dni.

— Lepiej przygotować się na dłuższy rejs niż na krótszy. Wtedy każdy urwany dzień to szczęście.

Na statku, podobnie jak na innych statkach, panuje prohibicja. I tu obowiązują od pewnego czasu zasady wychowania w trzeźwości. Nie potrafię doprawdy powiedzieć, czy jest to zasada słuszna. Marynarze stosują się do niej z ogromną nadzieją. Kiedyś! To były lata! Teraz można najwyżej wypić piwo, i to po pracy. Tę jednak trzeba cenić. Wystarczy jeden poślizg i można ją stracić, a na ładzie czeka na swoją kolejka wielu chętnych.

Nie widziałem dotąd na „Łokietku” ani jednego pijanego marynarza, co wydaje się doprawdy cudem. Pasażer ma wódkę, ale nie wolno mu wypić z marynarzem. Pasażerowi za wypicie wódki z marynarzem grozi nieprzyjemna rozmowa, a marynarzowi nieprzyjemne konsekwencje. Jeszcze niedawno, zgodnie ze światowym obyczajem i obowiązującym zaleceniem lekarskim, marynarze otrzymywali w tropiku niewielkie ilości wina. (A tropical fine red dry wine), co podnosiło im samopoczucie i ciśnienie, lecz obecnie zamiast wina dostają substytut w postaci soku. Dostają również dużo owoców cytrusowych.

Trudno powiedzieć, że jest im źle. Jest im dobrze. Tyle tylko, że chodzą wyschnięci. Rozmowa nie zawsze klei się bez kłopotu. Nie zawsze bez kłopotu dopisuje człowiekowi humor. Tu jednakże muszą powiedzieć, że marynarze mają wybitne poczucie humoru. Mówią barwnie, krótko, dowcipnie, z absolutnym wycuciem języka i stylu. Są pod tym względem nie gorsi od muzyków rozrywkowych.

Przed wejściem do Skaldy, rzeki, która jest bazą parku w Antwerpii, Polak ma powody do smutku. Otóż stoi tu na kotwicy nasz flagowy pasażer „STEFAN BATORY”, z którego nie usunęto jeszcze polskich napisów. Statek sprzedany został za dwa miliony dolarów greckiemu krezusowi. Była to dobra cena — twierdzi znawcy przedmiotu. Ten, co sprzedał, jest zadowolony; ten, co kupił, martwi się podobno, nie ma bowiem jasnej koncepcji odnośnie dalszych losów statku. Nawaliły mu jakieś plany, zawiody go rachuby. Każdy dzień postoju statku na redzie kosztuje tysiące dolarów, nawet jeżeli jest on pusty i nie używany. Gdyby zajmował miejsce w porcie, właściciel płaciłby jeszcze wyższy haracz. Nic, tylko się powiesić. Miejmy nadzieję, że Grek tego nie zrobi — może sprzeda statek na złom, może puścić go za pół ceny innemu krezusowi. Tak czy owak „Stefan Batory”, nieszczęśliwy i tragicznie opuszczony, przechyla się z burtę na burtę u ujścia Skaldy i budzi to w duszy Polaka głęboki żal.

Głęboki żal budzą również w duszy Polaka ostatnie doniesienia z kraju. Holenderskie i belgijskie dzienniki telewizyjne poświęcają temu sporo miejsca. Grozą napawa aktualny kurs dolara w Polsce. Wychodzi na to, że aby pojechać z kei numer 474 (tu stoimy) do centrum Antwerpii, trzeba zapłacić parę tysięcy złotych, tyle bowiem w przeliczeniu belgijskich franków na dolary, a dolarów na ojczyzną walutę, kosztuje autobus.

Nie kupię sobie paczki „Belgów” — za drogo. Dla Polaków wszystko jest teraz za drogo — kino, taksówka, cola, lody. W głowie jest zdwojona siła huczy komputer i coraz trudniej walczyć z jego beztrosnymi wyrokami. Szczęśliwi w Polsce są tylko ludzie, którzy nie znają tabliczki mnożenia.

Zaraz pojadę do miasta, żeby oczy odpoczęły trochę od widoków portowych. Współczesne wielkie porty europejskie wyprane są już z wszelkiego romantyzmu — port to jest gigantyczna fabryka, to są zakłady chemiczne, cementownie i przetwórcze, kontenery i cuchnące kominy, kanały wypływające śmierdzącą wodą, dźwigi sterczące na horyzoncie jak przekleństwo, towarowe pociągi, samochody, magazyny, biura, agencje, elewatory, ciągnące się dziesiątkami kilometrów nadbrzeża, bezmiennie keje i przylotki do nich cielska obłych, żarłocznych statków.

Padła deszcz, daje w pysk zimny, porywisty wiatr. Chmury wiszą nad miastem jak pierzyna, którą przykrywało się bez ustanku przez rok sto tysięcy Murzynów. Jest do tyłu, ale nie beznadziejnie — powiada kapitan. Elektryk wspomina na rufie, jak go w Nowym Jorku przyskrzytnięt za niewinność łapsy. Ale coś się przekreśliło w powietrzu i zza chmur znówu wyjrzało słońce. Syrena arabskiego obrzeża, wlezionego przez holownik w głąb portu, wydała z siebie krótki, dudniący, trochę jakby słoniowaty ryk; wokół powstała groza, a potem wróciła nad miasto zawieszona sobotnio-niedzielną nostalgiją.

Port nie pracuje w soboty i niedziele. W soboty i niedziele ludzie bawią się i kochają, tańczą, piją i śpiewają. Kto ma pieniądze, bierze sobie dziewczynę w Dzielnicy Czerwonych Łatarni, albo jedzie do Brukseli, żeby zobaczyć zmianę wart przed pałacem królewskim. Kto nie ma pieniędzy, nie łączy się na mapie tego świata — jest zerem, jest śmieciem, jest bańką mydlaną, którą Pan Bóg wyprodukował ze swoich wszechpotężnych płuc i zapomniał o niej w tej chwili.

Warto zatem walczyć o pieniądze. Pieniądze niby nie dają szczęścia, ale walka o nie jest zajęciem pasjonującym. Kto walczy o pieniądze, rzadko się nudzi.

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

Na prawo od przy-
stanku tramwajowe-
go, po dru-
giej stronie wąskiej
drogi, wyłożonej
kostką bazaltową,
stał lekki drewniany budynek
z malowaną fasadą i sztydem z
napisem „Poziomka”. Można
tam było zaspiewać upiś się,
zakochać lub stracić w marze-
niach portfel, a na deser do-
stać zdrowo po pysku. Zimą
mogło być groźnie, natomiast
latem przyjmował każdego las
pod rozpostartymi baldachim li-
ści. A jak ci było źle pod
krzakami, mogłeś zawędrować
przez las do Guzowa lub Ry-
dzynki i znaleźć schronienie u
ludzi. Mogłeś też ruszyć z
„Poziomki” w przeciwną stronę,
bo po drugiej stronie szosy też
szumiał las, a za lasem witała
cię przyjaźnie najdłuższa wieś
świata, zwana Modlicą.

Mieszczuchy na wsi (1)

Modlica

RYSZARD BINKOWSKI



Foto: Grzegorz Gałusiński

technika, nie ma już „Poziom-
ki” ani tramwaju do Tuszyna,
bo wystarczyło, żeby z województwa jeź-
dził jeden tramwaj to znaczy z
Łodzi do Lutonierska w Sie-
radzkim. Rozkradzione szyny
znalazły się w stropach budo-
wanej prywatnie drugiej Polski,
wycięto część lasu i zrobili się
od razu wielki świat, bo po-
biegła wtedy wielopasmowa as-
faltowa trasa szybkiego ruchu,
po której suną co jakiś czas au-
tobusy MKK z Piotrkowa, la-
cząc to, co zostało w sposób
bezmisylny rozdzielone.

Las za była „Poziomką” wsi
Rydzynki i Guzów pozostały w
należącej do Łodzi gminie
Rzgów. Ciągający się na szeroko-
ści ponad dwóch kilometrów
las po drugiej stronie trasy
szybkiego ruchu także należy
do gminy Rzgów, ale przywłasz-
czona do niej Modlica została
odcięta od świata od Rzgowa i
Łodzi, ponieważ znalazła się
w granicach województwa
piotrkowskiego, a konkretnie w
gminie Tuszyn.

I teraz jest tak, że biegająca
przez ten las do Modlicy po-
nad dwukilometrowa droga
nadaje się przy dobrej pogod-
zie na odniki specjalne Raj-
du Polski Głiniaste garby i
wyhoje, teren podmokły, więc
jak przyjdą roztopy albo tro-
chę popada, to nie ma już mo-
wy o rajdzie automobilowym,
tylko o poligonowym torze
przeszkód dla czołgów. Ale
jakże może być inaczej, skoro
jest to w gruncie rzeczy dro-
ga nieczyja. Naczelnik ze Rzgo-
wa nie wrzucił pieniędzy w
błoto, bo gmina Rzgów w u-
gole z tej drogi nie korzysta,
a naczelnik Tuszyna też nie
ruszy palcem, bo to przecież
nie jego.

Bodajże w 1981 r. ludzie w
Tuszynie ocknęli się i prze-
mianowali plac Obronców
Stalingradu na plac Władysła-
wa Reymonta. A co, był oj-
ciec pana Władysława organista
w Tuszynie? Był. Chodził
pan Władysław do szkoły, któ-
rej budynek stoi do dziś w Tu-
szynie? Zgadza się. No! A że
uczeń Reymont nie mógł u-
kończyć tej czterooddziałówki,

bo wiał na wagary do lasu i
czytał, czytał, żeby potem pi-
sać aż po Nagrodę Nobla, to
jest to tylko powód do du-
my. Świat widziany oczyma
dziecka na zawsze pozostał w
pamięci pisarza, toteż nie
dziwnego, że nie zapomniał
napisać w „Chłopach” o chło-
pach z Modlicy. Lech Rey-
monta do dziś błąka się po
lasach wokół Modlicy...

Ale ostatnio to błąkał się
tam zupełnie inny duch. Zły
duch... i nie był to nawet
duch Pana, chociaż wywoły-
wał panikę. Ano, skoro we wsi
nie pali się żadna latarnia, to
trudno wymagać, żeby stawia-
no latarnie w lesie. Naczelnik
Rzgowa byłby chyba ostatnim
głupcem, gdyby oświetlał las,
po którym nie chodzi nikt z
jego gminy. A że na to po-
granicze jednak daleko z
posterunków MO w Rzgowie
i Tuszynie, więc kobiety z
Modlicy modliły się, żeby nie
musiały iść wieczorem drogą
przez las. Psychoza strachu
była okropna. Ale jak się tu
nie bać, gdy każdego wieczora
wypada z krzaków zbrojeniec
z wyszczerzonymi zębami i faj-
fusem na wierzchu. Nawet
babie z Modlicy ćwiczyły
sprinty od stu do czterystu

Mateusza, który szaleje po do-
mu i ma tak nieposkromiony
apetyt, że czasem zostawi na-
wet ojcu trochę rosółu na tale-
rze.

Ewa wspomina z humorem:
— W nocy zbudził mnie ta-
ki okropny huk, jakby coś wy-
buchło. W izbie nic się nie
stało, więc strach trochę mi-
nął... Wybiegłam jak ta zjawia
na podwórzu, bosy, w samej
koszuli, i patrzę, czy coś się
tam zmieniło. Ano, zmieniło
się, bo tam gdzie stała kryta
betonową dachówką stara obo-
ra, sterzał już tylko komin.
A niżej wisiały połamane bel-
ki i krokwie, pod którymi
kwicały przerażone świnki.
Poleciałam do telefonu u są-
siada i powiedziałam ojcu, że-
by przywoził jakieś hełmy na
głowe, bo trzeba wyciągać sta-
do zwierząt z rumowiska...

— Ee, zaraz stado! — wróca
matka, Teresa Nowakowa. —
Cielak i cztery świnki.

— Szczęść świn! Dobrze pamię-
tam, bo musiałam je liczyć
pod tymi belkami i sprawdzać,
czy żyją.

— A ten komin — dodaje
ojciec, Wiesław Nowak —
to się po czasie sam zawałił.
Wszystko tu było w takim sta-
nie, że nie trzeba było torna-
da, żeby się rozspalało...

Potwierdzeniem tych słów
jest fotograficzna dokumenta-
cja. Dużo powiększonych
zdjęć, a na nich obraz gospo-
darstwa, którego nie chciałby
oglądać żaden sołtys w swo-
jej wsi. Bo też gospodarowali
tutaj dobrzy, życzliwi ludzie,
udane małżeństwo w pełnym
tego słowa znaczeniu, tylko,
powiedzmy, niezbyt zaradne.
Ona zmiała na marskość wą-
troby, on zaś zachował część
pieniędzy uzyskanych za sprze-
daną swoją krowicę, dzięki
czemu może żyć i mieszkać w
Tuszynie.

Teresa Nowakowa mówi z u-
danym gniewem:

— Jak nas ten znajomy tu
przyprował, to musiałam
chyba patrzeć na to wszystko
przez różowe okulary.

— Dlaczego?

— Bo myślałam, że na do-
prowadzenie tego do porządku
wystarczy rok czasu. A tym-
czasem pitulimy rok w rok,
mija już szósty, a końca jesz-
cze nie widać. Zresztą, proszę
obejrzeć te fotografie. Dobrze
widać, jakieśmy ranco naby-
li.

Nie jest tak źle, efekty
szesnastoletniej harówki są już
widoczne, wystarczy porównać
ze zdjęciami. Ale do tego jesz-
cze wrócimy. A co widzimy na
fotografiach? Niewysoki muro-
wany dom z czerwonej cegły
z lagodnym dwuspadowym da-
chem. Z wierzchu solidny, a w
środku pozał się Boże. Ze stry-
chu leje się, trzeba miski pod-
stawić, okna spróchniała,
przemięli podłogi. Jak firanki
spadły z okien, to się w proch
rozspalały. Firanki były białe,
a proch z nich brunatny...

O tej oborze była już mo-
wa. Sciany stodoły są jakieś
porozdymane, a na dachu wię-
cej żeber połamanych, lat i
krokwi niżli zmierzwiowej
strzechy. I żadnego ogrodzenia,
bagniste podwórze, a poza
tym, za przeproszeniem, ani się
gdzie wysrać. To znaczy był
taki przybytek, ale mógł jed-
nie służyć za rekwizyt w hor-
rorach.

— Pewnego razu — przery-
wa mi oglądanie zdjęć Wies-
ław Nowak — koleżanka wy-
padła stamtąd razem z drzwia-
mi...

— Straszno, co?

— Nie. Ale była tam tylko
jedna deska, na której załat-
wiał się potrzeby jak na
równoważni. Koleżanka próbo-
wała akurat podciągnąć maj-
teczki, deska się zachwiała,
więc żeby nie wpaść w aro-
matę, chwyciła się drzwi i wy-
lądowała na nich w trawie w
stroju częściowo stryptyzowym.

No dobrze, przerwijmy na
chwilę oglądanie zdjęć archi-
walnych i ustalmy w miarę
dokładnie, kim są mieszczuchy
na wsi.

Teresa Nowakowa to niewy-
soka, zadbana blondynka, ener-
giczna i elokwentna, jak przy-
stało na kobietę, która 30 lat
przepracowała w sklepie, i to
wiele lat jako kierowniczka.

Miała na co dzień kontakt z
ludźmi ze wsi, ponieważ pro-
wadzony przez PSS sklep
„Agromy” sprzedawał części do
maszyn rolniczych. Nowakowa
jest na rencie chorobowej
(dwie operacje, nerki), lecz na-
dal pracuje w sklepie w nie-
pełnym wymiarze godzin, no i
już nie na kierowniczym sta-
nowisku.

Natomiast małżonek, Wiesław
Nowak, krepny, siwowłosy, o
pogodnych niebieskich oczach,
ocierał się na co dzień o sztuc-
kę przez duże „S”, w tym
również poza granicami kraju,

choć z wykształcenia jest
technikiem mechanikiem. Po-
nad dwadzieścia lat jako pra-
cownik techniczny Teatru Wiel-
kiego w Łodzi. Teraz, po wy-
padku, dorabia tam na trzy
czwarte etatu, bo on również
jest na rencie.

— Kiedy załamał się dach
na oborze — wspomina Nowa-
kowi — sąsiedzi powiedzieli,
że my się też załamiemy. Ale
to nie było jeszcze najgorsze.
W ubiegłym roku miałam jed-
nak dosyć Modlicy, bo mąż
stracił wtedy oko. Wie pan,
przy kuciu ściany odstrzelił
kawałek metalu. A przecież to,
co pan tu widzi, mąż wykonał
własnymi rękami.

— Nie kracz! — śmieje się
Wiesław. — Jeszcze nie powie-
działem ostatniego słowa.

Co was skłoniło do osie-
lenia się tutaj?

— Życie — odpowiada krótko.

Ano, czasy były niespokojne,
niepewne, trzeba więc było
pomyśleć o przyszłości i uło-
kować gdzieś trochę zapasze-
dzonego grosza. Tym bardziej,
że lata 1980—1981 zapowiadały
już krach i inflację. Przez
dwa lata krążyli samochodem
wokół Łodzi, szukali czegoś ta-
kiego, na co było ich stać, aż
znaleźli. Nie byli pierwszymi
miastowymi, którzy próbowa-
li w Modlicy smaku pracy na
rolu, a gospodarstwo, które ku-
pili, w sumie 1,90 ha, nie było
generalnym obrazem sposobu
gospodarowania w tej wsi.
Chociaż trudno ukryć, że zosto-
ło tu jeszcze trochę lichych
chałupek, sygnących się stodo-
łek, a trafiają się i prawdziwe
skanseny. Ot, choćby chata, a
właściwiej jej połowa, należą-
ca do Józia Bekiera, który
zażywając środki dopingujące
do pracy próbuje pomarać lu-
dziom, reperując im buty. Je-
go chata jakby żywcem wy-
jęta z ram obrazów Chelmo-
skiego: kładzione zrebrowo ścia-
ny z ciosanych bali, pomalo-
wane wapnem, w nich maleń-
kie okna, a nad nimi wysoka-
na wieża dachowa ze strze-
cha, która nakrywa chatę ni-
czym wielką kosmatą czapą.

W Modlicy nie wszyscy gar-
ną się do roboty, niektórzy po-
 prostu nie mają już sił, innym
nie chcą przyjąć z pomocą na-
stępcy, bo wola życia w mie-
ście, toteż zawsze tak będzie,
że zostanie jakaś działka, na
którą sąsiedzi się nie łaszczą.
Przybywają więc chętni z
miasta i dokonują rzeczy po-
zytywnych, o czym jeszcze be-
dzie mowa, ale skoro tak się
dzieje i, staje się to faktem,
to już w tym miejscu warto
zasygnalizować, że dla ratowa-
nia każdego kawałka ziemi na
starzejacą się wsi należałoby
znieść bariery w dostępie do
ziemi ludzom z miasta, szcze-
gólnie w tak dużych aglomera-
cjach, jak Łódźka.

Teresa i Wiesław Nowako-
wie mieszkają jeszcze w Ło-
dzi, ale ich córka osiadła na
stałe w Modlicy. Owszem, mia-
ła książeczkę mieszkaniową z
„gwarancją” 12-letniego oce-
kiewania, ale w praktyce prze-
ciąga się to do 20 lat, więc
nie było się co zastanawiać.
Zresztą, Wiesław Nowak nie
szukuje w Modlicy mieszkania
tylko dla dzieci, ale i dla sie-
bie, bo na starość też tu osie-
dlić na stałe.

— Jest tutaj wspaniały mi-
kroklimat — mówi Nowak. —
Kiedy nad Tuszynem lub
Rzgowem szaleje burza, u nas
ledwie co popada. I dobrze, bo
po ulewach niektóre pola, a
zwłaszcza droga, zamieniają się
w grzęzawiska.

Zanim jednak pokażemy,
czego dokonują przybysze z
miasta i jak żyją miejscowi,
musimy sobie uzmysłowić, iż
nikomu nie żyje się tu lekko,
w aureoli sukcesów i cudown-
ego mikroklimatu. Trzeba
zrozumieć specyfikę życia na
pograniczu, czyli jakby na
niedzieli. Nazwać więc Mo-
dlicę najdłuższą wsią świata to
być może lekka przesada, lecz
faktem jest, iż ciągnie się ona
na przestrzeni 7 kilometrów,
od rzęskiego lasu aż po
Palczew. I dlatego, chociaż w
Modlicy nie ma kościoła, jest
się gdzie pomodlić, bo przy tej
długiej drodze stoją dwa krzy-
że. Jest się też o co modlić,
bo problemów i kłopotów bez
liku. Ot, chociażby utrzymanie
7-kilometrowej drogi w otocze-
niu lasami wsi.

— Ale o tym dlaczego i do ko-
go wznosi modły Modlica, 7a
tydzień.

C.D.N.



Mówi: Andrzej Gramsz

— Będąc dyrektorem Państwowego Przedsiębiorstwa „Pra-
cownie Sztuk Plastycznych” w jaki sposób wprowadzasz w
swojej firmie założenia reformy gospodarczej?

— Na „rynku, plastycznym” panuje ostra konkurencja. W
Łodzi istnieje kilka, a może nawet, już kilkanaście przedsię-
biorstw, które robią to samo, co my. Obliczyłem, że ich obrót w
naszym łódzkim okręgu wynosi ponad 3 mld zł. Natomiast nasz
— gdzieś 300 mln zł. W związku z tym trzeba się starać, by po-
 pierwsze — pozyskać zleceniodawcę, po drugie — wykonać za-
mówienie na odpowiednim poziomie i zrobić to taniej niż in-
ni.

— Udać ci się?

— Udać, ale i im się to też udaje. Jednakże nie jest to dziś
takie proste jak było przed laty w systemie nakazowym. I
właśnie to uważam za kolosalną zmianę na plus. Natomiast
minusem — a dotyczy to także innych przedsiębiorstw, przede
wszystkim państwowych — jest to, że każde z przedsiębiorstw
ma „czapę” nad głową w postaci zarządów czy zarządców. Uwa-
żam, że „czapa” w firmie wielooddziałowej jest potrzebna. Ale
w moim przypadku? Jesteśmy na własnym rozrachunku, lecz
nie posiadamy osobowości prawnej. Rozliczamy się ze skarbem
państwa z podatków, prowadzę firmę w całości, natomiast na
koniec jestem zobowiązany odprowadzić zysk do mojego zarzą-
du, a także, co miesiąc przekazywać kwoty na utrzymanie tegoż
zarządu oraz na tak zwany scentralizowany fundusz remontów.
W skali kraju jest to kwota sięgająca prawie 30 mln zł. Jest
to bezprowizyjne topienie pieniędzy i moim zdaniem zupełnie
niepotrzebne.

— Jakie widziałbyś wyjście z tej sytuacji?

— Przede wszystkim musiałbym posiadać osobowość praw-
ną. Wówczas ubiegalibyśmy się o uzyskanie koncesji na handel
zagraniczny. A mam już konkretne propozycje do zaoferowania
kontrahentom na Wschodzie i Zachodzie, Południu i Północy.
Na przykład, republiki nadbałtyckie ZSRR przyjmą nas od
zrazu. Mogłbym tam od ręki otworzyć galerie — w stolicach
tych republik — sztuki, które zaopatrywałbym w polskie dzieła
sztuki. Mogłbym tam wysłać obrazy, ubiory, tkaniny, szkło
artystyczne, biżuterię, projekty przemysłowe, aranżować wne-
trza, mógłbym także wykonywać prace konserwatorskie... Po-
dobną działalność mógłbym rozwinąć w Republice Federalnej
Niemiec, w Berlinie Zachodnim, Francji, Kanadzie, na południu
na całych Bałkanach... Dam przykład: zgłosił się do mnie kon-
trahent z Kanady z propozycją wyposażenia sieci ich hoteli
w polską tkaninę artystyczną. Niestety, nie mogłem przyjąć tej
oferty, bo przepisy mi na to nie zezwalały. Absurd? Oczywiście.
Tak więc dewizy leżą dostojnie na ulicy, ale nie można ich pod-
nieść.

— Po tych minorowych wypowiedziach dotyczących PP
„Pracownie Sztuk Plastycznych”, porozmawiajmy teraz o An-
drzeju Gramszu, który, gdy go poznałem, miał ciemne włosy,
a dziś siedzi przede mną mężczyzna o dostojnej siwiznie. Czy
zostałeś może dziadkiem?

— Jeszcze nie. Syn Rafał jest dopiero na pierwszym roku
Politechniki Łódzkiej, a córka Magda uczy się w Szkole Balet-
owej w IV klasie. Myślę, że dzieci mi się uduły.

— A co ci się jeszcze udało?

— Jestem na ukończeniu budowy domu rodzinnego. Jest to
przedsięwzięcie w ramach spółki. Kilku nas, kolegów, założyli-
my taką spółkę i rozpoczęliśmy budowę. Będzie to całe osie-
dle. Jestem przewodniczącym Społecznego Komitetu Budowy
Sieci Gazowej na tym osiedlu. Tak więc my, czyli inwestorzy,
musimy sami wszystko załatwiać. Do nas należy zaopatrze-
nie materiałowe, projektowe, realizacja... Sieć gazowa wydeje
24 km. Traktuję to hobbystycznie, ale pochłania mi to mnóstwo
czasu, i jest to istna Golgota w obecnych czasach.

— Pamiętam, że zawsze lubiłeś dobre książki, teatr, film.

— Z wieloma księganiami jestem w stałym kontakcie, śred-
nio czytam jedną książkę tygodniowo, nie mówiąc już o prasie
codziennej i czasopiśmie. A teatr i kino to normalna część
mojego życia. Będąc dyrektorem specyficznego przedsię-
biorstwa, jakim są „Pracownie Sztuk Plastycznych” wiele czasu
spędzam na wystawach i wernisażach.

— Podejrzewam, że dom, który budujesz, będzie szczytem
sztuki zarówno architektonicznej, jak i plastycznej?

— Ktoś powiedział, że mężczyzna, aby się sprawdzić, musi
dokonać trzech rzeczy: posadzić drzewo, mieć syna i zbu-
dować dom. Wykonałem to wszystko. A co się dotyczy domu, to
trawestuję Wankowicza, realizuję w nim — na zewnątrz i
wewnątrz — moje chęć. Ten dom jest taki, jakim ja sam
jestem.

— Mogę ci jednocześnie gratulować i zazdrościć, bo ja już
w swoim życiu żadnego domu nie zbuduję.

— Dużo osób mi zazdrości, ludzie mówią: nie stać mnie na
coś takiego, bo ja mało zarabiam. Ja natomiast wyznaję inny
pogląd: skoro czegoś bardzo chcę, to zastanawiam się, co zrobić
by swoje pragnienie zrealizować.

— O ile pamiętam, twoim hobby było zbieranie grzybów...
— Tak, jestem grzybiarzem. Orientuję się po pogodzie czy
są grzyby, czy ich nie ma. Wiem też w jakim lesie rosną, kie-
dy trzeba je zbierać. I znam się na grzybach, przecież pierw-
sze miesiące swojego życia spędziłem w podłódzkiej wsi. To
zobowiązuje. Zresztą wieś, przebywanie na niej — mój ojciec
jest myśliwym — wszystko to uczyło mnie miłości do przyrody,
uczyło mnie ją rozumieć, wspólnie z nią. Ja nie martwię się,
że przez las przetoczyły się tabuny zbieraczy grzybów, bo wiem,
że idąc za nimi nabieram dużo więcej niż oni. Bo ja znam
las, wiem gdzie i jak rosną grzyby...

— Czym się jeszcze pasjonujesz?

— Nie znoszę i nie pasjonuję się rybołówstwem i polowaniem,
natomiast uwielbiam góry. Co roku, przynajmniej dwa tygod-
nie, szaleję na nartach. To największy wypoczynek, który
„ładuje” mnie co najmniej na pół roku.

— Życzę zatem dobrych zjazdów i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Grób w Zakopanem

„O Polskę od zbroj złota
Walezyli pod błędnym,
Wież ziemi im moskiewska
Wieczystym jest całunem...
Imiona świat zapomni,
Czas zrówna mogił kopce,
A ślad wszelaki po nich
zaorzą pługi obce...
Więc niechże garść słów polskich
Jak garść ojczyźnej ziemi
Z daleka rzucę na nich...
Eugeniusz Małczewski — poeta — żołnierz
(1895—1922)
z wiersza Mogiłom Archangielskim i Murmańskim

Giewont nie jest rycerzem. Bo cóż że zwałisty.
Rycerz panter ma złoty, który nieci iskry.
Giewont jest to spiętrzony klomb pod zór
spiekotą —
O dwóch barwach — północna zorza z terakotą.

Więc jeśli klomb nie rycerz z pancernymi
błyski —
Jakich kwiatów jest gąszczem, co zorzy migotom
Przechyla róż wzorzysty na pół z terakotą?
Kwiatów cennych a rzadkich. Zwią się szafar
spiski.
Tu, pod smrekiem różowym, obłokiem
niebieskim,
Spi rycerz utrudzony — młody Małczewski —
Ten, co walczył na lodach na szlaku tułaczym,
Lecz zdążył „Od Zbroj Złota” przed śmiercią
zobaczyć.
Topniał lód, kiedy pisał do Niej wiersze z
frontu.
Zanieśmy mu na cmentarz wiązanek Giewontu,

Półka
z książkami

RODZYNKI Z MIGDAŁAMI

Książce tej przepowiadam czytelnicką karierę.
A to z tej racji, że jest to zbiór ludowej poezji
żydowskiej, pełnej humoru, nostalgii, przepeł-
nionej urokiem czasów i zdarzeń, które bezpo-
wrotnie odeszły w przeszłość. Całość przetuma-
czył i przygotował do druku Jerzy Ficowski.
Obszerny wybór składa się z następujących
części: Kolysanki, Złotne — miłosne, Rekruc-
kie, Obcyżajowe — rodzinne — refleksyjne,
Zawodowe — o niedoli, Zartobliwe — satyrycz-
ne.
Bardzo gorąco polecam tę publikację.
Rodziny z migdałami. Antologia poezji ludo-
wej Żydów polkich. Ossolineum 1988. Str. 188.
Cena 300 zł.

POEZJE HOZJUSZA

Biskup warmiński, sekretarz królewski, kar-
dynał, jeden z wielkich ludzi polskiego Odro-
dzenia Stanisław Hozjusz nie miał szczęścia do
potomnych. I został w cieniu Kochanowskiego,
Kopernika, A.F. Modrzewskiego czy Jana Las-
kiego. A przecież był wybitną postacią i do-
brym poetą. Dowodem tego niech będzie zbiór
jego poezji (dwujęzyczny, bo pisał po łacinie)
w przekładzie Anny Kamińskiej. Rzec nie
tylko dla miłośników zabytków języka polskie-
go, ale dla tych, dla których poezja pozostaje
najpiękniejszą ze wszystkich sztuk.
Stanisław Hozjusz: Poezje. Pojezierze 1988.
str. 142. Cena 380 zł.
Oprac.: E. IW.

Redakcja „Kalejdoskopu”, czyli
lódzkiego przewodnika kultural-
nego przyznała nagrodę SPREŻYNY
za osiągnięcia w zakresie pobudza-
nia życia kulturalnego w naszym
mieście. SPREŻYNĘ w 1988 roku
otrzymał dyrektor Teatru Studyj-
nego '83 — Paweł Nowicki. Na-
groda została przyznana po raz
pierwszy.

Na konferencji prasowej, zwoła-
nej z tej okazji, nie było (poza ni-
żej podpisanym) przedstawicieli
lódzkiej prasy. Pojawili się nato-
miast żurnaliści z Krakowa i
Warszawy. To dość symptomatycz-
ne zjawisko. Nie tak dawno prze-
cież warszawska recenzentka la-
żała lódzkich kolegów po fachu
(właściwie fachu im odmawiająca),
że nie rozumieją zjawiska pod na-
z-

W tym mieście nie lubi się
rzeczy — powiedział szef „Kalei-
doskopu”, Andrzej Wojciechowski
— które są nie sprawdzone, które
nie przystają do profilu typowego
dla tego miasta. Nagroda „Spre-
żyny” również została „cierpko
przyjęta przez władze. Z powodu,
że z nikim nie uzgodniona, a wrę-
czona.

Paweł Nowicki teatr swój widzi
otwarty. Dla artystów z innych
obszarów sztuki, artystów odważ-
nie „inaczej” myślących, prow-
okujących. Otwarty na alternatywę
artystyczną, na ludzi poszukują-
cych swej drogi ku sztuce, tych,
którzy nie mieszczą się w jakich-
kolwiek kanonach, nawet w ka-
nonie braku kanonów. Wpuścił do
swojego teatru głośną grupę arty-
stów-komików, awangardową „Lód-

Galeria Wschodnia, Robakowski,
Paruzel. My się skłaniamy, co o-
czywiście, do tej drugiej tradycji.
— Interesuje mnie teatr, który
może być rodzajem prowokacji...
— Jeśli mam być dyrektorem
teatru, musi mnie to bawić, musi
być dla mnie interesujące. Kiedy
zaczynam coś robić, nie wiem,
gdzie mnie to zawiedzie. Mam
np. kapitalne wystawy, ale mamy
i wypadki, jakich nie ma żadna
galeria.

Teatr jest środkiem do cze-
goś, jest miejscem spotkań. Tele-
wizja człowieka nienawidzi, fil-
mowi człowiek jest niepotrzebny,
teatrowi człowiek jest niezbędny.
W teatrze mogą się spotykać różni
ludzie. Teatr jest miejscem wy-
miiany myśli, a nie plotek.
Teatr Studyjny stał się za dy-

Nagroda „Spreżyny” po raz pierwszy

wa Teatr Studyjny, pisał więc o
nim źle lub wcale, a jest to naj-
lepsza scena w mieście Łodzi. Na-
si, rzecz jasna, obrazili się na
warszawiankę i nawet wytoczyć
jej mieli proces sądowy za obra-
zę godności recenzentki. Tym
niemniej, to lódzki dziennikarz —
znawca teatru — powiedział wczę-
niej niż koleżanka ze stolicy, że
Teatr Studyjny, jako pierwszy i
jeden w tym mieście od czasów
Kazimierza Dejmki, ma swoją
własną — wierną i gorącą —
publiczność. Trzeba od razu dodać,
że ma również legion — nie mniej
gorących i głosnych — przeciwni-
ków. I jest to pewna prawidłowo-
ść w sztuce: znana: osoby, pla-
cówki i sytuacje przeciętne — nie
wzbudzają emocji. Tam nato-
miast, gdzie dzieje się coś ważne-
go, innego, gdzie może być po-
budzany do myślenia, oprócz natu-
ralnych sympatyków i przyjaciół
takich zjawisk pojawia się czere-
da niedowiarków z gruntu, po-
dejrzliwych niby prześmiewców i
paru „wielkich”, obrażonych na
człowieka za to, że miał odwagę
że okazał się lepszy, szybszy, że
ryzyko (artystyczne) mu się opła-
ciło.

„Kališką”, Andrzeja Paruzela z
jego „Biurem przewodników po/
sztuce i kulturze”, Jacka Józwi-
aka z fotograficzno-malarskim za-
pisem sytuacji, która się nie pow-
tórzy — i wielu innych.

Mówi Paweł Nowicki:
— Formuła teatru jako placówki
produkcji przedstawienia skoń-
czyła się. To ma być miejsce spot-
kań, działalności artystycznej. Dla-
tego ta galeria u nas, dlatego ta-
kie formy reklamy (na tramwa-
jach, wespół z „Centralem”), a
ostatnio porostawiane po mieście
„wampiry” reklamujące najnowszy
spektakl teatru, „Dracula” —
przyp. MK). Dlatego akcje „czy-
tania tekstów”, m.in. pani Agaty
Pazek ze Zgierza. One są dużo
ciekawsze niż profesjonalistów ze
względem na to, co mówią o świe-
cie, o życiu, ze względu na język.
Ja je nazywam nikiinformizmami
dramatycznymi.

— Dla mnie jest ważne, żebym
mógł być mecenasem dla plasty-
ków, dla muzyków...
— Są dwie tradycje kulturalne
Łodzi: pierwsza — „monokultura
— włókno” — to „Harnam”, „Ba-
luciarze” i druga: Strzeżniński,

rekcji Pawła Nowickiego z pla-
cówki omijanej miejscem poszu-
kiwanym, gdzie bilety spręda-
wane są z kasy, a i tak nie star-
cza dla wszystkich. Gdzie — jak
twierdzi Marek Miller — aktor
Jarosław Dunaj grał kiedyś dla
jednej osoby na widowni, a dziś
tłumy chętnych „biją się” o bile-
ty. Nagroda dla Pawła Nowickie-
go jest nagrodą dla Teatru, który
na stałe wkomponował się w kraj-
obraz teatralny miasta, zdobywa-
jąc coraz liczniejsze zastępy sym-
patyków. Czy rośnie liczba prze-
ciwników? Pewnie tak, ale tym
się nie trzeba trapić.

Później odbył się wspaniały kon-
cert na cześć Laureata. Grali,
śpiewali i mówili: Krystyna Sien-
kiewicz, Tadeusz Woźniak, Nina
Czerkies (Białoruś), Maciej Grze-
lanka, Rafał Olbrychski, Zofia
Kotkowska i Orkiestra Osmeo
Dnia. Pawłowi Nowickiemu wrę-
czono prawdziwą spreżynę i
wszyscy poszli do restauracji.

MAREK KOPROWSKI

Palacyk

Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych „Ma-
jed” z własnych środków finansuje remont ka-
pitalny luksusowej willi z 1911 r. przy zbiegu al.
Politechniki i al. Mickiewicza. W 1983 r. dyrektora
wraz z Radą Pracowniczą podjęły decyzję o za-
adaptowaniu zrujnowanego pałacyku na potrzeby
biurowe. Inicjatorzy pomysłu zdawali sobie
sprawę, że bez pomocy miasta czy ministerstwa
kultury rzecz będzie niemożliwa do przeprowadze-
nia.

Obecnie jest już prawie gotowy stan surowy.
Modernizacja pochłonie 60 mln zł, według cen
bieżących. Do tej pory inwestycja interesowała się
najbardziej ministerialni kontrolerzy podczas lu-
stracji przedsiębiorstwa. Z ich pytań wynikało
zaniepokojenie o wysokość placowych rachunków.
Komuś, kto nie zna realiów Łodzi trudno uwie-
rzyć, że żaden kombinat nie był zainteresowany
tak „drobnym” remontem. Przetarg wygrało rze-
mię. Przykład terminowej i solidnej pracy da-
ła firma dekarska Andrzeja Swiderskiego z Ło-
dzi oraz budowlana — Mirosława Flakowskiego
z Pabianic.

Pod koniec lipca tego roku pałacyk odwiedził
wnuk przedwojennego właściciela posesji. Miał
co pokazywać żonie, opowiadając o polskich ko-
rzeniach swej rodziny. Zabytek doczekał się bo-

wiem nowego dachu, stolarki w oknach jest już
glazura, a w pokojach solidne ścianki działowe.
Jeszcze, niedawno, gdy skuto tynki, okazało się,
że oryginalne ściany wewnętrzne, sprawiające
wrażenie nośnych — w rzeczywistości są kruchy-
mi płytami gipsowymi, a przestrzeń między nimi
wypełniona... pierze. Kiedyś prosperowała tu
bowiem fabryka kolder. Ściany celowo budowano
nie trwałe, aby właściciele mogli dowolnie zmie-
niać rozkład pomieszczeń.

„Majed” przypadkowo niejako wpisał się więc
w rejestr mecenasów „kultury”. Fabryka jest w
kieskim stanie technicznym. Natomiast wiele ek-
sportuje. Nie sposób długo przyjmować kucyków
w brzydkich pomieszczeniach, skoro pod bokiem
stoi pałacyk. I tak na I piętrze znajduje się po-
kój dyrektora, parter otrzymują organizacje spo-
łeczno-polityczne, a w piwnicy rozgościł się klub
młodzieżowy. Jego wystrojem zajma się w czy-
nie społecznym przyszły lokatorzy. Planowane na
remont nie uszczuplają funduszy socjalnego, po-
niważ pochodzi z kwot przeznaczonych na in-
westycje przedsiębiorstwa.

Projekt wykonano branżowe biuro „Polmatex”.
Zagospodarowanie wnętrza rozpocznie się pod
koniec roku.

KUP.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

CHCĄ NAM SPRZEDAĆ
PERKAL I PACIORKI

Rys. Stawomir Łuczyński

DOŚWIADCZENIA
I ROLA ARTYSTY

Wymiana doświadczeń i idei,
aktualne tendencje w sztuce i
rola artysty we współczesnym
świecie — oto cel Międzynarodo-
wego Seminarium Artystów (21
listopada br.), które zainauguruje
działalność Centrum Sztuki
Współczesnej (nb. istniejącego
już od ponad czterech lat). Za-
powiedziano przyjazd wybitnych
twórców, krytyków i animatorów
sztuki współczesnej z całego
świata — z Austrii, Berlina Za-
chodniego, ZSRR, Włoch, Wielkiej
Brytanii, Stanów Zjednoczonych,
Francji, Japonii, RFN i Szwaj-
carii. Komisarzami będą Alicja
Kepińska z poznańskiej PWSSP
i Emmett Williams z Uniwersy-
tetu Harvard.

CO ROBIĄ NASI?

W jednym z wywiadów Roman
Polański wyraził chęć nakręce-
nia filmu w Polsce, filmu opo-
wiadającego o końcowych latach
drugiej wojny światowej i pierw-
szym okresie powojennym. „Ta
właśnie epoka miała bowiem dla
nas decydujące znaczenie, a mo-
je pokolenie jest ostatnim, które
ma z tych czasów osobiste
wspomnienia”.

Jerzy Skolimowski realizuje
swoją najnowszy film we Wło-

szech (na stałe mieszka w Wielo-
kiej Brytanii). Na potrzeby fil-
mu sprowadził z Poznania cygań-
ski zespół pieśni i tańca „Roma”,
który w filmie ma przedstawić
wesele cygańskie z XIX w.

Inny polski reżyser — jak po-
daje „Wprost” — Piotr Andre-
jew kreśli w Holandii film „Sha-
dowman”. Główną rolę w tym
filmie grają Tom Hulce (odtwór-
ca roli „Amadeusza” Milosa For-
mana) i Patsy Kensit.

Juliusz Machulski rozpoczął
zdzjęcia w Odesie do nowej ko-
medii kryminalnej, rozgrywają-
cej się w tym mieście w latach
NPP-u, czyli dwudziestych. Film
nosi tytuł „Wiza na 48 godzin”.
Bohaterem jest amerykański
gangster wykonujący specjalne
zadanie. Scenariusz napisali Ju-
liusz Machulski i Aleksander Bo-
rodiański.

„KOCHAM MIŁOŚCIA
NIEMOŻLIWA”

„Ojcem wszystkich” pianistów
poprzedniej generacji był niewąt-
pliwie Neuhaus, dawny rektor
Konservatorium Moskiewskiego
— mówi wybitny pianista ra-
dziecki, laureat Konkursu Cho-
pinowskiego Stanisław Bunin. —
Wraz z jego śmiercią zginął
gdzieś też wspólny duch, przesa-
dzający o istnieniu szkoły. Obec-
nie trudno mówić o jakiejś jed-

nej radzieckiej szkole pianistycz-
nej — zbyt wiele jest stylów
wykonawczych. Również na polu
interpretacji poszczególnych ko-
mpozytorów nie ma żadnej szkoły.
A poza tym — nie wystarczy
należać do jakiejś szkoły, jeśli
pragnie się być prawdziwym wy-
konawcą, jeśli nie chce się tylko
powielać pewnego stereotypu...
To jest tak jak z chorobą. Można
spaść na człowieka nagle, albo
dojrzewać stopniowo gdzieś w
środku. Mówię o muzyce w ogó-
le, bo lubię nie tylko kompozy-
cję na fortepian, ale również arie
Bacha, a także muzykę symfo-
niczną w wykonaniu von Kara-
jana i Berlińskiego Filharmoników.
A Chopina kocham miłością nie-
możliwą — to zbyt wielki kom-
pozytor, by można go było ko-
chać zawsze w ten sam sposób.
Jednego dnia uważa się, że na-
leży go grać właśnie tak a nie
inaczej, a drugiego dochodzi się
do wniosku, że trzeba zaczynać
wszystko od początku...”

K. KIEŚLOWSKI
O „DEKALOGU”

„Historia powstania „Dekalogu”
(cyklu filmów dla telewizji), z
których każdy nawiązuje do któ-
regoś nakazu lub zakazu dziesię-
ciorga przykazań, jest banalna.
Nie był to mój pomysł, tylko
Krzysztof Piesiewicz, współ-

Pestki dyni

Wyszedłem z psem na spacer. Jesień. Natu-
ra, jak ochotna dziewczka zrzuciła z siebie
wszystko i obmywa swoje grzechy-niegrzechy
w strugach deszczu. Niebawem wstąpię się
pod pierzynę zimy i zaśnię. Naużywała sobie
w tym roku, w słońcu, do syta — sen będzie
miała pewnie twardy. Niech śpi do wiosny. Z
psem chodzę za miasto, do lasu, po parkach;
czasem muszę chodzić po ulicach. Chodzimy,
gadamy, on do mnie — ja do niego. Na jed-
nej z bocznych ulic, kątem oka, rejestruję bez-
wiednie jaskrawooranżowe drzwi małego skle-
piku i czarny napis: OTWÓRZ PAMIĘĆ.

Idziemy dalej, ale do mojej świadomości co-
raz dobitniej zaczyna docierać zagadkowość tre-
ci napisu: OTWÓRZ PAMIĘĆ? Agencja detekty-
wistyczna? Sporządzanie komputerowych
ankiet personalnych? Porady psychiatry? Nauka
języków obcych metodą hipnozy? Izba roz-
rachunku ze stalinizmem i bierutyzmem? Salon
gier? Klub szaradzystów i krzyżówek? Klub
donosicieli? Miłośnicy UFO? Miłośnicy nie wy-
korzystanych szarych komórek? Wróżka? Tak;
pewno wróżka... Jasne, że wróżka! Jednak
wracamy z psem pod jaskrawooranżowe drzwi.
Czarny napis głosi: OTWARTE PCHAC. Ode-
szliśmy z psem gadając — on do mnie, ja do
niego — w mokry zapach jesiennych liści, któ-
re przylepiały się nam do dwóch butów i cze-
rech kosmatych łap...

— Ano, jeśli wreszcie otwarto, to pchaj-
my... chociaż wolalbym, żeby otwarto na całą
szerokość i żeby nie trzeba było pchać... a
trzeba, niestety, i to mocno...

Ostatnimi czasami dość często słyszę opinie, że
polska kultura zatraciła swoją oryginalność,
swoją autentyczność, swoją prawdziwość w powo-
dzi innej, zachodniej, zgnieł zresztą i bezbo-
żnej, niosącej w sobie jeno seks (wynaturzo-
ny oczywiście), przemoc, brutalność, nieposza-
rowanie tatusia i mamusi i inne takie okrop-
ności. Co „światlejsi” rozmówcy podnoszą,
że cała kultura śródziemnomorska — kolebka
nasza ukochana i jedynie słuszna! — ulega
rozmydleniu w powodzi Azjatów, Afrykanów
i fałszywych Latynosów i Iberyzyków, którzy
przynoszą do nas swoją muzykę, tańce, litera-
turę, poezję, inne sztuki... Te opinie mogłyby
budzić śmiech, gdyby nie fakt, że wypowiada-
ne są bardzo serio, w poważnych kręgach.
Ktoś tam zażądał zamknięcia teatrów Paryża
dla dżukusów z Afryki; ktoś w Niemczech Za-
chodnich nawołuje do bojkotu japońskiego wi-
dowiska światła-muzyka-obraz; ktoś w Hisz-
panii nie chce wpuścić kogoś tam jeszcze...
Zgroza. Czysta zgroza! Kulturalny rasizm! Czy
tylko kulturalny?

Wracając na nasze podwórko ci, co widzą (i
ubolewają) rozmydlenie się naszej kultury,
domagają się oczywiście zakazów i nakazów,
komisji i kontroli, rejestracji i adnotacji, pe-
netracji i inwigilacji, ograniczenia i niedopus-
zczania, zapięcia i ukarania, nawracania i
kajania... Też zgroza!

Opowiem historię: znajomy znajomego mies-
zka w mieście wojewódzkim, w domu przez
siebie zbudowanym, ma wideo i kasety, bo
pracował za granicą i przywiózł. I dokupuje
nadal. Puszczal sobie to wideo, nie pornogra-
fię, broń boże, jak radości własnej rodziny,
przyjaciół. Piszę — puszczał, bo już nie puszc-
cza, bo co puści — to mu okoliczna, bogobojna,
dbająca o czystość naszej kultury ludność,
szyby tłucze w oknach, zaś dzieci szyszanowa-
ne są w szkole. Ile razy można wstawać szy-
by? Co to, wojna? Więc nie puszcza a modli
się, żeby nie rozszala się wieść, że jednak
puszcza — tylko w piwnicy, bo wtedy to go
chyba spala...

Narodowa Rada Kultury zgłosiła propozycję
zorganizowania Kongresu Kultury Polskiej. Os-
tatni zawiązany został 13 grudnia 1981, w
trakcie burzliwych, nie zawsze spójnych z kul-
tura, debat... Temu chyba nie grozi zawięza-
nie; grozi za to zdale się miłośność, pustka in-
telektualna i to nasze polskie przelewianie z
pustego w próżne, zwłaszcza kiedy się o spra-
wach kultury, tej z dużej i tej z małej litery,
mówi...

ANDRZEJ GRUN

Nieśmiały „Kopciuszek”

Kiedy Michał Fokina, jeden z największych reformatorów sztuki baletowej, wystawił dokładnie przed półwiekiem, bo w 1938 r. w Covent Garden swoją inscenizację „Kopciuszka”, nie była to bynajmniej pierwsza wśród słynnych wersji baletowych tej powszechnie znanej i lubianej baśni Charlesa Perraulta. Począwszy od londyńskiej prapremiery Ferdynanda Alberta w 1822 r. i o rok późniejszej petersburskiej Charlesa Didełota, brało się za ten balet wielu choreografów, m.in. w 1893 r. Petipa, Iwanow i Cecchetti w Petersburgu, z gościnnym występem słynnej Pieriny Legnani, która wtedy właśnie popisała się błędnym wykonaniem aż 32 fouetté.

Dopiero jednak moskiewska premiera z 1945 r. z muzyką Sergiusza Prokofiewa, choreografia Rościława Sacharowa, do libretta Mikolaja Wolkowa wyrażała poprzednie opracowania muzyczne, zapewne „Kopciuszkowi” największe triumfy.

Nie bez powodu przywołam zwłaszcza nazwisko Fokina, ponieważ obecnie, w pół wieku później, oglądamy „Kopciuszka” na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego, w choreografii bratanicy wielkiego twórcy Iriny Fokiny, przebywającej na Zachodzie (podobnie, jak i on, który jeszcze przed rewolucją opuścił Rosję).

Ten pełen uroku balet mieliśmy zresztą szczęście widzieć w Łodzi przed dwoma laty, jako niezapomniane widowisko sceniczne baletu opery z Lyonu, w pomysłowej i mądrej, niezwykle dowcipnej choreografii Maguy Marin. A tak już zazwyczaj bywa, że zachowana w pamięci wybitna realizacja sceniczna stanowi dla odbiorcy jakby układ odniesienia, dopóki następne nie zdołają się z nią przynajmniej równać pod względem artystycznego wyrazu i poziomu wykonania.

Przyznam się więc, że i tu nie mogliśmy uwolnić się od natrętności pamięci, zwłaszcza iż jak zapewne wielu widzów, oczekiwałem od dziedzickiego nazwiska czegoś oryginalnego, a przynajmniej perfekcyjnego. I nie mogę ukrywać, że doznałem sporego zawodu. Kompozycja choreograficzna całoci, jak również rozwiązania poszczególnych

scen, oglądamy „Kopciuszka” na scenie łódzkiego Teatru Wielkiego, w choreografii bratanicy wielkiego twórcy Iriny Fokiny, przebywającej na Zachodzie (podobnie, jak i on, który jeszcze przed rewolucją opuścił Rosję).

Ten pełen uroku balet mieliśmy zresztą szczęście widzieć w Łodzi przed dwoma laty, jako niezapomniane widowisko sceniczne baletu opery z Lyonu, w pomysłowej i mądrej, niezwykle dowcipnej choreografii Maguy Marin. A tak już zazwyczaj bywa, że zachowana w pamięci wybitna realizacja sceniczna stanowi dla odbiorcy jakby układ odniesienia, dopóki następne nie zdołają się z nią przynajmniej równać pod względem artystycznego wyrazu i poziomu wykonania.

Przyznam się więc, że i tu nie mogliśmy uwolnić się od natrętności pamięci, zwłaszcza iż jak zapewne wielu widzów, oczekiwałem od dziedzickiego nazwiska czegoś oryginalnego, a przynajmniej perfekcyjnego. I nie mogę ukrywać, że doznałem sporego zawodu. Kompozycja choreograficzna całoci, jak również rozwiązania poszczególnych

nych tanecznych układów czy to solowych, czy grupowych nie potrafiły pobudzić mojej wyobraźni.

Wręcz przeciwnie, uważam, że zbytnia dosłowność interpretacyjna poszczególnych scen nie odbiegała od stylu naiwnej pantomimy, co by może wskazywało iż rzecz jest adresowana do dziecięcej i mało wyrobionej widowni. Lepiej wprawdzie było, kiedy akcja, po uporaniu się z wprowadzającą anegdotą, sprowadzała się do popisu tanecznego, mieliśmy więc wędzyczny wale w I akcie.

Ale jednak strona techniczna tanecznych układów, wykonywanych przez większe grupy taneczne czy corpa de ballet, i to nie zawsze dość składowo, budziła moją podziękę, że pani choreograf musiała mieć na względzie nie najwyższą w obecnym momencie kondycję baletowego zespołu.

Na tle tej przeciętności tym korzystniej przedstawiały się niektóre solowe prezentacje, np. LUIZY ZYMEŁKI, zwinnej i pełnej wdzięku (mimo początkowego zahamowania) w tytułowej roli. Partnerował jej z powodzeniem jako Książę SEAWOMIR WOZNIAK, który, jak mi się wydaje nie całkiem jeszcze okrzepł tanecznie, niemniej jednak, obdarzony z natury piękną postawą i szlachetnym gestem, rąkuje jak najlepiej. Tak zwyczajnie podziwiałam przeze mnie znakomity mim CZESEAW BILSKI, zbyt jednostronnie, moim zdaniem, akcentował antypatyczne cechy Macocha i przez

ten brak wyrozumiałego dystansu okazał się nie dość komiczny.

Z brawurą eksponowali komizm ról Sióstr — Chudej tudzież Grubej ZBIGNIEW SOBIS i zwłaszcza BOGDAN JANKOWSKI, chociaż jak na mój gust, nieco zbyt grubą kreską. Nie chciałbym odmówić umiejętności tanecznych czy to KRZYSZTOFOWI STARCZEWSKIEMU (Blazen), czy EDYCI WĄSŁOWSKIEJ (Wróżka), czy paniom kreującymi pory roku, w tym DOBROSŁAWIE GUTKIE jako Zimie i może jeszcze kłóremu z wykonawców, ale korzystne wrażenie z ich występu powstawało, jak sobie uświadomiłem, na zasadzie wystawiania ponad dość szarą przeciętność.

Wykonanie orkiestralne nie przez cały czas jaśniało precyzją i finezją, za to prawdziwą ozdobą przedstawienia, ratującą jego ogólny artystyczny wyraz, były dekoracje i kostiumy państwa Chwędzuchów, gustowne i bez operowego bliznu.

Baśń o Kopciusku przetrwała niejedną przeziębienie losu, niemniej więc nadzieję, że utrzyma się dłużej w repertuarze przynajmniej dla młodzieży, a może również jako pokupny towar eksportowy na rynkach niechętnych wymagającym.

JERZY KWIECIŃSKI
SERGIUSZ PROKOFIEW: „Kopciuszek”. Libretto — NIKOLAJ WOLKOW, wg baśni Charlesa Perraulta. Choreografia — IRINA FOKINA. Kierownictwo muzyczne — ALEKSANDER CHWĘDZUCH i MARIUSZ CHWĘDZUK. Premiera w Teatrze Wielkim, 22 października 1988 r.

Fred Raymond, autor wystawionej właśnie przez Teatr Muzyczny „Błękitnej maski”, nie ma w historii operki wysokich notowań. Bernard Grun twierdzi wręcz, że jego utwory sceniczne „nie przejawiały nawet śladu wyższych ambicji kompozytorskich”. Ich cechą stanowiło miano „wyżyskowanie dawno zużytych klisz i rekwizytów, bezcelne kopiowanie wszystkiego, co już setki razy było pokazywane”.

Jak to często w kulturze masowej się dzieje, opinie teoretyków rozmięły się jednak z gustami i zapotrzebowaniami odbiorców. Raymond, rozpo-

Armando i pozującej mu do obrazu „Błękitna maska” Eweliny) nie skłonił na szczęście młodego reżysera do rozbijania widzów na siłę oglądanych jakże często w innych widowiskach „gipsami”. Hass zachował potrzebny umiar, powściągliwość i — powiedzielibyśmy — dobry smak, zaś dzieło inteligentnemu, niekiedy nawet „wielopłaszczyznowemu” rozegraniu sytuacji scenicznych osiągnął przejrzystą dramaturgię, nie pozabawiając zarazem całości pogodnego nastroju.

Sprzymierzając mi w osiągnięciu takiego rezultatu okazali się scenograf, dyrygent i choreograf.

Aktorski poziom spektaklu był wyrównany. Można nie ośmiewając, ale poprawny, przywoływać. Pośród solistów wyróżniali się — obdarzona witalnością i predyspozycjami tanecznymi Teresa Mulara-Pabisak (Juliszka) oraz ujmujący naturalnością Andrzej Stanisławski (Franciszek). Kreując drugiego dnia postać Juliuszki Wiesława Wieleborek-Grobelna komunikowała w arii „Temperament mam...” o swych zaletach trochę mniej przekonująco. Niestety, obie śpiewaczki momentami nie „przebiegały się” przez orkiestrę (co, jak sędzi, wynikało m.in. z niżej tessiturą partii sopranowej). Nieraz wcale nie pomagał zresztą solistom nagłośnienie mikrofonowe, dające też niekorzystny efekt „monofoniczny”. Dużą klasę wokálną — szlachetność tembru i wyborną technikę — zademonstrował Ireneusz Jakubowski, dystyngowany Armando. Jego „zmiennik” Stanisław Baron, zwrócił uwagę dobrym śpiewem i swobodą sceniczną. Podobnymi cechami wykazał się Andrzej Orzechowicz (Pepi). Podobnie się odzwierciedliła Ewelina. Elżbieta Plak żywcem udoskonalenia emisji (głosu) była czasami jakby trochę ściśnięta. Małgorzata Wilk — wyeliminowana różnie w wibracji głosu. Dość wyraziście sylwetki zarysowali Tadeusz Lewandowski (Don Pedro) i Zbigniew Bobowski (José).

Sądze, że ta nowa, bezproblemowa, lecz relaksująca premiera stanowiłaby jedną z chętniej oglądanych pozycji repertuarowych sceny przy ul. Północnej.

JANUSZ JANYST
Fred Raymond, Heinz Hentschke: Błękitna maska. Reżyseria — Zbigniew Marek Hass, kierownictwo muzyczne — Tadeusz Blaszyk, scenografia — Anna Bobrowska-Ekier, choreografia — Włodzimierz Traczewski, kierownictwo chóru — Roman Paniuta. Premiera w łódzkim Teatrze Muzycznym 29 października 1988 r.

Błękitna maska

czynając działalność jako autor szlagierów, rychło stał się jednym z najbardziej wziętych twórców berlińskiej operki lat trzydziestych. Natomiast jego późniejsze, częściowo zniknięcie ze scen muzycznych spowodowane było już raczej tym, iż należał do ulubieńców Hitlera.

„Błękitna maska”, zaprezentowana w berlińskim Metropol-Theater w r. 1937, przyniosła kompozytorowi największy sukces. Sprawdziło to zapewne nagromadzenie wpadających w ucho przebojowych melodii i obecność „gorących rytmów” podłudniowamerykańskich.

W teatrze łódzkim reżyserii podjął się Zbigniew Marek Hass, pracujący w naszym mieście dopiero po raz pierwszy. Operetkowy banał rozgrywał się w San Remo a potem w Argentynie akcji (opowiadającej o miłosnych perypetiach malarza

Dekoracje, ale przede wszystkim gustowne kostiumy Anny Bobrowskiej-Ekier stworzyły już w pierwszym, szczególnie udanym obrazie („na bulwarze”) odpowiedni klimat. Pełnacy kierownictwo muzyczne Tadeusz Blaszyk sprawnie poprowadził orkiestrę. Radziła sobie ona zupełnie dobrze ze zmieniającymi się konwencjami, brzmieniami, w rytmicznym „małańskim” tercencie w II odsłonie, czy w rumble w akcie II, nienajlepiej jak big-band. Rzeczona, dynamiczna rumba dała pole do popisu zespołowi baletowemu, który nieco wcześniej ładnie zatańczył m.in. klasycznie potraktowanego walc na pointach. Nie pamiętam, czy kiedyś już zdarzyło mi się słyszeć wypowiedzianą aktorską kwestię tancerki. Tu miało to raz miejsce, świetnie też z pantomimicznych zadań aktorskich wykazywały się tancerki w scenie przed tawerną.

gramie specjalnie dla nich napisanym i z nim będąc raz w miesiącu, przez 17 miesięcy (bo 17 Estrad jako instytucji mamy w Polsce), wyjeżdżać w trasy koncertowe po kraju. Poza tym Telewizja wyemituje recital i półrecital najlepszych spośród młodych wykonawców wyłonionych przez fachowe jury pod przewodnictwem Aleksandra Bardiego. Obecność tego wybitnego artysty gwarantuje najwyższą fachowość i rzetelność w ocenie kandydatów na przyszłych mistrzów. Oczywiście będą także atrakcyjne nagrody rzeczowe fundowane przez sponsora, w tym eleganckie futra, koczuchy, itp. Zostanie również nagrodzony nowy program, a właściwie firmująca go Estrada. W nagrodę firma taka otrzyma zwrot kosztów włożonych w przygotowanie programu. Musiełmy zorganizować taką imprezę, podjąć tę ideę, notabene urodziła się ona u nas w Łodzi, gdyż coraz wyraźniej dostrzegamy brak młodych wykonawców estradowych przy jednoczesnej przemianie artystów zasłużonych i wysłużonych.

— Życzymy zatem udanych Prezentacji Artystycznych, wyoju talentów, a do imprezy wrócimy na naszych łamach po jej zakończeniu. Dziękuję.

MAREK KOPROWSKI

Galeria „Karuzeli”

NA JESIENNE WIECZORY

— Już dwadzieścia pięć lat minęło od naszego ślubu, a dotąd żona codziennie całuje mnie w czoło wracam z pracy.
— Moja też, sprawdza czy nie piłem.

— Pańska połowica jest co dzień piękniejsza.
— Tylko że, niestety, to co dzień drożej kosztuje.

— Wczoraj dwie godziny graliśmy Mozarta i Liszt.
— Co ty powiesz, i kto wygrał?

MASZTAŁSKI NA ŁAMACH „KARUZELI”

— Co ci się stało w oko — pyta Maształski Eciła.
— Dostałem śrubokrętem od Pytlikzki.
— Bez przypadek?
— Nie, bez dziurka od klucza.

— Patrz Ecičku, to jest ten chłop, co mi życie uratował, jak zech się topiła — godo Ecičkowo do swojego chłopca.
— Ja, wiem — godo Ecił — on się już u mnie z pięć razy usprawiedliwiał.
(„Karuzela” nr 23)

W dniach 8—13.XI.pr. odbywają się w Łodzi Prezentacje Artystyczne ESTRADY '88. Co je wyróżnia spośród innych przeglądów i spotkań tego typu?

— Prezentacje przebiegać będą w dwóch nurtach: konkursowo-promocyjnym i pokazowym. Najważniejszym, bo skupiającym w sobie idee imprezy jest ten pierwszy. W całym kraju wyszukiwano młodych, utalentowanych wy-

którym wystąpią znani i uznani wykonawcy (m.in. Hanna Banaszak, Grzegorz Ciechowski, Magda Umer, Teatr Ateneum z „Hemarem”) jest rodzajem deseru dla łódzkiej publiczności. Nie ukrywam jednak, że największą wagę przywiązujemy do promocyjnego charakteru imprezy, bo od dzisiaj wstępujących do zawodów młodych artystów zależy stan i poziom przyszłej polskiej sztuki estradowej. Chcieli-

Nastawiamy się na promocję

Rozmowa z szefem Estrady Łódzkiej, dyr. JANUSZEM SIKORĄ.

konawców z różnych dziedzin rozrywki estradowej — od cyrku, wariet, i kabaretu, po balet. Kandydaci, po „oszlifowaniu” przez fachowców, przeszli przez gęstsze sito, stając przed zbiorowym obliczem Rady Programowej. Ona to ostatecznie zakwalifikowała programy i wykonawców do publicznej prezentacji w czasie ESTRADY '88. Drugi nurt: pokazowy, w

byśmy, aby w przyszłości impreza nasza, pomysłowa i wpisana w kalendarz imprez centralnych jako biennale, stała się promocyjną w czystej formie, z udziałem jednej, najwyższej dwóch gwiazd.

— Przy tak silnym nastawieniu na promocję, na co mogą liczyć zwycięzcy konkursu?
— Wszyscy laureaci wezmą udział w pro-

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

wać te kwestie ciągle od nowa, ale coraz mniej mamy zaufania do cudzych sformułowań. Każdy zaczyna być mądry na własny użytek. Nie wiem, czy wszyscy mamy ten sam Dekalog. A poza tym — nie wybieramy na co dzień między dobrem a złem, przed takim wyborem człowiek staje niezmiennie rzadko... (Krzyżof Kieślowski w rozmowie z Bożeną Janicką — „Film” nr 43).

NASZE CZASY

„Angielskie gazety pisząc o brutalności przestępców z Ameryki posłużyły się tytułem mojej książki — a może raczej tytułem filmu na niej opartego. „Mechanizm pomarańczowy” — pisze Anthony Burgess w „The Independent” — stała się w języku dziennikarskim synonimem przestępczości młodocianych, a mnie samego niektórzy bezmyślni publicyści uważają za kogoś w rodzaju oca chrześnego nieletnich gwałcieli, bandytów i zabójców... Zależnie niszera polega na obserwowaniu i relacjonowaniu rzeczywistości, a nie na wymyślaniu jej substytutów, zaś mój reportaż sprzed ponad ćwierćwiecze zawierał w sobie dość trafne przewidywania... Nasze czasy nie różnią się tak bardzo od dawnych epok. W XIX wieku londyński motloch stanowił nieustan-

COŚ Z ŻYCIA

„Najstarsza profesja świata przeżywa w RFN kryzys — pisze „Le Monde”. — Renomowane domy publiczne na Reeperbahn w Hamburgu jeden po drugim zamieniają swoje podwoje, ustępując miejsca klubom wypoczynkowym — i to ze wszech miar przyzwyczajonym — dla młodych biznesmenów. Strach przed chorobą stulecia AIDS, okazał się skuteczniejszym środkiem odrodzenia moralnego niż wszystkie kazania ex cathedra.

Aby jakoś przetrwać ten trudny okres, perypatetyczki z Hamburga specjalizujące się w klienteli masochistów wpadły na pomysł sprzedaży nie tylko swego ciała, lecz także wiedzy i umiejętności. Organizują one mianowicie „seminaria wprowadzające w podstawy metod i technik dominacji”. Za tysiąc marek każ-

da kobieta pragnąca nabyć wspomniane umiejętności może zamienić swój kostium czy podomkę na kombinizon z czarnej skóry i długie buty na wysokim obcasie, a walek do ciasta na pejsz. Seminarium trwa trzy dni”.

Według tygodnika „Tempo” zainteresowane małżonki pchają się drzwiami i oknami, bo... „wszystko pozostanie w rodzinie. Pan i władca bowiem zamiast trwonąć pieniądze na wyrafinowane przyjemności, będzie miał to samo za darmo w domu”.

UKRYTE BOGACTWO

Andy Warhol wielokrotnie zaskakiwał świat swymi artystycznymi pomysłami. Od jego śmierci upłynęło kilka miesięcy, dużą część spadku zlicytowano w kwietniu za 25,3 mln dolarów i wydawałoby się, że na tym zakończyły się sensacje związane z jego osobą. Tymczasem ostatnio w podwójnym dnie szafy w jego mieszkaniu znaleziono sefki diamentów, 300-karatowy szmaragd, 94 cenne zegarki i tuzin szafirow. Majątek ten zostanie zlicytowany 4 grudnia w Nowym Jorku w „Sotheby's”.

Kronika

JEDNYM ZE ZNAČĄCYCH AKCENTÓW obchodów w naszym mieście 70-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, będzie otwarcie 9 listopada br. w gmachu Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego, wystawy „Drogi do niepodległości”.

Wernisaż uświetni koncert pieśni niepodległościowej w wykonaniu orkiestry łódzkiego garnizonu.

POLECAMY UWAGĘ — drukowany w tygodniku „Polskiego pt. „Roman”, wydany przed laty na Zachodzie.

Wymieniał lektura „do poduszki”.

SAM ANDRZEJ WAJDA wystąpi przed kamerą i wyłoży swoje credo artystyczne, w realizowanym przez Andrzeja Brzozowskiego godzinowym filmowym portrecie twórcy „Popolu i diamentu”.

Film ten powstaje w Wytwórni Filmów Dokumentalnych — we współpracy z zachodniemiecką firmą Regina Zeigler.

TENGIZ ABULADZE, twórca „Pokuty”, zaliczany do obywateli w Polsce „Securoloapien”. Andrzej Czarniecki, postanowił odtąd męczeństwu tego wielce utalentowanego, młodego polskiego reżysera.

Umówił mu zrealizowanie w Związku Radzieckim debiutanckiego filmu pełnometrażowego.

TOM WIERSZY ERWINA KRUKA „Z krainy Nod” (PIW) oraz powieść Józefa Łosińskiego „Ślisk na Heł” (Wydawnictwo Dolnośląskie) uznane zostały przez miesięcznik „Literatura” za „Książki roku 1988”.

W NIEZBYT — jak na gust „kronikarza” atrakcyjnej szacie graficznej, ukazał się od drugiego już czasu zapowiadany, pierwszy numer nowego dwutygodnika „Świat książki”.

Z ciekawych materiałów zasynalizujemy: rozmowę z Józefem Henem, wypowiedzi Grzegorza Białkowskiego i Stanisława Zielińskiego na temat „Czym jest dla mnie książka”, fragment najnowszej powieści Władysława Teleskiego pt. „Droga Jakubowa”, listę zachodnich bestsellerów 1988 roku.

Pismo to pragnie służyć pomocą autorom, wydawcom, księgarzom i bibliotekarzom — a przede wszystkim ułatwić czytelnikom orientację na rynku księgarskim. Wydaje je oficyna „Alfa”. Nakład 15 tysięcy egz., cena numeru 100 zł.

PROWADZONE PRZEZ ARCHEOLOGÓW z Królewskiego Muzeum Szkołowego w Edynburgu prace wykopaliskowe na archipelagu Hebrydów rzuciły nowe światło na tradycje europejskiego piewoństwa.

Analiza chemiczna odnalezionych naczyń glinianych, w których warzone piwo wykazała bowiem, że napój ten znany był już 6 tysięcy lat temu na północnych krańcach naszego kontynentu.

Informację tę dedykujemy wyłącznie piwowosom z prawdziwego zdarzenia.

POLSKA ŚPIEWACZKA — Monika Cichońska (sopran) — odniosła duży sukces artystyczny, zwyciężając w Międzynarodowym Konkursie Wokalnym w Tuluzie.

NA ZOORGANIZOWANEJ PRZEZ BIBLIOTEKĘ JAGIELLOŃSKĄ W KRAKOWIE archiwalnej wystawie z okazji jubileuszu 400-lecia krakowskiej szkoły im. Bartłomieja Nowodworskiego (najstarszego w Polsce świeckiego gimnazjum publicznego) pokazano — wśród rzadko eksponowanych cymelów bibliotecznych — dwa autentyczne zeszyty ćwiczeń łacińskich młodzieńczego Jana III Sobieskiego.

W GALERII BALUCKIEJ (Stary Rynek 3) rzuca się interesująca ekspozycja grafik z cyklu „Ziemia” Danuty Kolwacz-Nowickiej.

W OŚRODKU PROPAGANDY SZUKI (park im. H. Sienkiewicza) 14 listopada br. nastąpi otwarcie ciekawie się zapowiadającej wystawy „Obok fotografii” („Prezentacje autorskie”).

Eksponowane będą na tym werniszu fotografie znanych łódzkich fotografików: Grzegorza Bolewskiego, Wojciecha Brzozowskiego, Witolda Krymasy, Mariusza Łukawskiego, Mariusza Przyborka, Andrzeja Pukaczewskiego, Józefa Bobakowskiego oraz Zdzisława Waltera.

BIBLIOTECE AUSTRALIJSKIEJ SZKOŁY FILMU I TELEWIZJI w Sydney nadano imię prof. Jerzego Teofilika. Upamiętniono w ten sposób jego znaczący udział w powstaniu tej uczelni.

NAGRODĘ WARSZAWSKIEJ PREMIERY LITERACKIEJ w październiku otrzymał Józef Kuropleksa, za książkę „Nieprzewidziane przygody” (Wydawnictwo Literackie).

NIEMĄTLIWIYM BESTSELLEREM stanie się opublikowana w tych dniach przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik” nowa powieść Władysława Teleskiego „Droga Jakubowa”.

Jej akcja, obfitująca w sensacyjne wydarzenia, rozgrywa się u schyłku szlacheckiej Rzeczypospolitej.

PIERWSZY NA ŚWIECIE KONKURS PIĘKNOŚCI odbył się 100 lat temu w belgijskim uzdrowisku Spa. Królową piękności została wówczas 18-letnia Krolka z Gwadelupy — Berta Sukare.

PROFESOR ANDRZEJ AJNENKIEL — z Instytutu Historii PAN — zapoczątkował w Szkole Studiów Sławistycznych i Wschodnioeuropejskich Uniwersytetu Łódzkiego cykl wykładów poświęconych 70. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

W WIEKU 61 LAT ZMARŁA NA RAKA PLUC Sheila Scott, angielska aktorka i piosarka. Była również światowej sławy folkloristką. Należała do niej rekord długości lotu na jednosobowym samolocie (48 280 km).

Jako pierwsza kobieta przeleciała nad Biegunem Północnym. W czasie lotów lubła słuchać muzyki Rachmaninowa i Beethovena.

Opracował: JAK

SWIZLAK

Widać, że Stwórca nie oszczędzał na Swizlaku. Sądząc po rozmiarach i liczbie kości, o tych gigantycznych gnatach i po ogromnej czaszce, natura planowała najpierw coś bardziej masywnego, nosorożca albo wielbłąda, ale czy to w ostatniej chwili coś się stało, czy też zabrakło przydziałowych chrząstek, dość, że w końcu ulepiła i wypuściła w świat Swizlaka, zostawiając tylko nosorożcowy ładunek ambicji, zawiści i perfidii, o niewyczerpanych możliwościach, no i poszedł sobie spacerować ze swoim oddechem i aspiracjami, a na domiar wszystkiego dostał się do klatki mieszkania kwaterekowego, no i za niskie okazały się nadproża, musiał więc schylać głowę, a że wszystko wydawało mu się maciupeńkie, nie tylko chciał rozwalić wszystko w drobniaki.

W jakim ministerstwie pracował i co tam robił, przez te dziesięć godzin, kiedy go nie było w domu, tego nikt nie wiedział, a on sam bardzo starannie to ukrywał i ani razu nie wygadał się, uważając to za tajemnicę państwową, a gdy się go o to zapytało, spoglądał podejrzliwie z ukosa, jakby co najmniej pytano go o dyslokację wojsk, a w najlepszym razie mówił z uśmiechem na twarzy:

— Gdzie partia i rząd mi zlecił, tam pracuję.

Chociaż powszechnie wiadomo było, że nie należy do partii i nigdy nie należał, oświadczenia pisał częściej niż jakikolwiek członek partii, i zdaje się, że niekiedy było jego współmieszkańcom, sądząc po tym, co mówił do żony przy kolacji, że „ustawił towarzysza Kapłana”, i że jeszcze „zabierze się za towarzysza Szczepkina”, że „sprawdzi pochodzenie społeczne Brokhauza”; czy to czasem nie kuzyn Brokhauza i Jeronimy, co napisali dość głośną encyklopedię?

Mówią, że w czasach NEP-u Swizlak otworzył w jakimś małym miasteczku gubernialnym prywatny zakład naprawy szaf pancernych, i miał i złoto, i perły, i brylanty, i obca waluta. Ale w pierwszych latach socjalizmu szybko się przestawił, zniknął z gubernii, i znalazł sobie kąt w Moskwie. Piorunem ze wszystkich innych kątów wywalił prawowitych właścicieli, zaczął nosić brzytwe i brezentową teczkę komisarza i nawet mało brakowało, żeby nie wstąpił do partii, ale w tym czasie zaczęła się czystka i nie chciał ryzykować. A kiedy czystka się skończyła, już się nie zapisał tylko zdecydował się do końca życia zostać bezpartyjnym bolszewikiem, bez żadnej odpowiedzialności, bez obowiązku płacenia członkowskich składek, pomagał partii demaskować wrogów ustroju, dwulicowców, ideologicznych dywersantów, żywo reagując na wszystkie aktualne hasła i kampanie, na wszystkie „sobotniki” i „niedzielniki”, i choć sam nie lubił pracować, dbał o to, by nikt się od pracy nie wymigiwał, nie stronił od społeczeństwa, chowając się w indywidualnej skorupie, w wieży z kości słoniowej, chociaż swoją komórkę budował mocno, wytrwale, nie czekając na pomoc kolektwu.

Ledwie zdążył wejść do domu w swojej mokrzej peli kurcie i w wysokich myśliwskich, śmierdzących dziecięcymi butach, z wielką teczką jak tylko zdążył zdjąć kurtkę i rzucić teczkę, krzyknął na córkę: „Lala, nie truć czasu!” — i zarynął pilnować heblować, stuknąć.

Swizlak uwielbiał komórkę, spiżarkę, szopy. Gdyby tylko zobaczył wolno, albo nawet zajęty kąt natychmiast go grodził i zamykał szmatami. Strych i piwnice już dawno opłował, pozazarażał, pozapychał starymi krzesłami, starymi materacami z wystającymi sprężynami, kożusami ze zbledniętymi krawędziami, gazetami i wszędzie pozawieszał solidne spichrzowe zamki, a gdy ktoś wchodził na strych albo do piwnicy, żeby powiesić bieliznę, wiesznie rozwalal sobie czoło o te cholerne, zarzewiające zamki.

Na czas wojny Swizlak albo się ewakuował, albo dostawał kawernerę w płucach. Widać to było na zdjęciach rentgenowskich, które nosił przy sobie i wszystkim pokazywał jak własną fotografię, w mieszkaniu, w pracy, w różnych instytucjach, gdzie tylko miał coś do załatwienia. Może rzeczywiście tak było, ale ja w to nie wierzyłem. Kiedy rąbał siekiera albo przemierzał jedynym susem schody, kiedy głośno płukał zębami przy zlewku, albo kiedy ledząc kolację rozrywał gęś na strzępy, jakos nie sprawiał wrażenia człowieka śmiertelnie chorego.

Tak czy owak 16 października szybko się ewakuował, nie zapominając pozamykać przeczornie wszystkich zamków. Oczywiście w zimie, w mroźne wojenne dni ludzie wszystko to rozwalili i porabiali na ognie, a kiedy Swizlak wrócił w zwycięskiej stalinie — w gabardynowej bluzie i w bufiastych wojskowych spodniach z diagonalą — rumiany, opalony z pakami suszonych moreli, tym samym głosem co kiedyś mówił: „To nie pokojowe czasy”, teraz mówił: „To nie wojenne czasy”. I robił wszystko, co chciał, co mu było wygodne.

Musieliśmy zaczynać wszystko od nowa, więc całymi wieczorami heblował i stukał zbijając swoje komórki. Którejś nocy tak się zagalopował, że zagroził kawał kuchni i kiedy wszyscy „zawili” się rano z garnuszkami, z patelnikami, to musieli się zatrzymać na wprost nowej komórki z zamkiem. Taki sam los spotkał potem wspólny korytarz, tu też udało mu się wyćcać kawałek miejsca na przegródke-pułapkę i oczywiście zawiesić ogromny zamek. A kiedy już wszystko ogroził, wlaź na ścianę, wyrwał kawałek korytarza i zrobił wiszący pawłacz, gdzie powpychał kobiałki półkożuszeki, książki pogryzione przez myszy, różne pisma i broszury z lat dwudziestych.

W malutkim ciemnym korytarzyku, tuż przy moich drzwiach, na gwoździu wisiała jego wspaniała długowłosa psia kurtka, przybrałszy potężny wygląd swego właściciela. Pachniało od niej wilgocią i psami, od niego też pachniało psami, kiedy wychodził z pokoju: od niego, od jego szeleku, pach, uśmiechu i wzroku.

Swizlak mieszkał z żoną, drobniutką, zadreżoną kobietą o nieszczyśliwej „zasuszonej twarzy”. Bez przerwy mówił: „Nie chodź na palcach, tylko na całych stopach, bo to mnie drażni”.

Dniem i nocą był w stanie rozwalić wszystko w drobniaki, wszystko go drażniło, a ponieważ nie mógł całej tej energii gdzieś wyładować na przykład wbijając gwoździe, więc pozostała ta część wylewała się z koniuszka pióra No. i to delikatne, pozornie lekkie zajęcia w rzeczywistości okazywały się cięższe od pracy ładowacza na okręcie — tu już nie wystarczało serce no-



Foto: Grzegorz Galasiński

Moskiewska ulica

(2)

BORYS JAMPOLSKI

sorożca, lecz koparki. I to go w końcu nadwerżyło, ale to dopiero później, dużo później, a był do tego potrzebny kataklizm, przy którym wybuch Wezuwiusza, trzęsienie ziemi w Japonii, dżuma, czy inkwizycja, wszystkie sztuczki Heroda były po prostu kurzym łajnem.

Nikt nie wiedział jaką siłę posiada Swizlak i do czego jest zdolny, ale wszyscy byli przekonani, że może zrobić wszystko i woleli nie wystawiać losu na próbę i nie doprowadzać do wrzenia.

Nie dziwnego, po każdym kuchennym czy korytarzowym zwycięstwie Swizlak stawał się jeszcze bardziej nachalny i żądny, a gdy na schodach rozlegały się jego ciężkie kroki i stychać było świszczący oddech, jakby sama psia kurtka oddychała, w kuchni zamierało życie.

Jego sąsiadką była cichutka, nieśmiała stara panna Luboczka, która mieszkała w swym domku-gniazdku wśród wspaniałych pluszowych foteli jak mysz w norce, i do której nie docierały ani sztormy, ani fale elektromagnetyczne współczesnego życia, i która od rana aż do zmroku bała się spojrzeć i oddechów Swzłaka, a na dźwięk jego głosu mdlała.

W pokoiku miała jeża, a pod oknem niezłym grot podwodny stało akwarium ze złotymi rybkami.

To tylko nam się tak wydaje, że wszystkie rybki są jednakowe. Dla niej każda była indywidualnością z charakterem, swoimi przyzwyczajeniami. Niektóre rybki były potulne, leniwe, niektóre szalone i kapryśne, były i wszystkie kochające, i bardzo wybredne. Każda z nich miała swoje imię.

Długa, zwinną trzpiotka to był Wasyl. Grubłutka, ospała — Taras. Maciupeńka, żwawa, drapieżna, w lot chwytająca karmę to był Walenty.

Dla nich wszyscy ludzie też na pewno byli jednakowi, tylko ich gospodni była inna, nawet w ciemności rozpoznawały jej sylwetkę i reagowały na jej śpiewny głos. Wystarczyło, że zawołała: „Wasyl! Wasyl!” i Wasyl natychmiast przerywał krzątanie w zaroślach, podpływał do szyby, wlepiał chłodny wzrok, pytając: „O co chodzi? Jestem tutaj!”

Codziennie rano, kiedy wszyscy spali i wieczorem po pracy Luboczka karmiła swoją złotą gwardię i za drzwi słycały było: „Wasyl! Wasyl!... Chap... Taras... Taras... Taras nie zwał... Walenty, skończ wreszcie te chuligańskie numery!”

A Swizlak wszystko to odnotowywał. Któregoś zimowego wieczoru, podczas kolejnego karmienia Luboczka po coś otworzyła nagle drzwi do kuchni. W tym momencie od drzwi, waląc buciorem, odskoczył bruchacz w gabardynowej bluzie z szerokim wojskowym pasem.

— Proszę wybaczyć — powiedział administrator domu — ale dotarli do nas sygnały... Ja mam zdyscyplinowaną ulicę..., a u pani, bez zezwolenia, mieszka dwóch Wasylów, jeden Taras i jeden Walenty.

Nawet Gołubiew-Monatkin — polityczny towarzysz z konspiracji (w latach dwudziestych o nieposzlakowanej przeszłości, który przeszedł wszystkie czystki i tylko przez jakiś koniunkturalny nieporozumienie wpadł w pułapkę, znając wszystkie polityczne triki, mający wrodzony wdech klasowy) nawet on czuł, że Swizlak to kulak, podsmarowany element, który mógłby równie dobrze służyć Kiereńskiemu, i białeż Machno, i królowej angielskiej — Elżbiecie, i japońskiemu mikado Chirochito, gdyby udało im się dorwać do władzy w Rosji. Gołubiew-Monatkin starał się unikać Swizłaka. Nie to żeby się go bał, ale po prostu z pozycji swojej konspiracyjnej przeszłości jakby nie za-

uważał jego nachalnej obecności, nie dyskutował z nim, ani — tym bardziej — nie wymieniał doświadczeń kuchennie-korytarzowych. Stojąc w pół obrócony słucał go jednym uchem: „To wszystko brednie, paplanina i brak politycznego pojęcia” (taką miał wtedy minę, co jeszcze bardziej podkreślały jego wydatne wargi). Potem Gołubiew-Monatkin spluwał taktownie w stronę Swizłaka, rozmazywał nogą i oddalał się w swoje głębokie, partyjno-klasowe rozumienie wydarzeń i kolejnych zadań.

W największym pokoju ze szklanymi drzwiami, pierwszym od wejścia, nawet nie w pokoju a w salonie z pulchnymi amorkami na ścianach i z ogromnymi oknami weneckimi (które razem rozjaśniały się od światła trolejbusów) mieszkała wielka, bardzo hałaśliwa i kłóliwa rodzina — mrowisko: dziadkowie, babki, dzieci, szwagrowie, siostrzeńcy, bracia ciocieni, siostry ciocienne, a wszyscy czarni, kędzierzawi, krzykliwi i bardzo do siebie podobni.

Przyjeżdżali do nich z pobliskich i z najdalszych miast, a także przychodzili z różnych dzielnic w gości tacy sami jak oni, kędzierzawi, czarni, namiętni, namolni i natretni. Czasem odnosiło się wrażenie, że zostawali na dłużej wymieniając się dowodami osobistymi. Nie tylko dzielnicowy czy dozorca, ale nawet sąsiedzi nie mogli się polapać kto jest kim.

A brzęczało jak w gnieździe trzmieli: albo przebudzone gniazdo wybuchało albo przychodziło, ale najczęściej cały czas brzęczało równo, z tą samą siłą, a w tym brzęczeniu słycały było — i trząsk radiowozu, i brzdękanie gitary, i klótnie narwanym braciom (o podstępnych, przebiegłych oczkach) i nie kończący się dźwięk maszynki do mielenia mięsa (która czort wie dlaczego trzymała w pokoju), i stukanie — wiecznie coś heblowali i pilowali — a do tego jeszcze jakieś buczenie, jakby czołotka tkackiego albo aparatury do pedzenia samogonu i jakby kogoś strzygli maszynką, a on by wrzeszczał z bólu.

Spali na dwu- i trzypiętrowych łózkach. Ciągłe ktoś chrapał i stękał przez sen, a w tym czasie pozostali pili kłócieli się, młaskali, a głosnik bębnił swoje.

Zimą, od najwcześniejszych godzin rannych, kiedy na dworze jeszcze jest zupełnie ciemno, a ludzie z trudem przecierają zaspane oczy, w „mrowisku” rzycał już ochrypły patefon. Potem już przez cały dzień się tak kręcił, śpiewał płomiennym przyzywającym głosem, wzywał na Gwadalupę, a oszalała i tepa jak gwoździę igła drapała zarzęniętą płytę.

Mówili „i'm ssory”, ale kto to tacy „i'm ssory”, co ta za nacja, co za plemię, skąd się wzięło i rozsiało po wszystkich miasteczkach i miastach Rosji, od bulwaru Feldmana w Odessie do Złotego Rogu we Władywostoku, i cały świat zaczęło swoimi miękkimi szczotkami do butów, tego nikt dobrze nie wiedział. Nawet oni sami tego nie wiedzieli.

Skąd się wzięli, gdzie znajduje się ich prawdziwa ojczyzna, czy pochodzą z Assyro-Babilonii, czy skądś bliżej? Mówili przedziwnym naczeczem, mieszając jakąś chińszczyznę z rosyjskimi słowami i żargonowymi odzwłkami. Ale za to rachunki pieniężne prowadzili zawsze po rosyjsku.

To właśnie oni rozplenili się na wszystkich pobliskich rogach, zasiadając w budkach własnej roboty wśród różnobarwnych sznurowadeł, past do butów i girland białych podszew — czyszcili buty szybko machając szczotkami. A kiedy zaczęła się wojna i nie było co glansować, rozproszyli się po wszystkich rynkach i handlowali szmatami, przydziałowym chlebem, wódką, sacharyną, medalami „Za odwagę”, a

kiedy znowu nastąpił pokój — zalegali na wszystkich stacjach metra — zimą z mimoszami, wiosną z tulipanami i konwaliami, krzycząc: „Narcyz! Narcyz!”, a później jesienią — z kwakawcami szalkami: „Import! Eksport!”, „Import Eksport!”

Głośni, natretni, buntowniczy, nieobyczajni, zjawiali się w każdym ognisku braków: na skrzyżowaniach, na bazarach, gdzie popadło i gdzie pachniało pieniążkami. Handlowali czym tylko się dało: mimoszami, biustonoszami, karmelkowymi lizakami, zabawkami, nieważne czy dowodziło się to samolotami, czy robiło chałupniczo, w potajemnej suterenie.

Nie dziwnego, że ten wielki pokój raz był tropikalną oranżerią, raz hurtownią, a innym razem, gdy wszyscy siedzieli razem od najmłodszego do najstarszego i wydychali balony — pracownią. Zresztą balony szły od ręki.

Było to tak, jakby dosłownie obok koczowała horda: wrzeszczeli o świecie, przez cały dzień, przez całą noc a czasem nawet cały tydzień, gdy było jakieś święto albo jakaś uroczystość. Kiedy na przykład było wesele, to wyczuwano się to już w troleibusach.

Pewnego dnia odbył się ślub córki o szarej twarzy, cierpliej na suchoty, z suchotnikiem, którego poznała w przychodni przeciwgruźliczej.

Wesele było głośne i dzikie, a ponieważ za przekroczony limit prądu wyłączono elektryczność — zabawa trwała przy świecach i kaganakach.

Było bardzo wielu gości — gruźlików. Wypito morze wódki w dniu ślubu, następnego dnia i przez wiele kolejnych dni, patefon wrzeszczał od rana do nocy, a wesele nie mogło się skończyć.

Całą tą oszalałą chmurą o miękkich jak baranek loczkach kłowało z lewa na prawo. Cały pokój się kołysał, a w nim wszystko skakało, rilo wódkę, zagryzało salatką jarzynową, obgadawało, paplało, wspominało przeszłe i przewidywało przyszłe krzywdy, cyganiło, darło się i przepraszało, zgodnie śpiewało i zgodnie ośio, by po chwili znów draścić się do krwi, nie przebacząc ani jednego spojrzenia, ani jednej aluzji, ani jednego słowa.

Pijaństwo i uciechy zamikły na jakiś czas. W tym właśnie czasie najmłodszy założył ogromne boty i wyszedł na dwór. Po godzinie przyprowadził go milicjant za kradzież wódki w restauracji.

Goście przychodzili i wychodzili, przyprowadzili nowych gości, albo trzeźwych, albo spitych na innym weselu, lub po drodze, albo w knajpie. Może nawet nikt ich nie przyprowadzał, tylko sami przychodzili słysząc w knajpie odgłosy wesela. Pijani leżeli wszędzie: w korytarzach i na schodach. Ludzie idący rano do pracy przeskakowali przez nich jak przez klody. Panna młoda po tygodniu zasiała. Zabrała ją do szpitala i tam zmarła, ku rozpaczowi taboru, który zdążył nieszczęśliwie zameldować u siole nowożeńca.

Kiedy wrócił na pogrzebu zaczęła się stypa. A była tak głośna i rozpaczliwa, jakby to było przedłużenie wesela.

A kiedy już przebrzmiała echa stypy, zaczęła się bójka, między rodziną nieboszczki a panem młodym. Rodzina za wszelką cenę starała się go wysiedlić. Patefon grał, a rodzina nacierała na zięcia, dusiła go i wypychała na mroźną ulicę, ale na próżno. Poturczony, podrapany, półnieszczęśliwy ciągle wracał, otwierał drzwi i mówił:

— A ja jestem tu zameldowany i nikt nie ma prawa...

Mówił o stratach, jakie poniósł i obiecywał odejść pod warunkiem, że oddadzą mu za świecę i trumnę. Ale był to tylko wykręt. Nigdy się nie wyprowadził, natomiast podał sprawę do sądu i siedział wraz z dwoma ławnikami przysadzili mu kilka metrów kwadratowych i nadal mieszkał w jednym pokoju z całym taborem. Odgrodził się od nich bufetem, ale mimo to kłótniom nie było końca, tak samo jak nie kończyło się potajemne przesuwanie bufetu z ustalonej granicy.

— Ciągłe przesuwam — mówił — chcę powiększyć swoje terytorium, a oni pod moją nieobecność tak zsuwają bufet, że dosłownie nie mam czym oddychać.

Teraz wszędzie, o każdej porze dnia i nocy słycały się kaszel młodożeńca. Kiedy przychodził do kuchni po swój garnuszek, odpływał w osobne pudełko po zapalkach. Gospodynie odwracały się, zaciskały usta a oczami wyobraźni widziały jak paleczki Kocha biegają po ścianach.

Od dawna już nie pracował z powodu inwalidztwa. Całymi dniami toczył na strychu takie lalki, jakieś „Wańki-wstańki” i sprzedawał je na rynku w Kijowie. Tabor już trzykrotnie wzywał milicję, skarżąc się na nielegalny przemysł bylego zięcia i domagając się usunięcia go jako spekulanta. Ale prawnie wszystko było w porządku i inwalidztwo, i gruźlica, i prawa obywatelskie. Tak więc pozostawiono go w spokoju ku oburzeniu taboru, który uważał że kategorycznie należy go zniszczyć.

— Chwiejny człowiek i zły — mówili — bardzo zły.

Współczesne życie ze swoimi zebraniami, polityką, moralno-polityczną jednością toczyło się jakby gdzieś dalej, nie dotykając nawet swym skrzydłem taboru.

Oni nie tylko nie chcieli się tym zajmować, ale nawet przez myśl im nie przeszło, by się tym zająć. Wszystko to odbywało się w jakimś innym wymiarze i dla innych ludzi.

Sprawiali wrażenie, jakby żyli w dalekiej przeszłości, w świecie z rydwanami, pogańskimi weseliskami, krwawymi zemstami albo też we współczesnej operetce.

Tłumaczyła:
ADRIANA ASERT

Pewnego dnia inżynier Dukacik wrócił z pracy wcześniej, zaraz po dwunastej, i powiedział: — Panowie, zwalniam was wszystkich teraz, idźcie do domu przebrać się i odpocząć, a wieczorem zabiorę was na przyjęcie do pani Karmańskiej. — Kto to jest pani Karmańska? — zapytał Muszkatulowicz. — To działaczka polonijna, mieszka w La Louvière. Ma duży dom, pełen młodzieży. Wychojuje bezdomne dzieci. Dostałem od niej telefon, że z przyjemnością panów zobaczy. — W jaki sposób o nas się dowiedziała? — zdziwił się Antek. — Pani Antku, tacy artyści jak wy trzej... Wszyscy o was wiedzą! Był to ukłon inżyniera w stronę Ducha i moją, bo Antek był jedynie artystą murarzem, od biedy. — Będzie duże przyjęcie, masa ludzi z Belgii i trochę z Francji i Holandii. Nie będziecie zażłować. Wyplacił nam dniówkę, bez potrąceń za darowany czas. Około siódmej podjechał samochodem pod dom, w którym mieszkał Jan Duch, czekaliśmy w czystych koszulach i marynarkach. Do La Louvière nie było więcej niż jakieś pięćdziesiąt kilometrów, autostrada dobra, oświetlona żółtymi lampami, które bardzo lubiłem. Dukacik jechał szybko, sto pięćdziesiąt, wkrótce byliśmy na miejscu. Dom pani Karmańskiej rzeczywiście był duży, w zadziwiająco ogrodzie. Rozbrzmiewał gwarem głosów i muzyką. Język polski mieszał się z francuskim, wewnątrz gości już było sporo, wciąż napływali nowi. Kiedy Dukacik przedstawił pani domu Janka Ducha, ta wykrzyknęła: — Witamy anty-skurwysyna! Czytała wypowiedź Ducha w „Kulturze”, spodobała jej się to określenie. Powtórzyła je kilkakrotnie, informując obecnych, że to właśnie ten poeta Duch, o którym głośno, bo czeka na azyl. Sporo osób spojrzało na naszą grupkę z zainteresowaniem, pewno nie bardzo wiedząc, który to z nas. Jakis człowiek zapytał Antka: — Panie Duch, a czy pan pisze z rymami, czy bez? — Ja tylko do rymu, proszę pana — odparł Muszkatulowicz. — Bez rymu, to dla mnie nie jest poezja. — Dla mnie też. Cieszę się, że młode pokolenie, nie całkiem jeszcze zwirowało. Osobiście to ja pana uważam za bardzo dobrego poetę, panie Duch. — Dziękuję — powiedział Muszkatulowicz. — I niech Bóg ma pana w opiece. Od dłuższej chwili przyglądał mi się tegi tyś pan z sumiastymi włosami o wyglądzie szlachetnym. Stałem się zniknąć mu z oczu, zmieniałem kąty, kryłem się za grupkami plotkarzy, ale z powodu wzrostu zawsze mnie wyprzedził. Sam zresztą był tak samo wysoki, jak ja. Poddałem się w końcu. Podszedł do kieliszkiem w lewej dłoni, wyciągnął prawą. Mocny miał uścisk, wydawało mi się przy tym, że trząsnął obcasami. Pewnie jakiś były pułkownik, pomyślałem. Pani domu przesunęła się obok nas w tym momencie, ocierając się o wasaczę, który rzuciłszy okiem na nią, powiedział głośno: — Kurwiar! Zdążyłem, Niezły numer z faceta. Jakiś kolejny wariat, po kielichu bezlitosne oceny moralne... Spodziewałem się, że pani Karmańska strzeli go w pysk albo przynajmniej z krzykiem wyrzuci z domu. Jednak nic się nie stało, przeszła, poszła, zniknęła wśród gości, z uśmiechem przepięknym do twarzy. Patrzyłem na faceta z dużym zdziwieniem, i widząc mój wyraz twarzy, wyskondował: — Pułkownik Apolinary Kur-Wiara jestem, miło mi pan poznać. Wypowiedziałem swoje nazwisko, na co on uśmiechnął się domyślnie: — Wiem, wiem, jeden z tych dwóch nazwisk... — Dwóch? — Ten Duch, proszę pana, to drugi. — Nie rozumiem. — Panie Brycht — powiedział Kur-Wiara energicznie — postawmy sprawę jasno. Pan jest pisarzem? — Tak. — Czy jest pan Żydem? — Nie. — Czy jest pan pederastą? — Nie. — No, widzi pan! — wykrzyknął tryumfalnie. Zbliżył do mnie swoją nabrzmiałą twarz i wyszeptał: — Panie Brycht, po co pan przyjechał na Zachód? Milczałem przez chwilę, a on patrzył na mnie, jakby spodziewał się odpowiedzi, wiedząc, że się nie doczeka. Powtórzył w końcu do siebie, nie mogąc wycisnąć ze zdumienia: — Nie żyd, nie pederasta, a tylko pisarz. To po co przyjechał na Zachód? Jan Duch tymczasem przepijał do chudego starca o twarzy doświadczonego konfidenta wszystkich policji świata. Był to jeden z przerosów jednego z polskich stowarzyszeń patriotycznych. — Chodzą o pana pogłoski — tłumaczył Duchowi — że przystano tu pana w określonym celu. Dlatego ma pan trudności z utrzymaniem azylu. — W jakim celu? — zapytał Duch. — Żeby rozbić jedność emigracji polskiej w Belgii. Żeby zasiać niezgodę, torpedować jednomyślność, osłabiać. — A jest zgoda? — Staramy się o nią — powiedział starszy pan z powagą. — W jaki sposób mogą rozbić coś, co nie istnieje? — Tak mówią — odciał się od pogłosek starszy pan. — Ja osobiście to nie wierzę. Chociaż, wie pan, zdarzają się przeróżne dziwne rzeczy w tej sferze... Na przykład taki Miłosz. To nie jest moje zdanie, broń Boże, ale wielu twierdzi, że to nastąpi agent. — Minęło już dwadzieścia lat od czasu, kiedy zwał — powiedział Duch. — Ciągłe tak myślą?

— Dla agenta czas nie gra roli — powiedział starzec z miną wtajemniczonego. — Czasami długo potrafi leżeć w uśpieniu, i gdy wybija godzina, rusza do akcji. — Do jakiej akcji może ruszyć Miłosz? — Nigdy nie wiadomo. Był w dyplomacji komunistycznej. Tam było kogo nie biorą. Pan wie, jakie dają przeszkolenie. — Nie wiem — odparł szybko Duch. Brakowało tylko tego, żeby pokłamał głową i powiedział: „wiem”. Byłaby to najważniejsza notatka w jego teczkę u komisarza! Ale i tak mógł się spodziewać najgorszego. Agencisko miało swój dobry dzień, coś jakby starem, przetrąconemu lisowi udało się upolować tłustą kurę. — Ten Miłosz, wie pan, to niepewny człowiek. Kto wie, z czego się utrzymywał w pierwszych latach, kiedy jeszcze był w Europie. Otrzymał dotację od czerwonych, bo jakby dał radę. — Pisał wiersze — powiedział Duch. — Wiersze to tylko zasłona dymna. Proszę pana, co to są wiersze w porównaniu z życiem? Każdy może pisać wiersze, poetów są tysiące, a wyhodować człowieka, którego można bezpiecznie przetrzeć na drugą stronę, to bardzo trudna sprawa. Miłosz, wie pan, to bardzo inteligentny człowiek. Oni wiedzieli, że się nadaje. To nie jego wina. Niechby spróbował odmówić! A z nim jest tak, że jak chwycy palec, to cała reszta pójdzie, ani się obejrzy... — Amerykanie przecież nie w ciemności bici — oponował Jan Duch — dali mu posadę w Berkeley... Pracuje ciężko, uczy jakichś głupstw. Zna pan to żydowskie przekleństwo: bodajbyś cudze dzieci uczył! — Duch próbował przeweksławiać rozmowę na tory żartobliwe. — Profesura to też zasłona dymna — spokojnie upierał się starzec. — Kto wie, może on teraz na dwie strony pracuje. Dał się przeświecić Amerykanom, zyskał u nich pozycję, „clearance”, a dalej robi dla czerwonych. I to z jeszcze większym powodzeniem. — Nie wierzę, żeby to było możliwe. Żaden człowiek nie jest zdolny do takiej dwulicowości.

Małeńkie party



ci — powiedział Duch z dobrze zagranym oburzeniem. Chciał uciec natwem po to, żeby wyrzucić odpowiednie wrażenie na starym agencie. Może to powstrzymało nieco jego palce, stukające następnego dnia w maszynę. — Pan go broni — powiedział stary ze zrozumieniem — bo to poeta, jak i pan. Taka zawodowa solidarność. Ja to rozumiem, panie Duch. I tu się pomylił, bo nie istnieje żadna zawodowa solidarność między poetami, poezja to nie zawód, to choroba, to psychiczna choroba, nie ma solidarności między wariatami. Miłosz obchodził Ducha akurat tyle, co Duch Miłosza. Dwa przegromione samoluby jednego zna trochę więcej ludzi, trochę mniej z drugiego, zresztą i tak nikt żadnego z nich nie zna, jakie to ma znaczenie? A więc w dwadzieścia lat po wyrwaniu się z jednego obłędu, jest Czesław Miłosz uważany w obiegu drugim, przez tak zwanych normalnych ludzi, za agenta komunistycznego. Duch patrzył na nieponia, stojącego przed nim, i nagle rozumie, że między człowiekiem, który coś potrafi, a człowiekiem, który nie potrafi nic, jest przepaść — i że jest to jedyna przepaść, dzieląca ludzi. Nie kolor skóry, nie przekonania polityczne (kiedy się coś potrafi, przekonania polityczne nie mają znaczenia, zauważcie, że najsilniejsze przekonania polityczne mają ci, którzy nic nie potrafią), nie pochodzenie i język — nic z tych rzeczy nie dzieli ludzi w stopniu uniemożliwiającym porozumienie, przyjaźń, miłość. Natomiast w sposób ostateczny i nieodwracalny dzieli ludzi posiadanie lub brak umiejętności, umiejętności wyższego rzędu. Jan Duch widzi pustkę życia kreatury stojącej przed nim, pustkę, której nawet spalanie

kuli ziemskiej nie zaspokoi. Nieponie, którzy niczego nie potrafia, naładowani są pragnieniem destrukcji. Wszystko w nich służy destrukcji, polityka i religia, działania na niwie społecznej, działania podziemne... Wymyślają przecież to wszystko — przeciw czemuś, nie wiedząc, że to, przeciw czemu działają, tkwi w nich. Stary agent prowokuje, gładzi... Jan Duch widzi nieszczęsnika, kalekę, od urodzenia pozabawionego słuchu, wzroku, o drewnianych łapach, z których wypada wszystko, czegokolwiek on dotknie. Ach, gdyby ten człowiek chociaż raz mógł usłyszeć i usłyszeć jakiś wiersz! Usłyszeć i zatonać w muzyce, do tego stopnia, że przez kilka chwil istniałaby tylko muzyka! Więc budzi się w Janie Duchu niechęć do starego nieponia. Niechęć do swiata nieponi, do jego umiejętności tłumienia, boinaczej nie dałoby się przecież żyć w sadzie oaranów. Ten agent to cała emigracja, to cała Polska, to cały świat. Do dupy z takim światem. Duch wie doskonale, że potrafiłby zrobić to wszystko, co poproszą nieponi: produkować żywność, odzież, urządzenia z metalu i gumy. Ach, mógłby być generałem i kosmonautą, szewcem i kierowcą ciężarówki, kelnierem i chirurgiem — do tego potrzebny krótki trening. Być może kiedyś małpy będą wykonywały te niajakie czynności. Ale wnieść się wyżej, do sztuki! Pisać wiersze piękne i mądre, wiersze poza pięknem i poza mądrością, zabierające stąd... Hm. Bronić trzeba istoty skonstruowanej bezbłędnie przed niedojebkami. Istot „konstruowanych” przez naturę bezbłędnie jest bardzo mało, niedojebków miliardy. Trzeba bronić artystów przed półproduktami biologicznymi, obdarzonymi przez naturę w nadmiarze tylko jedną cechą: nieważnością do wszystkiego, czego nie potrafią zrobić, pojąć, do wszystkiego, co ich przerasta. No więc, trzeba bronić. Czesława Miłosza przed gnójem, podchodzącym do kolan. Miłosz akurat tej obrony wcale nie potrzebuje, ale tamtego broniąc, Duch broni siebie i wszystkich poetów świata przed wszystkim: oszczercami, przed gnójem wszechobecnym. Sztyfowe zadanie, ale co tam. Po kielonku dobrego al-

koholu temperament gra jak ogień na cienkim postronku. I jak na nieponia nie skoczył? Krótka wymiana zdań i facet strąłowany. Pierwszy raz go coś takiego w życiu spotkało. W końcu, kiedy Duch uirzał w oczach starego ty, pofolował trochę. Żal mu się zrobiło tego dziecka, stojącego nad grobem. Artyści tyle współczucia mają dla nieponi, tyle litości... Właśnie dlatego są artystami. Okrutny poeta — czy można sobie coś takiego wyobrazić?

Było tam wiele pięknych dziewczyn — wpatrywałem się w nie oszłomiony. Mułatki z Indochin, czarne hebany? Wybrzeża Kości Słoniowej, białe o żółtawym odcieniu skóry i migdałowych, nieco skośnych oczach... Młode, od trzynastu do siedemnastu lat. Obsługiwały gości, przemyciły pośród nich z tacami pełnymi kieliszków, uśmiechnięte, zwiędłe, urocze...

— To wszystko córki pani domu — powiedział do mnie człowiek, stojący obok, z którym od dłuższego czasu rozmawiałem na różne tematy. Był to pracownik centrali Chrześcijańskich Związków Zawodowych w Brukseli, z pochodzenia Polak, całkiem dobrze władający polskim językiem, młody i mocno zbudowany, o ujmującym uśmiechu — dużo białych, zdrowych zębów w szczerej twarzy. Nazywał się Kotrubas.

Zaprzęgnięliśmy się niemal od razu. Obiecał mi pomoc w znalezieniu dobrej pracy. Miał zamiar zorganizować dom dla polskich uchodźców w małym miasteczku pod Brukselą, dom z pokojami gościnnymi, z salą teatralną, biblioteką, i żeby się w nim odbywały wielkie imprezy kulturalne... Prosił mnie o pomoc w organizowaniu przedsięwzięcia, oczywiście miałem się włączyć w to po otrzymaniu azylu. Kotrubas nie wątpił, że wkrótce azyl otrzymam, z tego, co mówił, wynikało niedwuznacznie, że teraz on sam dołoży starań, by sprawę przyspieszyć. Nareszcie równy gość, pomyślałem z radością.

Po następnych paru kieliszkach Kotrubas powiedział: — Te dziewczyny... Podobają ci się? — No pewnie. A komu by nie. Wspaniałe są.

— Pani Karmańska umie wybierać, ma gust, trzeba przyznać. Uśmiechał się znacząco, więc zapytałem wprost: — Prowadzi burdel?

— A skąd! To wszystko jej własne dziewczyny. Dla niej wyłącznie przeznaczone. — Nie rozumiem.

— Słuchaj — szeptał Kotrubas, żeby nikt z boku nie pomyślał. — Madame Karmańska to bardzo bogata kobieta. Jej mąż był milionerem, i to nie było jakimś. Nie mieli dzieci, więc po jego śmierci zaczęła adoptować bezdomne dziewczęta. Ten dom jest przeznaczony dla nich, ona ma jeszcze kilka rezydencji... — Wspaniale — kiwnąłem głową. — Wszyscy bogaci powinni robić z forsy taki użytek. Inaczej forsa nie ma żadnego sensu.

— Madame Karmańska jest lesbijką — powiedział Kotrubas. — Te dziewczyny to jej kochanki, nałożnice. — Skąd wiesz?

— Wszyscy wiedzą. Spytał, kogo chcesz. Tylko nie mów, że ci to pierwszy powiedziałem. Ta kobieta czasami bywa bardzo przydatna. — Udziela się i nie szczędzi? — Dokładnie. Każdy z obecnych tutaj w jakiś sposób jej potrzebuje.

— Dlatego w milczeniu aprobuję istnienie tego haremu? — Oczywiście. Zresztą, prawdę mówiąc, nikt jej przecież nie złapał na gorącym uczynku. — Więc naprawdę nic nie wiadomo. Nie przyszło ci do głowy, że są to pomówienia? Że kobieta jest najzupełniej normalna? — Kilka poprzednio odchowanych córek, które już są na swoim, opowiedziało wszystko. Zaskarżyły ją do sądu o odszkodowanie. — Nie dała im wystarczająco na nowe życie? — Może i dała — pokręcił głową Kotrubas. — Ale ich mężowie uważali, że to zero w porównaniu z tym, co mogła dać. — Może nie mogła. Wiesz, ile tu tych dziewczyn się kręci. Musi jakoś sprawiedliwie dzielić. — Brali na spytaki te młodsze. Okazuje się, że ona ma z nimi seks. Ale skandal jakoś nie wybuchnął. Forsa to trzyma w mroku. — Popatrz na to w inny sposób — powiedziałem. — Te dziewczyny, bez rodzin, bez opieki, i tak stałyby się czymś nalożnicami. Może nawet poszłyby w regularną prostytucję. Czy wobec tego nie lepiej, że się nim ta kobieta zajmuję? Nie złażą choroby weneryczne, nie zajądą w ciążę i nie zostaną porzucone. Popatrz, jakie są odżywione, z jaką gracją się poruszają jak są ubrane, zadowolone, pewność siebie i optymizm aż z nich promieniuje. Więc co, czy nie jest to najlepsze rozwiązanie ich sytuacji, ze wszystkich możliwych w tym czasie rozwiązań? Kotrubas przyjrzał mi się uważnie. — Nie polećasz? — Nie polecam. — Widzę, że nie jesteś katolikiem. Grzech trzeba polecać, choćby objawiał się w formie nam nie znanej. — Znałem. — Lesbistwo. Ja tego nie znam. — A ja znam. Żyłem kiedyś z lesbijką. Nawet mi się podobało. Co za różnica. Można żyć z muchą, jeśli mucha nie ma nie przeciwko temu. Oczywiście, musi być pełnoletnia. Kotrubas wlepił we mnie przerażone oczy. — Nie polećasz homoseksualizmu? — Dlaczego mam polecać? Jak ktoś to lubi.

— Słyszałem o tobie — powiedział z nagłą troską Kotrubas — że jesteś prawdziwym Polakiem. Ze nie cierpisz Żydów, pederastów, rozmaitych dewiantów i zboczeńców. Widzę teraz, że się pomyliłem. Trudno mi w to uwierzyć.

— Co to znaczy być prawdziwym Polakiem? — zapytałem. — Daj mi na to prostą odpowiedź, jeżeli mamy dalej o tym gadać. — To jest to, że się rodzi Polakiem, a nie kimś innym — powiedział z naciskiem Kotrubas.

— Jak cię wyciągnęli z rury to zawołales: a kuku, jestem Polak? Chłopie, przecież nie wiedziałeś, że żyjesz. Nie znałeś daty swojego urodzenia, tak samo, jak dotąd nie znasz daty swojej śmierci. No to, co znasz co wiesz? To, co ci inni nawrzucają do łba. Wrzucili ci do bańki, datę urodzenia, narodowość, język polski, potem kupę wiadomości z różnych dziedzin, które do niczego się nie przylgają, tylko dzielą życie na jeszcze mniejsze, zaprzeczające sobie części. Polak! Dlaczego nie Murzyn? Dlaczego nie Hindus? Nikt się nie rodzi Polakiem, każdy się rodzi po prostu człowiekiem. — A co to jest, według ciebie człowiek? — zapytał Kotrubas z wyraźną złośliwością w głosie.

— Człowiek, to takie zwierzę, które gotowe jest narazić własne życie w obronie życia innego człowieka — powiedziałem. — Dla mnie to jest najwyższa miara człowieczeństwa. — Ryzykowałbyś życie dla pedała albo Żyda?

— A ty? — Ja nie. — Dziękuję ci za twoją przyjaźń, katoliku — uśmiechem i oddaliłem się od niego.

Miałem piętnaście lat, kiedy wyciągnęłam z leżora tonącego rówieśnika. Zjadał go nie lubił w naszej wakacyjnej grupie. Facio chodził pływać sam, ponieważ obawiał się, że inni i wstydził się tego. Patrzyłem z wysokiej skarpy jak idzie pod spód o sto metrów od brzegu. Woda była zimna, głęboka — co chciał sobie udowodnić, odpływając tak daleko, samotnie? Kiedy zrozumiałem, że zginie, życie we mnie się zbuntowało. Nie było w tym żadnej myśli, żadnego postanowienia, szalony zwierzęcy bieg w dół, przez korzenie i piaszczysty wódz, która nie stawała oporu, jakby była powietrzem. Chwyciłem go, ale przecież nie miałem dyplomu ratownika, nie wiedziałem nic o technice ratowania, pierwszy raz takie zadanie ponad siły stanęło przede mną. W pewnej chwili zrozumiałem, że umrę, utopię się, obaj — a mimo to nie puściłem go, choć sam mogłbym dostać się bez trudu do brzegu. Nie puściłem skurwysyna, który wczepił się we mnie pazurami i zębami, gnupio, utrudniając mi ruchy. I wyciągnęłam go na ląd, odebrałam go śmierci.

I potem — jakby się nic nie stało. Nie zaprzyjaźnił się, nie spędzaliśmy razem czasu. Było tak, jakby w grze strzelił poza bisko, a ja, przeczącą przypadkowo, podałę mu piłkę, żeby nie musiał jej gonić.

Lecz ten Kotrubas, po tylu latach, obraził mnie, pobrudził tamten wysiłek, najwspanialszy wysiłek w całym moim życiu. Ten gnój Kotrubas, który widząc tonącego chciałby się wpiąć w jego życie, w jaki sposób tonący zaspokaja swoje potrzeby seksualne, albo chciałby się przyzryść jego twarzy.

Nikommu dotąd o wyciągnięciu z wody wackajnego koleśka nie onowiadałem. Robię to po raz pierwszy, publicznie, ponieważ jest to czyn, do powtórzenia którego jestem zawsze gotowy, i trzeba, żeby ktoś w najważniejszej potrzebie mógł na mnie liczyć.

C.D.N.

Wideonotes

FILM, TV, VIDEO

— Jest pan obecny na scenie od 8 lat. W 1985 r. zdobył pan nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego za udział w filmach: „Haracz szarego dnia” i „Ultimatum”. To prestiżowe wyróżnienie, a mimo to nie miał pan szczęścia zagrać u reżyserów nadających ton w środowisku filmowym. Dlaczego?

— Otrzymałem nagrody w niczym mi nie pomogły, a na pewno nie przyczyniły się do otrzymania nowych ciekawych propozycji filmowych czy telewizyjnych. Niemniej wyrażałem pracę nad własnym warsztatem zawodowym. Dlatego nie zagrałem u reżyserów innych? Nie potrafię chodzić i prosić o rolę.

— Czy to znaczy, że przyjmuje pan każdą propozycję?

— Oczywiście że nie. Było wiele takich ról, które świadomie odrzuciłem z kilku powodów.

Wyszedłem z próby i wędrowałem śródmiejskim pasażem. Lzy ciekły mi po twarzy. Nie wstydziłem się tego powiedzieć. Od tamtej pory przestałem dźwigać na sobie bagaż „Teatru Narodowego”. Po jakimś czasie w „Teatrze Stara Prochownia” wyszedłem sam do publiczności... — Zmierzył się pan z monodramem?

— Tak, zaprezentowałem zmodernizowaną wersję „Kwiatów polskich” Juliana Tuwima, z którym już kiedyś wyszedłem do publiczności, dość specyficznej — była nią Polonia w Londynie. Wydawało mi się, że potrafię to zrobić. Tam na obczyźnie spotkałem się z bardzo żywymi przyjęciami. Z satysfakcją muszę powiedzieć, że w „Starej Prochowni” bilety nie było prawie nigdy. Ludzie siedzieli na parapetach okien z powodu braku miejsc. Było to dla mnie

— Z jakich powodów odszedł pan z „TIK-TAKA”?

— Na moją decyzję wpłynął dość zabawny incydent. W czasie spektaklu „Braci Karamazow” w Teatrze Narodowym, w którym grałem rolę Dymitra — postać tragiczną u Dostojewskiego, usłyszałem z sali: „O pan Marek z TIK-TAKA”. I koniec... Poczułem się zaszczepiony.

— Ale nie zerwał pan całkowicie kontaktu z dziećmi publicznością?

— Nie Stworzyłem kabaretu „Marek i Zbyszek — zapraszają”, który zmienił nazwę na „Ufodrakami” zamiast TIK-TAKA. Niedługo ten kabaret będzie obchodził swoje czterolecie. Jest to pierwszy w Polsce kabaret dla dzieci. Poza tym wspólnie ze Zbyszkiem Gruszczykiem wyreżyserowaliśmy w Sali Kongresowej widowisko „Awantura wśród gwiazd” z okazji „Dnia Dziecka”. Marzy mi się zrobienie dla dzieciarni rewii z prawdziwego zdarzenia. W moich programach staram się uczyć dzieci bawiąc. Chciałbym uświadliwić najmłodszym na język polski i słowa, które bardzo łatwo zmieniają swoje znaczenie w zależności od kontekstu. Unikam taniego dydaktyzmu, zresztą dzieci tego nie znoszą i nie dają się nabrać.

— Komponuje pan także piosenki, a przecież nie kończył pan żadnej szkoły muzycznej. Skąd ta pasja?

— Będąc jeszcze w liceum zaczęły mnie intrygować małe czarne mróweczki na pięciolinii. Chciałem je poznać. Kupiłem podręcznik harmonii i kontrapunktu Korsakowa, pierwsze wprawki muzyczne i sam rozszyfrowałem tę czarną magię. W końcu zacząłem pisać muzykę i wydałem płytę z piosenkami pt. „Urodziny TIK-TAKA”. Popiełem muzykę do filmu „Haracz szarego dnia” i końcową piosenkę do filmu „Pan Samochodzik — praskie tajemnice”, filmu który w styczniu wejdzie na ekrany kin. W sumie skomponowałem około 30 utworów, które doczekały się emisji telewizyjnej bądź były śpiewane na estradzie. W tej dziedzinie do wszystkiego doszedłem sam.

— Czy ma pan jakąś maksymę życiową?

— Zaproponowałem, ale mam. Będąc w Londynie Alex Bond, aktor, opowiedział mi historię, jaka przydarzyła mu się w czasie pielgrzymki do Lourdes. Wraz ze swoim przyjacielem niosł na ramionach ciężką chorą kobietę. Pot zalewał mu oczy. Powiedział mi: „Wiesz, siedłem zaciśniętą zębami i mówiłem do siebie: aby iść, aby iść...”. Zawałniętym to zdanie.

— Dokąd chciałby pan dojść?

— Sam nie wiem. Boję się tylko, że mogę zatrzęsnąć się w miejscu... — Dziękuję za rozmowę.

„Aby iść, aby iść...”

— rozmowa z MARKIEM WYSOCKIM, aktorem.

— W którym momencie nauczył się pan mówić słowa: NIE?

— Po filmie „Ultimatum” reż. Janusza Kidawy. Przekonałem się, że moje wcześniejsze wyobrażenia o bohaterze, którego grałem, daleko odbiegły od pierwotnych założeń. Powiedziałem wtedy: STOP! Uczucie muszę przyznać, że praca w tym filmie przyniosła mi wiele osobistej satysfakcji. J. Kidawa dał mi wolną rękę w tworzeniu postaci. Musiałem szukać w sobie silnych uczuć, dwójki, która rodziła: po pierwsze miłości do dziewczyny, a po drugie miłości do ojczyzny. Szukałem w sobie koloru miłości do Polski. Bardzo trudno jest znaleźć kolor danego uczucia i penetrację nauczyły mnie wiele.

— Film „Ultimatum” realizowany był w trudnych dla Polaków czasach i przewodził do odnalezienia drogi postępowania zgodnej z własnym sumieniem.

— Tak, niewątpliwie — takie refleksje przechodziły mi myśl i odegrały niemałą rolę w czasie realizacji filmu w końcu nieudanego, o czym mówił sam reżyser.

— Czy miał pan taki moment w życiu zawodowym, że chciał pan rzucić teatr, aktorstwo?

— Tak na samym początku pracy. „Próbowałem” sztukę „Komedie pasterska” w reż. Adama Hanuszkiewicza. Miałem wspólną scenę z Krzysztofem Charnem. Reżyser starannie opracowywał wszystkie kolejne sceny, natomiast nasza z niewiadomych powodów była pomijana, aż do premiery. Odeszliśmy z tej sztuki. Przyjeżdżam do bardzo spokojnego teatru, sam bez mego ukochanego teatru. Nikt mi wtedy niczego nie proponował. Pamiętam, że późną nocą

wielkim szczęściem, że potrafiłem zainteresować widzów. Program trwał dwie godziny bez przerw, minut. Sam napisałem muzykę do tego spektaklu i cieszyłem się, że poprzez Tuwima mogłem mówić o sobie i swoich problemach.

— Podobno napisał pan tomik poezji. W czym tkwi źródło inspiracji?

— Napisałem tomik spoczywający na dnie szuflady, który zatytułowałem „Lachmany na bruku”. Wahałem się z jego wydaniem. Są tam zawarte moje spostrzeżenia, przeżycia. Przeżycia młodego Polaka, który nie widzi przed sobą żadnych perspektyw, jako człowiek. Wiele moich kolegów wyjechało z kraju i tego nie zrobił. Sam nie wiem dlaczego, może z ciekawości? Podejmuję duże ryzyko, ale boli mnie wszystko to, co się dookoła dzieje. Boli mnie, że koledzy z mojego teatru wynajmują mieszkania za trzydzieści tysięcy złotych podczas gdy zarabiają dwadzieścia osiem. Boli mnie, że młode matki nie mogą kupić dziecku pomarańczy. Te wszystkie rozpoznanie zawarłem w swoim tomiku poezji.

— Pana twarz najbardziej popularyzował telewizyjny program dla dzieci „TIK-TAK”. Czy udział w tym programie był formą ucieczki?

— Nie można tego problemu stawiać tak jednoznacznie.

— Jakże doświadczenie wyniosł pan z pięcioletniej pracy z dziećmi?

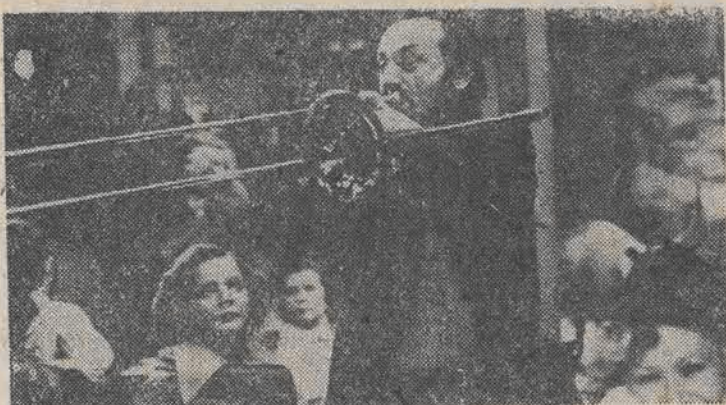
— Przede wszystkim nauczyłem się radości pracy, odkrywania nowych, dotychczas nie znanych mi stanów, jakie niesie współpraca z dziećmi. Nauczyłem się refleksu telewizyjnego.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

Proponujemy dziś interesujący obraz Eldara Riazanowa pt. „Garaż”. Pomysł opisu zebrania członków spółdzielni budującej garaże podsunęło samo życie, lecz reżyser nie ogranicza się do przedstawienia budzącej śmiech i grozę sytuacji. Tworzy obraz społeczeństwa, gdzie słabszy, pozbawiony wpływów i znajomości, pada ofiarą silniejszego, postawionego wyżej. Na plan pierwszy wysuwają się nie ludzie, lecz dobrze nam znane mechanizmy utwierdzające partykularizm, oportunizm i egoizm. „Garaż” jest protestem przeciwko patologiom życia społecznego, kryjącym się pod formami pozorowanej demokracji.

W filmie występują m. in. Lilia Achedżakowa, Ija Sawnina, Swietłana Niemolajewa, Walentin Gafi, a także sam reżyser w roli kierownika działu.

A może do kina?



Uwaga, ciekawe imprezy!

W listopadzie odbędzie się trzy niezwykle interesujące imprezy filmowe. 8 bm. w kinie „Iwano” w Łodzi zainaugurowano doroczne Dni Filmu Radzieckiego. Na inaugurację wybrano głośny film Eldara Riazanowa pt. „Zapomniana melodia na flet”, uznawany za pierwszy film pierestrojki. Na tegoroczne Dni Filmu Radzieckiego, które trwać będą od 7 do 20 listopada, Okręgowa Instytucja Rozpoznawania Filmów w Łodzi przygotowała trzy zestawy filmów. W grupie filmów premierowych zobaczymy m.in. film Sergieja Solowjowa pt. „Assa”, adresowany do młodzieży w bogatej oprawie muzycznej; głośny film Aleksandra Proszkina „Chłodne lato 53”; dramat psychologiczny Kiri Muratowej pt. „Krótkie spotkanie” m. in. z Władimirem Wysockim, a także komedie pt. „Robinsonada, czyli mój angielski dziadek” w reżyserii Nady Dordzadze i dla dzieci film Pawła Arseniewa pt. „Liliowa kula”.

Wznawiane filmy połączone zostały w interesujące zestawy: „Filmy nagrodzone na międzynarodowych festiwalach filmowych”, „Różne oblicza

kina radzieckiego”, „Filmowy dzieciom”, „Wielka radziecka klasika filmowa” oraz „Historia II wojny światowej na ekranie”.

Drugą ciekawie zapowiadającą się imprezą będzie przegląd filmów (w dniach od 11 do 15 bm. w kinie „Wista”), zorganizowany przez OIRF oraz Wytwórnię Filmów Oświatowych z okazji 70-lecia odzyskania niepodległości. W ramach tego przeglądu zobaczymy kolejno: obraz Z. Kuźmińskiego pt. „Republika nadziei”, J. Kawalerowicza „Śmiech prezydenta”, „Zamach stanu” R. Filipkiego, B. Peręby „Polonia Restituta” oraz film A. Chiczewskiego i M. Pisarskiego „Polonia Rediviva”. Zestaw dodatków do filmów przygotowała Wytwórnia Filmów Oświatowych.

I wreszcie na koniec listopada OIRF zapowiada „Przegląd Filmów Brytyjskich”. O szczegółowym zestawie tego przeglądu poinformujemy.

M. Z.

„Dziennik Łódzki” w Centrum Prasowo-Telewizyjnym

„Dziennik Łódzki” zmienił adres. Mieści się obecnie przy ul. Henryka Sienkiewicza 9 — w Centrum Prasowo-Telewizyjnym. Przeprowadził się z ul. Piotrkowskiej 96 jako ostatnia w kolejności redakcja. Na ul. Piotrkowskiej pozostał

tylko Klub Dziennikarza, ale już nie na długo. W piątek, 04.11.1988 r., odbyła się uroczystość otwarcia nowego lokalu redakcji „Dziennika Łódzkiego”. Obecni byli: I sekretarz KŁ PZPR — Józef Niewiadomski, wiceprezes ZG RSW — Prasa-Książka-Ruch — Alina Tepli-Kobielska, redaktorzy naczelni łódzkich gazet i pism. Dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Andrzej Mikołajczyk powitał zespół „Dziennika Łódzkiego” w nowej siedzibie oraz wręczył 10 pamiątkowych fotogramów — autorstwa Grzegorza Gałasińskiego — przypominających opuszczony gmach przy ul. Piotrkowskiej 96.

W.B.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

10 listopada — MAREK KOPROWSKI — godzina 10—15.

17 listopada — JERZY KWIECIŃSKI — godzina 10—15.

Relacja z dyżuru przy telefonie z dnia 3 listopada 1988 roku.

Telefon dzwonił mniej więcej co 10 minut, przez 5 godzin, z jedną tylko dłuższą przerwą około południa. Satysfakcja była tym większa, iż wielu czytelników nawiązywało w swych wypowiedziach do publikacji, jakie ukazywały się ostatnio na łamach „Odgłosów”. Niektórzy, dzieląc się mną lub bardziej pewnymi informacjami, temat nieuczciwego postępowania ośób na tzw. stanowisku, rozumie li na szczęście, że bez dokładnego, rzetelnego sprawdzenia przez dziennikarza tych zarzutów, nie ma mowy o ich publikowaniu. Czytelnikom wcale zresztą o to nie chodziło — o to, po prostu, czytać artykuły w „Odgłosach”, przypomnieli sobie zupełnie podobną historię, dziejącą się tuż obok, za ścianą domu lub biura... Niektóre z tych spraw, których nie zamierzamy na razie sygnalizować, w raporcie, postaramy się przedstawić na naszych łamach w przyszłości.

Spory rezonans wywołał list, podpisany inicjałami L. D. (zamieszczony w numerze z 29 października), a także wypowiedź telefoniczną pani J. C. publikowaną w tygodniu później. List i telefon dotyczyły sytuacji w Domu Pomocy Społecznej przy ul. Przybyszewskiego 255 w Łodzi, pełne są oburzenia na niewłaściwą opiekę nad pensjonariuszami, niegrzeczny personel, złe warunki bytowe itp. Pierwszy telefon, jaki zadzwonił w pokoju redakcyjnym w ub. czwartek, był od pani Krystyny Osady, pełniacej funkcję zastępcy dyrektora Zespołu ds. Pomocy Społecznej, któremu DPS przy ul. Przybyszewskiego podlega. Nawiasem mówiąc, pani dyrektor rozszyfrowała od razu inicjały naszych korespondentów. Nie po to jednak, żeby całkowicie, z miejsca odrzucić ich zarzuty, lecz po to, aby zaprosić przedstawiciela redakcji na dłuższą rozmowę, ponieważ — jak sama twierdzi, a co w pełni rozumiemy — trudne problemy domów pomocy społecznej są tego rodzaju, iż wymagają dogłębnego wysłuchania się w racje wielu osób, zarówno wśród pensjonariuszy, jak i personelu, którego nie należy z góry obarczać winą za rozgoryczenie podopiecznych.

Zaproszenie pani dyrektora chętnie przyjęliśmy. Tym chętniej, iż w jednym z następnych telefonów, od pani Stanisławy Nawrotek, przedstawiono nam sytuację w DPS przy ul. Przybyszewskiego sposób całkowicie odmienny. Pani Stanisława przychodziła tam od roku w odwiedziny do swojej siostry, ma więc dobrą okazję do obserwacji. Oburza się na treść listu zauważając, że w domu panuje wzorowy porządek, a podopieczni mają się dobrze.

Do innych z kolei publikacji, zamieszczonych w „Odgłosach” z 22 października, nawiązuje pani, która nie zechciała nam podać naz-

wiska. Chodził jej o Uchwałę Klubu Kombatanów przy Łódzkim Komitecie Stronnictwa Demokratycznego, dotyczącą opóźnienia w przygotowaniu do budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”. Rzecz jednak nie w treści uchwały, lecz w nazwisku, na podstawie którego imieniu członków klubu i zarządu, poprzedzonym literkami „dr”, „X” ma pretensje o te literki, ponieważ na tej samej stronie znajduje się wyjaśnienie Urzędu Miasta Łodzi, podpisane przez dyrektora Wydziału ds. Lecznictwa, który ma przed nazwiskiem tylko literki „lek”. Odczytanie „pani chodzą” — ok. Po prostu, czytając artykuły w „Odgłosach”, przypomnieli sobie zupełnie podobną historię, dziejącą się tuż obok, za ścianą domu lub biura... Niektóre z tych spraw, których nie zamierzamy na razie sygnalizować, w raporcie, postaramy się przedstawić na naszych łamach w przyszłości.

Spory rezonans wywołał list, podpisany inicjałami L. D. (zamieszczony w numerze z 29 października), a także wypowiedź telefoniczną pani J. C. publikowaną w tygodniu później. List i telefon dotyczyły sytuacji w Domu Pomocy Społecznej przy ul. Przybyszewskiego 255 w Łodzi, pełne są oburzenia na niewłaściwą opiekę nad pensjonariuszami, niegrzeczny personel, złe warunki bytowe itp. Pierwszy telefon, jaki zadzwonił w pokoju redakcyjnym w ub. czwartek, był od pani Krystyny Osady, pełniacej funkcję zastępcy dyrektora Zespołu ds. Pomocy Społecznej, któremu DPS przy ul. Przybyszewskiego podlega. Nawiasem mówiąc, pani dyrektor rozszyfrowała od razu inicjały naszych korespondentów. Nie po to jednak, żeby całkowicie, z miejsca odrzucić ich zarzuty, lecz po to, aby zaprosić przedstawiciela redakcji na dłuższą rozmowę, ponieważ — jak sama twierdzi, a co w pełni rozumiemy — trudne problemy domów pomocy społecznej są tego rodzaju, iż wymagają dogłębnego wysłuchania się w racje wielu osób, zarówno wśród pensjonariuszy, jak i personelu, którego nie należy z góry obarczać winą za rozgoryczenie podopiecznych.

Zaproszenie pani dyrektora chętnie przyjęliśmy. Tym chętniej, iż w jednym z następnych telefonów, od pani Stanisławy Nawrotek, przedstawiono nam sytuację w DPS przy ul. Przybyszewskiego sposób całkowicie odmienny. Pani Stanisława przychodziła tam od roku w odwiedziny do swojej siostry, ma więc dobrą okazję do obserwacji. Oburza się na treść listu zauważając, że w domu panuje wzorowy porządek, a podopieczni mają się dobrze.

Do innych z kolei publikacji, zamieszczonych w „Odgłosach” z 22 października, nawiązuje pani, która nie zechciała nam podać naz-

trakcyjna? Kto potrafił podać choć jedno nazwisko uczestnika tych brygad? Podzielamy te wątpliwości, zgadzając się także z panem Jerzym, że naprawdę nie brakuje nam nazwisk, godnych umieszczenia na tabliczce z nazwami.

Pani Irena Augustyniak narzeka na brak lekarza dla dzieci na osiedlu Piastów, w przychodni przy ul. Myśliwskiej. Odkąd na rentę odeszła pani dr Robakiewicz, znakomity pediatra, nie ma komu zajmować się dziećmi, których na osiedlu jest wiele, jako że bloki wybudowane zostały niedawno. Pani Irena liczy na naszą pomoc, my zaś liczymy, że sprawa zainteresuje się ZOZ na Górnej. Inna pani, mieszkająca na osiedlu Radogost, niepokoi się o dzieci, ale pod innym względem. Syn jej uczęszcza do przedszkola nr 103 przy ul. Jesionowej, gdzie czasami, ogląda wraz z całą grupą serial filmowy „Bergerac”. Potem, w nocy, miewa złe sny... Mama chłopca uważa, że oglądanie telewizji nie jest najlepszym zajęciem dla dzieci w przedszkolu. My uważamy, że jest to zajęcie zupełnie niedobre.

Pani Renata Wdźwiezna, denerwuje się, iż w polskich bankach nie można dowiedzieć się o stanie własnego konta, używając w tym celu telefonu. Pani Renata próbowala, i odpowiedziano jej (w III Oddziale PKO), że jest to niemożliwe z uwagi na... tajemnicę bankowa. Nigdy by mi tak nie odpowiedziano za granicą, gdzie telefoniczne sprawdzanie konta należy do oczywistości — mówi nam pani Wdźwiezna, która zna te sprawy z autopsji. Panią Lucynę Koper z ul. Podhalańskiej na Dąbrowie denerwuje z kolei to, że przez 17 lat płać za ciepłą wodę, która występuje sporadycznie, zawyżają w porze atrakcyjnego filmu. Pani Lucyna mieszka na zwykłym, trzecim piętrze bloku. Podobne dolegliwości odczuwają sąsiedzi. Spółdzielnia „Zarzewy” nie reaguje na ich monity. Na pewno nie ma wykonawców. A jeśli ich ma, nie posiada materiałów. A jeśli akurat są, znajduje się zawsze pilniejsze prace. A jeśli...

Jak widać, dzwoniła do nas w większości panie. Nie jestem antyfeministą, ale namawiam również panów: dzwonić do nas jak najczęściej!

ANDRZEJ GĘBAROWSKI



KLUB SPORTOWY „SPOŁEM” Łódź, ul. Północna 36

P O S Z U K U J E

• MIESZKANIA DO WYNAJĘCIA •

Prosimy o kontakt telefoniczny w godzinach 8—16, pod nr nr 78-80-22, 32-65-19, wew. 3.

6985/K

„JEZYK OJCZYSTY POLONUSA”

W OBRONIE RZEKI PILICY

Nie można tu żywiłowo łokować obozów, gdyż zatrująwają one skutecznie wodę, nie można wycinać bezmyślnie lasów, bo zubożają one coraz miżerniejszą Pilicę. Pilica z uwagi na swe powiązania z życiem łódzkiej aglomeracji, musi być rzeką szczególniej ochrony, troski i politykimi! A to powinno wpłynąć na

JOANNA PALECKA

ŚMIERTELNA KAPIEL DZIADKA

obięcia paznokci, ubrała w czystą bieliznę. Doprowadziła do porządku łóżko-barłóg. Za jej przyczyną studenci posprzątaeli mieszkanie, umyli od lat nie myte okna. Udało się jej również zawieźć Dziadka do fotografa. Konieczne to było w związku z wyrobieniem Dziadkowi dowodu osobistego który zaginął. Również PCK załatwił talony na obiady dla Dziadka. Talony te uzyskano w PKPS. Obiady przywoziła siostra PCK. Prócz tego z zasiłku docelowego udzielonego przez Ośrodek Opiekuna Społecznego zakupiła: maszynkę elektryczną, miskę, garnek. Prala także zabrudzoną przez Dziadka bieliznę. W artykule Teresy Jerzykowskiej o działaniach PCK i to najbardziej skutecznych, brak najmniejszej wzmianki. A wszak adwokat brata Dziadka znał całą PCK i przekazał terenowemu pracownikowi socjalnemu (c).

A oto prawda.

My nauczę mamy do końca życia. (...)

JADWIGA MARKIEWICZ, STEFANIA MICIELSKA, DANUTA GOSZCZ, JANINA SIENNICKA, APOLO니아 WISNIEWSKA.
Swiadkowie opisanych wydarzeń: **TADEUSZ KRZEMINSKI, MARIA KAMINSKA, DANUTA DABEK.**

JEZYK POLSKI W SZKOLE NR 173

JEZYK POLSKI W SZKOLE NR 173

mgr TADEUSZ SZYMAŃSKI

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA

III nagrodę **MACIEJOWI ŚWIERKOCKIEMU** z Łodzi (gościł „Krolik”) za pracę pt. „Złote pomarańcze”;

III nagrodę **HENRYKOWI GAJEWSKIEMU** z Sycowa („gościł „Gmerek”) za pracę pt. „Cieść”; oraz trzy wyróżnienia **Michałowi S. Daleckiemu** z Łodzi (gościł „Wektor”) za pracę pt. „Dniach po godzinach”, **Teresie Onarz** z Radomia (gościł „Anastazja”) za pracę pt. „Wekend”, **Tadeuszowi Pałuskiemu** za „Świdnicę (gościł „Simplex”) za pracę pt. „Obłędzenie”.

Gratulujemy!

PZU

CZY WIESZ, ŻE ZAWIERAJĄC

W PAŃSTWOWYM ZAKŁADZIE
UBEZPIECZEN

* UBEZPIECZENIE RENTOWE *

MOŻESZ ZAPEWNIĆ SOBIE
UZUPEŁNIENIE DOCHODÓW
W MOMENCIE PRZEJŚCIA
NA EMERYTURĘ

Różnorodność ubezpieczeń rentowych daje
możliwość dostosowania ubezpieczenia do wa-
runków w jakich znajduje się kandydat.

WARIANTY UBEZPIECZENIA TO:

• UBEZPIECZENIA RENTY
ODROZCZONEJ:

dla małżeństw. Renta płatna jest z chwilą
osiągnięcia przez mężczyznę umówionego
wieku, a po jego śmierci świadczenie ren-
towe otrzymuje współmałżonka w wysoko-
ści 60 proc. renty głównego ubezpieczonego
oraz jednorazowe świadczenie w wysokości
jednorocznej renty.

ubezpieczenie renty oszczędnościowej ze
zwrotem składek. Poza rentą, ubezpieczenie
przewiduje świadczenie pośmiertne w wy-
sokości pełnych wypłaconych składek. Ist-
nieje możliwość zwrotu składek (wycofa-
nia) zarówno po, jak i przed terminem
płatności renty.

ubezpieczenie renty bez zwrotu składek, w
razie śmierci ubezpieczonego — przewidzia-
ne dla osób samotnych. Eliminacja świad-
czenia pośmiertnego daje możliwość usta-
lenia renty na znacznie wyższym poziomie.

• UBEZPIECZENIA RENTY
NATYCHMIAST PŁATNEJ:

Analogiczne formy ubezpieczenia renty

przewidziane są dla osób starszych, zainte-
resowanych wypłatą renty natychmiast po
wypłaceniu składki.
Trzy warianty ubezpieczenia dają możli-
wość zawarcia ubezpieczenia przez małżon-
ków oraz osoby zainteresowane świadcze-
niem pośmiertnym.

UWAGA!

Wszystkie świadczenia zarówno w formie
renty, jak i w formie jednorazowego świadcze-
nia pośmiertnego, a także wypłacone składki
w ubezpieczeniach rent odroczonych są pod-
wyższane o procent urealnienia, którego wy-
sokość zależy od wariantu ubezpieczenia, okre-
su odroczenia płatności, a przede wszystkim
wysokości oprocentowania, ustalonej corocznie
przez NBP.

Zawierając ubezpieczenie rentowe, możesz za-
pewnić sobie uzupełnienie dochodów w przy-
szłości, lub zapewnić stałą rentę osobie, która
ze względu na stan zdrowia nie będzie mogła
podjąć pracy zarobkowej i uzyskać zaopatrze-
nia emerytalnego.

PAŃSTWOWY ZAKŁAD UBEZPIECZEN
Oddział Wojewódzki w Łodzi.

2360/K

PAMIĘTAJ, ŻE UBEZPIECZENIE RENTOWE - TO DOSKONAŁA FORMA
DŁUGOTERMINOWEGO OSZCZĘDZANIA

Instytut Innowacyjno-Wdrożeniowy

INCOM

Spółka z o.o. (j.g.u.)
Plac Zwycięstwa nr 13
tel. 74-24-28, 74-30-38

Z A P R A S Z A

do współpracy, na początek jako pracowników zleceńowych

MŁODYCH INŻYNIERÓW I PRACOWNIKÓW NAUKI.

Instytut prowadzi działalność innowacyjną w zakresie:

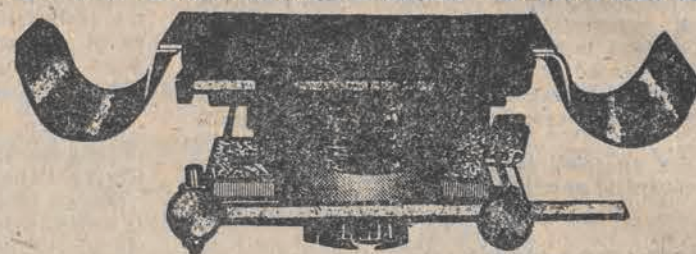
techniki cieplnej, energoelektroniki, elektroenergetyki,
inżynierii chemicznej,

— badań hydrogeologicznych, projektowania i wiercenia
studni.

Nie wykluczamy rozszerzenia zakresu działalności.

2961/K

UWAGA FOTOAMATORZY!



OTRZYMASZ BEZPŁATNIE FILM KOLOROWY.

Jeżeli

z Twojego negatywu wywołanego u nas wykonamy co
najmniej 20 dobrych zdjęć

- Wywoływanie filmów ORWO, AGFA, KODAK i in-
nych w urządzeniach najlepszych firm światowych,
- Odbitki barwne robione wyłącznie w automatach
AGFA i GRETAG na papierach polskich i zagranicz-
nych,
- Odbitki ze slajdów wykonywane techniką specjalną
na papierze odwracalnym.

STUDIO FOTOGRAFICZNE AFP
Z A P R A S Z A !

adres: 03-318 Warszawa, ul. Ogińskiego 5a, tel. 11-50-95.
00-545 Warszawa, ul. Marszałkowska 72,
tel. 28-32-29.

Prace można również nadsyłać pocztą.

2306/K

UWAGA! ZAKŁADY PRACY

WESTA

proponuje Wam nowe, tańsze, co najmniej o
10 proc. ubezpieczenia.

P R O P O N U J E M Y !

— dobrowolne ubezpieczenia mienia ruchome-
go, w których wysokość składki ustalamy
na zasadzie negocjacji,

— ubezpieczenia rodzinne wg zasad ogłoszo-
nych w MP nr 44, poz. 288, z roku 1985.

— grupowe ubezpieczenie pracowników od
następstw nieszczęśliwych wypadków wg
ogłoszonych warunków w MP nr 42, poz.
269, z roku 1985.

Maksymalnie upraszczamy sposób prowa-
dzenia miesięcznych rozliczeń, załatwiając
większość formalności drogą koresponden-
cyjną.

ZAPRASZAMY DO NASZYCH
PRZEDSTAWICIELSTW:

— Rawa Mazowiecka, ul. Polna 8,
tel. 44-26.

— Sieradz, ul. Polna 17/13, tel. 54-99.

— Bełchatów, os. Tysiąclecia, bl. 7,
m. 54. tel. 48-69-05.

— Łódź, ul. Nowotki 8, tel. 32-56-61.

10 proc. oszczędności na składce ubezpiecze-
niowej dla średniej wielkości zakładu przemy-
słowego, to czysty zysk minimum 2.000.000 zł,
a zatem np. tańsze wakacje dla dzieci pracow-
ników.

3099/K

NASZA POLISA - TO ZDROWY SEN I POGODNY DZIEŃ

22 lutego 1848 r. wybuchła w Paryżu rewolucja, w dwa dni później ogłoszono republikę, niebawem Europa zaczęła oddychać życiem. Wiosną 1848 r. w Warszawie, w tymczasem na drugiej półkuli w niewielkim amerykańskim miasteczku Hydesville w stanie Nowy York tamtejsza pastorkowa pani Fox wraz ze swym mężem pastorem i nieletnimi córeczkami biegała po domostwie szukając sposobu na dokuczliwego ducha, który stukał i pukał bez przerwy to w ściany, to w sufit lub podłogę drewnianego budynku. Poprzedni właściciel przyzwyczaił się już do domowego ducha i pocieszał państwa Foxów, że i oni do niego przywykną.

Alfieri 19 marca 1848 r. pani pastorkowa znalazła wreszcie sposób na ducha, który hańbił renowację państwa Foxów, czy istotnie jest istotą astralną, odpowiedział stuknięciem potwierdzającym domysł pani domu. Potem udzielił rzeczowych stuknięć na temat wieku uroczych córeczek państwa Foxów i wreszcie rozgadał się, jak nie przemyśleć starą przekupka. Opowiedział, że sam w chwili zgonu liczył sobie 31 lat, był ojcem pięciorga dzieci, potem zaś zmarło mu się w sposób dość nagły i nieoczekiwany i oto spoczywa sobie w postaci dobrze zakonserwowanego szkieletu właśnie w piwnicy domu państwa Foxów. W doczesnym życiu nazywał się Charles Reine i obiecywał nadal gawędzić nie tylko z obecnymi domownikami, ale i z innymi mieszkańcami miasta Hydesville.

Mister Karol nauczył się wnet rozpoznawać litery alfabetu, czytał z nich jak z nut, a powodzenie państwa Foxów rosło i dochody też, bo każdy seans spirytystyczny przynosił im okrągłą sumkę dolarów. Zapotrzebowanie na duchy rosło, każdy chciał mieć własnego, prywatnego ducha, zaś mister Reine coraz częściej, choć istota niezłomna, był utrudzony udzielaniem żyjących odpowiedzi na nie zawsze mądre pytania. Zaprzął więc do roboty próżniące dotąd duchy Aleksandra Macedońskiego i Cezara, Napoleona i Kaliguli, którzy poprawną angielszczyzną odpowiadali na coraz bardziej kłopotliwe pytania. Szczególnie Napoleon pracował jak galernik na rozległych terenach amerykańskich od Bostonu do San Francisco, od Cincinnati do Filadelfii. Przewodnikami (mediami) pracujących duchów były zwykle młode dziewczyny a wśród nich panny Fox: młodzianka Małgorzata (ur. 1834) i jej młodsza o trzy lata siostra Katarzyna.

Niebawem w samej tylko Filadelfii działało 300 towarzysów spirytystycznych a już w październiku 1850 r. naliczono na terenie Stanów Zjednoczonych około 30 tysięcy mediów, umiających rozmawiać z duchami.

Z różnych szuflad

Stolik dla ducha

tystycznych a już w październiku 1850 r. naliczono na terenie Stanów Zjednoczonych około 30 tysięcy mediów, umiających rozmawiać z duchami.

— Szanowni państwo! — zapowiadało medium. — Duch pukający stawia się na wasze rozkazy; objawicie tylko wasze życzenia, a zaraz zakolata.

Niedowiadkowie zarzucali pannom Fox, że dopomagają trochę duchom chrobotaniem w kolanach, jeszcze inni pomawiali je wręcz o perfidne i wyrachowane oszustwo.

Sprytne poddały wujka Samę rychło wpadli na szczęśliwy pomysł wyeksportowania nadmiaru kosmopolitycznych przecie duchów i gromady mediów, którym zagrażało już bezrobocie, do starej Europy, leczące właśnie rany po zdławionej tymczasem Wiosnie Ludów.

Ponieważ duchy czuły się najbardziej swojsko w półmroku salonów, zaś towarzystwo sadowiło się zwykle przy okrągłym stoliku, nagle te stoliki ożyły i zaczęły wirować jakby pod wpływem magnetycznego impulsu złączonych na blacie stolika dionizjuszów seansu. Dzieje się tak, że pierwsze doświadczenie z wirującymi stolikami odbyło się w Bremie w zachodnich Niemczech na początku 1853 r. Naoczny świadek tego wydarzenia tak oto relacjonował przebieg seansu: „Pewien jego-świat mówił mi, że nam do wielu naszych szaleństw jeszcze jedno przybywa, kiedy damy, które naokoło stolika siedziały, naraz zawołały: „Otoż się rusza, doprawdy się rusza! I tak też było istotnie. Najprzód stół zaczął chwiać się powoli, a potem istotnie się obracał. Przytomni odsunęli się z krzesła siedzącym damom, a tu stół zaczął się na dywanie kręcić, zaledwie dotykany cztermi rękami, na nim położonymi rękami, i to tak szybko, że mu można było zaledwie biegnąc podążać”. Wkrótce też pojawiły się piszące ełki i piszące ołówki, w tym celu przywiązane do nóg stołowych.

Od tego wirowania zwracało się niekiedy ludziom tak dokumennie w głowach, że w jednym tylko domu obłąkanych naliczono w ciągu zaledwie pięciu lat aż 54 entuzjastów wirujących stolików.

Kiedy wirujące stoliki rozpoczęły tryumfalny pochód po ziemiach polskich, Zygmunt Krasiński przestrzegł przyjaciela: „Nie próbuj sam uprawiania w ruch stolików. Dla nerwowych to najszkodliwsze — i ostrzeż o tym Elize” (z listu do Jerzego Lubomirskiego 29 kwietnia 1853 r.). Tymczasem w Warszawie bawiono się znakomicie podczas przedstawienia danego po raz pierwszy 5 maja 1853 r. w teatrze „Rozmaitości”, na którym wystawiono krotkość w jednym akcie ze śpiewkami „Stoliki magnetyczne”, napisaną przez Stanisława Bogusławskiego.

Stanisław Wasylewski, piszący w okresie międzywojnia o urokach zaświatów pokpiwał z przemawiających podczas seansów spirytystycznych wielkich nieboszczyków: „Tu Aleksander Wielki, o parę kamień dalej Mahomet, o piętro niżej z szumem i trzaskiem przelatują archanioł Gabriel, Skarga z miłą chęcią poddyktował nowe kazanie sejmowe, Kochanowski szczył ze swych wspaniałych „Trenów”; w Tarnowie był Ałcybiades, Kiliński i Pius VII. Ulubioną atrakcją kresowego Lwowa stał się Napoleon Bonaparte, dyktujący drzącym panom długie ełki-kubracie w doskonałym akcencie kulparkowskim”. W Warszawie podziwiano słynną Eusapię Palladino, w Dreźnie pojawiała się w salonie Ołizarz tajemnicza Almażenna. Nawet Mickiewicz nie stronił od wywoływania duchów a hrabia Zygmunt Krasiński bawił na seansach zaszczycanych przez parę cesarską, podczas których brylował słynny Amerykanin Daniel D. Hume, „nieśmiałych dokonywać cudowności”. „Chustki latają po powietrzu i zawiązują się na węzły same. Ręce pod stolikiem jakiegoś nieładzie, zaświatowe wstają i dotykają osób przy stoliku siedzących, a niektórym widom się pojawiają. Cesarz i cesarzowa je widzieli. Pani Delfina pozawczoraj taką rękę czuła we własnej i ledwo nie zemdląca. Posiedzenie też i u mnie było, ale nie a nic się nie pokazało, tylko medium sam dostał straszny napadu nerwowego przy końcu i długo konał na mojej kanapie”.

Potem epidemia stolikomani przygasła a od 1854 r. nastąpił stopniowy zmierzch świetności wirujących stolików, zapewne pod wpływem krytyki ze strony Kościoła oraz wyroków sądowych przeciwko zręcznym szarlatanom żerującym na ludzkiej łatwowierności.

W ostatnich latach XIX w. znów zainteresowano się zjawiskami mediumicznymi. W Warszawie orędownikiem wiedzy tajemnej był wybitny psycholog Julian Ochorowicz, prowadzący badania nad istotą magnetyzmu, hipnotyzmu i mediumizmu. Jeszcze i dziś tu i ówdzie poruszają się wirujące stoliki a posłuszne duchy odpowiadają na zadawane im pytania.

Podobnie, tuła się gdzieś po świecie duch reformy gospodarczej. Słyszałem, że przystępują do niego okrągły stół, na którym spoczną połączone dłonie rodaków. Duchu, duchu reformy gospodarczej, staw się na ich rozkazy!

ANDRZEJ KEMPA



Pod prąd

Mój dom

Dom, w którym mieszkam, zbudowany został trzydzieści lat temu. Na czterech kondygnacjach znajduje się w nim trzydzieści sześć mieszkań. Są także piwnice, schron przeciwatomowy, a także strychy mieszające pralnie i suszarnie. Przed domem jest niewielki plac zabaw dla dzieci, trawniki, kilkanaście drzew oraz tzw. śmietnik.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych mój dom prezentował się całkiem okazale, choć wcale nie luksusowo. Był dosyć typowy jak na tamte czasy, kiedy w budownictwie nie stosowano jeszcze wielkiej płyty, płytek pcw czy wykładzin podłogowych anten zbiorczych, metalowych futryn w drzwiach, wizjerów, plastikowych rur kanalizacyjnych, tudzież wielu innych wprowadzonych później udogodnień, które nie w każdym przypadku są udogodnieniami dla lokatorów.

Mimo to, czy też może dzięki temu, otrzymując w nim wówczas mieszkanie, byłem bardzo zadowolony, zwłaszcza że nie musiałem już więcej palić w piecach, nosić wody ze studni, korzystać ze stojącej w podwórku sławki, ani też walczyć z wchodzącym na ściany grzybem.

Ale oto minęło trzydzieści lat i to, co wtedy wzbudzało mój zachwyt, zbladło jakoś, spowszedniało, zestarzało się. Świat poszedł do przodu, zmieniły się moje poglądy na wiele spraw. Zmienił się także i mój dom, na który coraz częściej patrzę jak na zapomniany zabytek z epoki późnej cegły i pięknych hałs o lepszym życiu w nowych blokach. Zmienił, niestety, na gorsze, gdyż pływający nieubłaganie czas zrobił swoje, a odpowiedziałni za stan budynku ludzie — nie. Najwyraźniej zapomnieli o tym, że nie wystarczy coś zbudować i odejść, że potrzebna jest ciągła obecność.

Mówiąc popularnie, mój dom zaczyna się bowiem po prostu sypać. W kłatkach schodowych na przykład miejscami odpada tynk, łuszczy się stara farba. Od dawna już pozbawione zamków drzwi nie chcą się domykać. Zdarza się, że przy włączaniu oświetlenia kogoś porazi prąd, ponieważ wciąż ktoś trzymający się „na słowo honoru”. Niemal wszystkie „główne” bezpieczniki są wielokrotnie licowane i tylko patrzeć, jak pewnego dnia całą instalację elektryczną, a może i coś więcej, trafi szlag.

W mieszkaniach podczas większych deszczów niektóre okna — spróchniałe, wypaczone — nie zatrzymują już wody, która szparami leci wprost na parkiety. Pękają ściany i sufit. Kaloryfery grzeją coraz słabiej, a wzywni hydraulicy wzdychają tylko, że gdyby z dziesięć lat temu ktoś przejrzał, przeczyścił, wymieniał...

W jednej z suszarni na strychu wybite okienko czeka na szklarza już kilka zim. W innej przecieka dach, mimo że dosyć regularnie bywa smolowany. W piwnicach brak nie tylko żarówek, ale i oprawek do nich. Wspomniany na wstępie schron — relikw „zimnej wojny” — wyposażony niedługo we wszystkie niezbędne urządzenia sanitarne, wygląda tak,

jak by to w jego wnętrzu wybuchła jakaś bomba.

Płaskownica na placu zabaw porośla trawą. Po huśtawkach nie pozostał najmniejszy nawet ślad. Drewnianych ławek nikt nie chowa na zime, nie maluje, nie konserwuje. Niedługo więc i one znikną pewno bezpowrotnie. Ze śmietnika co roku ubywa po kilka cegieł, skutkiem czego strach tam wejść. I całe szczęście, że prawie nikt nie wchodzi, gdyż od chwili zastosowania dużych pojemników na śmieci, stoją one na parkingu, zajmując miejsce samochodom, które z kolei parkują na placu zabaw.

Spółdzielnia mieszkaniowa, która administruje moim domem, niemal zupełnie nie interesuje się tym, co się w nim i wokół niego dzieje. Dba tylko, aby czynsz — coraz to wyższy — płacony był regularnie. Niewywiązywanie się mieszkańców z tego obowiązku grozi karą. Niewywiązywanie się spółdzielni z jej obowiązków nie grozi niczym. Wpływ lokatorów-członków spółdzielni na jej funkcjonowanie jest bowiem żaden, choć trzydzieści lat temu — pamiętam — zapewniło nas gorąco, że będzie inaczej.

Kiedy tak patrzę dziś na mój zaniedbany, chylący się ku ruinie dom, odnoszę czasem wrażenie, że istnieje dziwne podobieństwo między jego losem a losem mojego kraju. Toteż nie uwierzę chyba, iż w kraju naprawdę zaczyna się dziać lepiej, dopóki nie zauważę widocznej poprawy w moim domu.

JÓZEF RETMAN



Lewym okiem

Gdyby ktoś zapytał...

Gdyby mnie ktoś nagle na ulicy zatrzymał, zwracając redaktorów telewizyjnych i radiowych, i zapytał na przykład: — „Czy wiąże pan duże nadzieje z nowym rządem polskim?” Odpowiedziałbym: — „Naturalnie, wiąże bardzo duże nadzieje. Tak samo jak z każdym nowym rządem w przeszłości. Tak samo w przyszłości zamierzam wiązać nadzieje z każdym nowym rządem. Myślę, że będą to nadzieje coraz bliższe, coraz słabsze, ale nadzieja musi być. Jak powiedział Roman Bratny parę tygodni temu w wywiadzie telewizyjnym, nadzieję to ja nie straciłem, straciłem tylko cierpliwość”.

Gdyby mnie inny redaktor zapytał, co sądzi pan o dyskusji toczącej się właśnie wokół — i tu nazwałby jakiś ważny, aktualny problem, odpowiedziałbym chyba, niezależnie od problemu stanowiącego przedmiot dyskusji, mniej więcej tak: — „Panie redaktorze, dyskusji organizuje się ogromnie dużo, każdą w bardzo dużym gronie, ale też poza tym konkretnym gronem mało kto całą tą gadaniną się interesuje. Taka zorganizowana w wielkim gronie dyskusja polega na tym, że na przykład, jak przemawia trzystu mówców, to można założyć się o nie wiem co, że co najmniej jednego powie — dziś już nie czas na gadanie, dziś czas na

czyni. Co najmniej połowa mówców wygłosi także sentencję, że należy skończyć z równą placą dla obiboków i ludzi zaangażowanych, że trzeba wreszcie płacić za naprawę wykonaną pracę, za wydajność i jakość. Na pewno większość dyskutantów będzie mówić o kwestii mieszkaniowej, o wydłużających się kolejkach po wszystko i o tym, że czas nareszcie skończyć z tym biadoleniem. Najciekawsze zaś, że będą to mówić wszyscy, niezależnie od tego, jaka ekstremą reprezentują”.

Może się także zdarzyć, że ktoś zatrzyma mnie nagle pytaniem co sądzę o partnerskim małżeństwie. — „No cóż — odpowiedziałbym — wierzę gorąco w partnerskie małżeństwa, wierzę w takim sensie, jak w partnerstwo przy grze w szachy. Jak pani redaktor wiadomo, przy grze w szachy partner siedzi po drugiej stronie szachownicy, gra innymi pionkami i cały czas czyha na moje potknięcie. Bez niego jednak nie można grać w szachy”.

Może się wreszcie zdarzyć, że ktoś zapyta mnie, co sądzę o zadawaniu pytań przechodniom na ulicy. Odpowiedziałbym, że oczywiście takie uliczne sondy stosowane zresztą na całym świecie. Mogą dać jakiś wgląd w myślenie ludzi przypadkowych, o przypadkowym temacie. Myślę jednak, że takie odpowiedzi powinien potem redaktor, zebrałszy ich paręset, starannie preselekcjonować i wybrać do publikacji tylko takie, które świadczą, że rozmówca rzeczywiście coś myśli i że potrafi powiedzieć to, co myśli. Żeby to nie były same chichotki rozbawionych pensjonarek w różnym wieku.

To wszystko odpowiedziałbym na jedno z pytań przwichanych wyżej. Dotychczas jednak nikt mi takich pytań nie zadaje, muszę więc felieton kończyć. Obawiam się natomiast, że jeśli mnie ktoś, gdzieś zatrzyma, to zapyta o coś takiego, że potrafię tylko głupio zachichotać.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



A za oknem jesień...

Jesień w tym roku za oknem piękna, chciałem więc napisać taki jesienny spokojny felieton. Ale za każdym razem, gdy już usiadłem do maszyny, pojawiały się któryś z znajomych i dalejze w dyskusji o problemach związanych z współczesnością mnie wciągać i ja, zamiast zachować się brzydko i wyrzucić jednego czy drugiego, zagłębiałem się w te złożone sprawy i dlatego nie będzie jesiennego spokojnego felietonu. Będzie natomiast o tym, o czym teraz wszyscy z namietnością wielką pisują, będzie o kryzysie. I nieawne w tej chwili,

jak nazwiemy owo zjawisko, czy to będzie KRZYK czy, jak chce Kisiel, SKUTEK. Ważne, że to, co rozpościera się wokół nas, wdarło się już we wszystkie dziedziny naszego życia i jeśli wszędzie jest on groźny i nieprzyjemny to w kulturze skutki są chyba najbardziej niebezpieczne bo na długie lata zostają.

Na stan naszej kultury — i nie tylko ja — mam nieco inny pogląd niż minister optymista. I zaraz, skrótkowo bardzo, wyjaśnię dlaczego. Otoż dzieje się obecnie tak, że prawie każdy gdzieś tam dorabia. Ludzie pracują na półtora dwa i więcej etatów (że nie widzą żadnych efektów w naszej gospodarce z tej bardziej intensywnej pracy Polaków, to już zupełnie inna sprawa), są zmęczeni i zagonieni i nie mają czasu na czytanie, czy chodzenie do teatru, a jeśli do kina, to najlepiej na coś gdzie krwi i strzałów dużo.

Pamiętam, że gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych często zdarzało się tak, że aby uzyskać miejsce w Biurocie Ludwika Waryńskiego, trzeba było czekać w długiej kolejce. Potem ten tłum jakoby trochę się przerzedził, ale i tak ludzi przychodzących do biblioteki, by coś tam poczytać, było sporo. Teraz, z roku na rok, czytelników coraz mniej, ludzie po prostu przestają czytać i widac konsekwencje takiego stanu rzeczy. Język nasz ubożeje, już ktoś kiedyś napisał, że obecnie słowo „kurwa” jako przecinek w zdaniu, zastąpiło używane w dawnej Polsce zwrot „Mocim panie”.

Świecą więc pustkami biblioteki, galerie, muzea. Kultura coraz bardziej sychana, est na margines naszego życia i to pod każdym względem. Wyjątkowo niskie są, na przykład, zarobki pracowników kultury. Pewien mój znajomy, który pracuje w bibliotece, opowiedział mi taką historijkę. Otoż, kiedyś podczas przyjęcia ktoś zapytał go, gdzie oracuje. Kiedy ten odpowiedział, że w bibliotece, jego rozmówca tylko obmiał się solidnie i powiedział: — No tak, ale to za ciebie pan, który jak rozumie lubi książki, oczywiście traktuje jako hobby, a tak naprawdę, to co pan robi, jakie przecież musi pan utrzymywać rodzinę?

I niech nikogo tu nie myli czasami spotykany tłok w księgarniach. Książki w dalszym ciągu są dla jednych elementem snobizmu i w pewnym stopniu nobilitacji — dobrze jest mieć w domu trochę rzadkich tytułów — dla innych natomiast dobrą lokatą kapitału. Poza tym książka pełni także doskonałą funkcję dekoracyjną wewnątrz. Tych, którzy czytają zakupione pozycje jest naprawdę niewiele. Do tego dochodzą zawrotne ceny i bardzo często zdarza się tak, że ci, którzy zakupioną książkę przeczytali, nie mają pieniędzy, by ją kupić.

Ale przecież, jeśli od czasu do czasu brakuje podstawowych produktów spożywczych w sklepach, to kto w takiej sytuacji będzie się przejmował kulturą? Szkoda, że w tym kraju (na co już zwrócił uwagę Marcin Król) jest kłopot z myśleniem długodystansowym. Szkoda, że tak mało ludzi zastanawia się nad tym, co będzie za 5 czy 10 lat. W ten sposób zostało już zdestawowane środowisko naturalne człowieka. Nie można na wiele oszczędzać na kulturze, bo skutki takiego postępowania mogą być fatalne. Oczywiście wiem, że nie jest to takie proste, bo jeśli wszyscy obecnie zajmują się zarabianiem pieniędzy, albo inaczej, zdobywaniem pieniędzy i o tym tylko myślą, to nie mają zbyt wiele czasu na inne rzeczy. Dopóki jednak nie zostanie zatrzymany krzyższo gospodarczy (na pewno tak szybko to nie nastąpi) nie wolno robić oszczędności na kulturze. Dzięki temu może uda się złagodzić negatywne skutki krzyższo przyniesionej w tej, także ważnej sferze naszego życia.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

A potem ujrzała Eponję, jak Dago Pan i Piastun, rannym żołnierzom Fulki ucinają głowy swoimi mieczami, a jakiś Lestek w białym płaszczu wrzuca te głowy do wody, a one, jak obronnie krwawe kule wolno obracają się w nurcie rzeki, a potem odpływają z jej prądem. Zakryła Eponja twarz dłońmi, bo nigdy nie widziała czegoś tak okrutnego i przerażającego. I nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, gdy ów Piastun, dysząc ciężko od machania mieczem, podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

— Przełamałem krew. Ale to nie była krew waszego ludu — powiedział. — Rozkaż tedy, aby otwarto bramy grodu.

Eponja zawahała się: — Nie ziołyś, panie, przysięgi, że twoi żołnierze nie będą, jak ów rycerz, co uciekł, chcieli grabić i niewolić.

Cofnął się Piastun o krok, wsunął skrwawiony miecz do pochwy i zaczął mówić przez zęby zacisnięte gniewem:

— Czy nie wiesz, kobieto, kto stoi przed tobą? Nie słyszałaś, że nazywają mnie Dawcą Wolności? Przybyłem tu nie po to, aby grabić i mordować, ale dać wolność ludowi i uczynić go ludem Polan. Twój pradziad, książę Sieradz uciekł stąd ze swymi możnymi nie przede mną i moimi wojskami, lecz przed gniewem gniebionego przez siebie ludu. Tak to zostaje przeze mnie nazwane, a ważne jest tylko to, co zostało nazwane. Będę niewolnych czynił wolnymi, a wolnych niewolnymi, albowiem biorę ten lud w swoje piastowanie.

To powiedziawszy zbliżył się do odrzwi bramnych i trzy razy uderzył w nie pięścią, nakazując, aby je przed nim otwarto. A kiedy to się stało wkroczył do miasta na czele swoich stu Lestków i rozpoczął rządy. Zdumieni się wszyscy, albowiem pierwszy jego rozkaz brzmiał: niechaj wszystkie kobiety w grodzie szyją z półna linańego białe płaszcze. I gdy nadeszły wreszcie wojska Awdanica i wojska Olta Powaty, rozesał po całym kraju swoje oddziały, nakazując w niewolników obrócić dawnych grodzieńców i starostów, a niewolnych kmieciów czynił wolnymi i pozwalał rozdawać między nich białe płaszcze. Tak to w krótkim czasie z dawnego ludu Skrzydlatych wyłoniło się ponad trzystu Lestków, którym jako przywódce i wojewody wyznaczył Łabędzie Rudego, gdyż Łabędzie byli ongiś spokrewnieni ze Skrzydlatymi.

Rozpaczala zamknięta w komnacie kapłanka Eponja, gdyż pojęła, że być może nigdy już nie powróci do swego kraju ani prastary książę Sieradz, ani jej brat Neklan, ani nikt ze Skrzydlatych, ponieważ ogłosił Piastun, że każdy kto nosił skrzydła ma być niewolnikiem, a każdy kto nie nosi skrzydła, ale pracował niewolnie dla Skrzydlatych, ma być Lestkiem czyli człowiekiem wolnym i Panem. W ten sposób wkrótce mógł pozwolić odejść wojskom Awdanica i wojskom Olta Powaty, gdyż oddał w dawnym kraju Ludzi Skrzydlatych rządzili i swoich rządów mieli bronić niewolni ongiś kmiecie. Między nich rozdał nie tylko białe płaszcze, ale i wszelką broń zdobytą lub przywiezioną przez jego wojska. Oddał też mówiło się, że książę Sieradz uciekł ze swego kraju nie przed Piastunem, ale przed gniewem swego ludu, co się ogólnie przyjęło, ponieważ ważne bywa tylko to, co zostało nazwane i w jaki sposób zostało nazwane.

Na ucztę, którą Piastun wydał, aby uczcić odchodzących w swoje strony Awdanica i Olta Powaty, zaprosił też i kapłankę Eponję i tak ją zapytał:

— Czym są twoje czary, które czynisz w jaskiniach Gór Wenedyjskich w porównaniu z czarami, jakie ja czynię? Oto niemal w jednej chwili, przyjmując twój dawny lud w swoje piastowanie, uczyniłem go swoim ludem, to jest ludem Polan. Albowiem kto nosi białe płaszcze jest Lestkiem. A każdy Lestek jest równy innemu Lestkowi.

— Puść mnie więc, panie, wolno do mego pradziada, skoro twoje czary są potężniejsze od moich — odrzekła Eponja.

Pokreślił przecząco głową Piastun.

— Pokazałem ci swoje czary, a teraz ty pokaż mi swoje. Dotrzymałem przyrzeczenia i prawie miesiąc miją odkąd nie przeleżałem niczyjej krwi. Gdy pokażesz mi swoje czary, będziesz wolna.

Z początkiem miesiąca kwitnienia wrzosa, do zbudowane-

go z czarnego dębu dworu w Rudzie, gdzie właśnie Piastun przybył z Eponją, powrócili wysłani do księcia Sandomira posłowie z darami od Piastuna i prośbą o rękę jednej z jego córek. Książę Sandomir przyjął posłów, kazał im jednak zabrać z sobą dary, co znaczyło, że odmawia Piastunowi swojej córki za żonę.

— Nie obejrzał nawet darów, panie — poskarżył się Piastunowi ów Lestek, który przewodził poselstwu. — Zrobił tylko gest ręką wskazując nam drzwi. Nie usłyszeliśmy od niego nawet jednego słowa.

Piastun wezwał do siebie Eponję i zapytał ją:

— Co to znaczy, gdy ktoś, komu się przypisła dary, odsyła je nie wypowiedziawszy nawet słowa?

— To znaczy, że tego, który daje dary, uważa za coś gorszego od psa, gdyż zwykło się przemawiać nawet do takich zwierząt jak psy.

— Ale dlaczego, Eponjo? Dlaczego?

rzeki Pilicy, za ogromną puszcą i Łysogorami, dlatego Sandomir nie wszczął wojny z Polanami, nie chcąc podejmować ryzyka wojny o tereny jedynie od niego dotąd zależne, ale nie własne. I stało się tak, że w ciągu krótkiego czasu w tej części świata obok Wielkiej Morawy zaczęto rosnąć w potęgę i rozszerzać swoje granice nie znane dotąd nikomu państwo Polan, zrodzone ongiś z Lendiców i Gopelanów. Ale że rosło szybko i jak gdyby niepostrzeżenie, mało kto zdawał sobie sprawę z tego, że niebezpieczeństwo zawisło nad okolicznymi wladcami.

„Opowiada się, że po kilkuset latach jakiś człowiek rodem z Sieradza doradził królowi polskiemu, aby swych ubranych w pancerze konnych rycerzy wyposażył w piasie skrzydło. Oddał takie oddziały z powodzeniem atakowały nieprzyjaciół, szumem swych skrzydeł budząc u nich grozę i płosząc im wierzchowce.

wa, że kto potrafi nieść ciężary, na tego władca nakłada ich coraz więcej i więcej, a kto nie jest zdolny do niesienia ciężarów, otrzymuje chleb lekki. Nie rozumie tego wielu ludzi w służbie władców, dlatego starają się wyróżnić czy to w walce czy w gospodarności, nie wiedząc, że to, co oni wywalczą i zbudują, inni dostaną we władanie. A dzieje się tak dlatego, że każdy władca lęka się, aby człowiek waleczny albo przedsiębiorczy nie otrzymał zbyt wiele i nie stał się samodzielnym oraz niepokornym. „Na ogół tych władców wywyższa, którzyimi gardzi” — napisano w „Księdze Grzmotów i Błyskawic”.

Zwyczajem Sklavinów Czeskich wybrał miejsce na warownię nie na wznesieniu górskim, lecz pośród bagien, jakie w dużej kotlinie uczyniła w tym miejscu rzeka Warta i jej dwa małe dopływy. Otrzymałszy dla ochrony prawie stu

dwustu niewolnych wraz z żonami i dziećmi. Nie jest bowiem skory do ucieczki niewolnik, który ma żonę i dzieci, skoro wie, że jeśli ucieknie — żona i dzieci zostaną zabite. Zabrał też z sobą Dago piętnaście wozów i płoż z zaprzęgami po dwie pary wołów do każdego wozu i tak w ostatnich dniach miesiąca kwitnienia wrzosa opuścił Rudę, kierując się wolno ku granicy z Visulanami. Nie lękał się napaści ze strony Karaka, gdyż szpiedzy przyniosili mu wieści, że tak w Dowinie, jak i w Nitrze oraz innych grodach Wielkiej Morawy buntury i spiski są organizowane przeciw księciu Rostislawowi, co go bardzo osłabiało. Korzystając z tej słabości umocnił się Karak w Bramie Morawskiej, przestał płacić trybut oraz w wielu potyczkach odebrał Bohemom kilka granicznych gródków.

Dni były ciepłe, słoneczne, jak to zwykle bywa podczas

(27)

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glane

pory zwanej „babim latem”. Zaraz za Rudą wjechali w kraj tak przedziwny, że Dago nie mógł się otrząsnąć z zachwyty i raz po raz wstrzymywał konia lub wyjeżdżał na wzgórze, aby móc jak najdalej sięgnąć wzrokiem i długo się napawać widokiem południowego krańca kraju Ludzi Skrzydlatych. Widział to piękno, podziwiał je, a zarazem odczuwał jakąś niezrozumiałą grozę. Słyszał, że ów przedziwny kraj ciągnie się od Karakowa i niekiedy patrząc na niego myślał: „To wszystko musi być na zawsze moje. Tu w tych górach zbuduję ze skał niezdobyte zamki, które sięgną nieba. Będą zaś jeszcze większe i piękniejsze niż budowle Franków lub Rhomajów”.

Opowiadano mu, że kiedyś była to ogromna dolina porośnięta lasami dębowymi i przecięta wartkimi strumieniami. Ale, przed tysiącami lat przyszli tutaj Olbrzymi zwani Gigantami, których z dalekiej północy wygnał wielki lodowiec. Giganci chcieli się na nowej ziemi osiedlić, ale nie pozwolili na to równie olbrzymi Spalowie i rozpoczęli bój. Trwał ów straszny bój ponad 300 lat i 30 miesięcy. Padli martwi wszyscy Giganci — tak mężczyźni jak i kobiety, gdyż zwyczajem Olbrzymów, walczyły również kobiety i dzieci. Ocalało z boju zaledwie kilku Spalów, którzy z braku obcych olbrzymów musieli żenić się z własnymi siostrami i spłodzili znacznie mniejszych olbrzymów, wiktorych jednak i potężniejszych od zwykłych ludzi, których tu wtedy jeszcze nie było.

Ziemia więc ta — co widziało się na pierwszy rzut oka — była jednym ogromnym pobojuwiskiem Olbrzymów. Ich zwapniałe szkielety wypełniały dawne doliny i utworzyły wzgórza. Dawne strumienie ginęły odtąd w pono-

rach pod ciałami Olbrzymów, aby o kilka stajów dalej nagle wytrysnęły spod skał przez liczne wywierzyska. Oderwane od tułowia potrzaskane głowy olbrzymów tworzyły mogoty — kopaiste białe wzgórza z rzadka porośnięte karłowatą sosną. Tu i ówdzie widziało się skały podobne do połamanych maczug Olbrzymów, tułowia bez rąk i nóg, z wypukłością żeber zaznaczonych bruzdami i rynnami. Wszędzie walały się zwapniałe kości Olbrzymów, ich broń — połamane rękojeści mieczów, porzucane skalne tarcze, wielkie głązy, którymi obrzucali się w walce. A między szkieletami zabitych Olbrzymów spotykało się strumie wawozy, zapadiska, rynienki, żłobki, lejki i jaskinie, gdzie mieszkali tysiące krwiożerczych nietoperzy, śpiących za dnia, lecz nocą szukających krwi ludzkiej lub zwierzęcej. W dzień zaś krążyły nad rumowiskami skalnymi ogromne orły zdolne porwać nawet dziecko albo jagnię. Dlatego nocami palono ogromne ogniska, lekając się nadlatujących z ciemności nietoperzy i przyczajonych na skalach orłów.

Droga do Częstocha była kręta, skalista, posuwano się więc po niej dość wolno. Zniecierpliwiony Dago ciągle udawał się samotnie to w tę, to w tamtą stronę, pisał się po rumowiskach skalnych, zaglądał w czarne jaskinie oczodolów czaszek Olbrzymów, myślarząc nie bez dumy, że nosi w sobie po ojcu ich krew. Jego żołnierze, a także niewolnicy odbywali podróż w milczeniu jak gdyby lękając się, że w pobliżu Olbrzymi nagle zbudzą się i podepczą ich jak małe robaki. Tylko Eponja uśmiechała się ciągle dziwnie i tajemniczo i zdawała się radować widokiem owej groźnej krainy, ponieważ tutaj zaczynała się także kraina jej czarów.

Okryta zielonym brokatowym płaszczem jechała nie w kołbecie — jak to robili Skrzydlatci — ale po męsku na koniu, odstawiając swe krągłe uda i kolana. Jej pełną ładną twarz opalił wiatr, a jasne włosy jak gdyby nieco wybielił, przez co wydawała się znacznie ładniejszą. Były chwile — szczególnie nocami — gdy Dago zaczynał pościć jej obfitego ciała, okrytego białą luźną tuniką i brokatowym płaszczem. Zdarzyło się nawet, że któregoś nocy leżąc obok niej przy ogromnym ognisku chwycił w swoje dłonie jedną z jej wielkich piersi, ale go odrzuciła z cichym śmiechem.

— Będziesz mnie miał, panie — powiedziała mu. — Jeden raz. Jak wielu innych. A potem staniesz się długowiecznym.

Chciał żyć długo, nieskończenie długo. Aby w tej krainie wznieść na wzgórzach zamki ze skał tak wysokie, że sięgające nieba i niezdobyte. Piękniejsze i większe od tych, które mieli Frankowie i Rhomajowie. Dlatego niecierpił się powolnością podróży i często pytał kapłanki:

— Czy mnie nie zwodzisz, Eponjo? Jak daleko jeszcze do owej jaskini zwanej Greinne albo Wężową?

— Daleko, panie — odpowiadała mu niezmiennie. — Zbięraj w sobie odwagę, abyś nie krzyknął ze strachu, gdy wędziesz między tysiącami wężów, a ogromne nietoperze zaczną ci latać koło twoich białych włosów.

Wruszał ramionami i pokazywał jej szkielety Olbrzymów, leżące pośród zielonych dolin: — To moja ojcowizna, Eponjo. Nie słyszałaś, że pocałował mnie olbrzym Boza i pochodzi z ludu Spalów? To po nich cierpie na chorobę zwaną Ządą Czynną, która kazała mi stać się władcą i podbić wszystkie okoliczne ludy. Pozwól mi napełnić cię nasieniem, gdyż może i ty urodzisz olbrzymia jeszcze potężniejszego ode mnie.

C.D.N

JASKINIA WĘZÓW

Umówił Dago Pan i Piastun niejakiemu Częstocha, który w służbie Spicimira będąc, pomógł mu uratować się z zasadki, jaką na Piastuna nieznani z imienia wrogowie uczynili koło chaty siodlarza. Dzielnie się potem ów Lestek spisywał przy boku Piastuna w rozmaitych bitwach i potyczkach; z nim też łodziami aż do grodu Sieradza popłynął i u bram miasta przeciw najmitom Fulki walczył. Odbardził go więc Piastun swym zaufaniem i nakazał w najdalej na południe wysuniętym miejscu aż w Górach Wenedyjskich gród zbudować oraz warownię, aby w przypadku napaści księcia Karaka on pierwszy czoła mu stawiał, napór obcych wojsk powstrzymał, dopóki nie przyjdzie pomoc od Piastuna.

Uprzednio uczynił Piastun owego Częstocha grodzieńcem w Poznaniu, gdzie mógł wdać spokojnie jak wielki pan, ale że odznaczał się w każdej wyprawie, wciąż nowe i najtrudniejsze zadania otrzymywał jak to właśnie, aby pobudował gród w Górach Wenedyjskich. Na jego miejsce grodzieńcem Poznania wyznaczył Dago niejakiemu Grzymale, również Lestka, lecz człowieka mniej walecznego i mniej przedsiębiorczego. Tak już bowiem by-